KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/139 1959



« La Culture » • Revue mensuelle •

OGŁASZAMY KONKURS LITERACKI

T. MERTON : **LIST DO NIEWINNEGO ŚWIADKA**

D. MOSTWIN : **STRYJCIO Z AMERYKI**

A. TARNOWSKI : **PRAWDA O ZBIORACH DZIKOWSKICH**

SPIS RZECZY

KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Maj – Mai 1959

NSTYTUT  LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Zbigniew Sebastian SIEMASZKO. Urodzony na Wileńszczyźnie w 1923. Uczęszczał do Gimnazjum OO. Jezuitów w Wilnie. Początkowy okres wojny spędził w Kazachstanie. Potem służył w wojsku na terenie Rosji, Śr. Wschodu i W. Brytanii. Po wojnie studiował elektronikę na Polish University College w Londynie. Uzyskał tytuł B. Sc. (Eng.). Obecnie zatrudniony w przemyśle brytyjskim jako konstruktor sprzętu telekomunikacyjnego.



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

W.W. Detroit, Mich. (U.S.A.)	10.000 fr
Luba Hersch, Genewa (Szwajcaria) po raz trzeci	1.000 „
Adam Skoczowski, Berkeley, Cal. (U.S.A.)	2.000 „
Edward Abramowicz, Milwaukee, Wis.	1.000 „
Abraham Anyż, Meksyk, po raz trzeci	4.000 „

DZIĘKUJEMY



NA MŁODZIEŻ Z POLSKI STUDIUJĄCĄ W PARYŻU

Dr. Michał Rostafiński, Greystone Park, N.Y. (U.S.A.) .. 3.750 f



NA NAGROBEK DLA JANA OLECHOWSKIEGO

Zarząd Związku b. Żołnierzy SBSK, Londyn .... 1.450 f

Imprimé en France.

Ogłaszamy Konkurs Literacki

„KONKURS LITERACKI

W związku z przypadającą w dniu 7 października 1959 r. XV rocznicą powstania Milicji Obywatelskiej i służby bezpieczeństwa, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przy współudziale wydawnictw Ministerstwa Obrony Narodowej ogłasza konkurs literacki na utwór w dziedzinie prozy (powieść, zbiór opowiadań, wspomnień, pamiętników lub utwór sceniczny). Treść utworu winna być związana tematycznie z problematyką służby i działalnością organów MO, służby bezpieczeństwa oraz jej funkcjonariuszów.

N a g r o d y k o n k u r s u : I nagroda 30.000 zł; II nagroda 20.000 zł; II nagroda 10.000 zł;

Ilość nagród w zależności od wyników konkursu może być powiększona.

Warunki konkursu : udział w konkursie mogą wziąć członkowie Związku Literatów Polskich i członkowie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Utwory konkursowe należy przesyłać do dnia 1 grudnia 1959 r. na adres : Komenda Główna Milicji Obywatelskiej, Warszawa, ul. Puławska 148/150 z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs Literacki na XV-lecie MO".

Utwory należy przesyłać w maszynopisie opatrzonym godłem, nazwisko i adres autora dołączyć w zaklejonej kopercie. Maszynopisy nie będą zwracane. Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone na łamach prasy i w Radio w lutym 1960 r.

Organizatorzy Konkursu zastrzegają prawo druku prac nagrodzonych, jak również pierwszeństwo druku utworów nie wyróżnionych w Konkursie.

Komenda Główna Milicji Obywatelskiej uczestnikom konkursu chętnie udostępni materiały dot. działalności Milicji i służby bezpieczeństwa od początku jej istnienia, jak również udzieli się ewentualnych informacji, związanych z tematyką poszczególnych prac konkursowych.

W celu uzyskania materiałów względnie informacji należy zgłaszać się do sekretarza jury, tel. 47-420, Warszawa, ul. Puławska 148/150. W miastach wojewódzkich : do Komend Wojewódzkich Milicji Obywatelskiej".



Ogłoszenie tego wymownego konkursu ukazało się w najpoważniejszym miesięczniku literackim w kraju, w „Twórczości" Nr 2 luty 1959.

Najbardziej charakterystyczną cechą tego Konkursu jest ograniczenie go *wyłącznie* do zawodowych literatów i dziennikarzy. Nie można oprzeć się wrażeniu, że inicjatorom Konkursu idzie o wskrzeszenie twórczości literackiej w stylu „Felka Okonia" Iwaszkiewicza, „Towarzyszom z Bezpieczeństwa" Mandaliana czy opowiadań Putramenta.

Wspomniany Konkurs nie jest zresztą faktem odosobnionym. Jednocześnie zaostrza się cenzura, mnożą się wizyty „uprzejmych panów" namawiających do donosów i „obywatelskiej współpracy" z UB, itd. Trzeba więc przypomnieć i społeczeństwu i światu jakże niedawną przeszłość i czym grozi „nawrót". Mając to na względzie KULTURA przyłącza się do inicjatywy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i ze swej strony *ogłasza*

KONKURS LITERACKI

na utwór prozą (powieść, zbiór opowiadań, wspomnienia, pamiętniki, utwór sceniczny lub dokumenty jak stenogramy z procesów, ze śledztw, itd.). *Treść utworów winna być związana tematycznie z działalnością organów MO, służby bezpieczeństwa oraz jej funkcjonariuszów.*

Konkurs otwarty jest dla wszystkich, bez ograniczenia. Mogą wziąć w nim udział zarówno zawodowi literaci i dziennikarze w kraju i zagranicą, jak i wszystkie osoby, które kiedykolwiek zetknęły się osobiście z MO i UB, to znaczy: byli więźniowie i aktualni więźniowie, funkcjonariusze UB w służbie czynnej lub na emeryturze, etc.

W KONKURSIE MOGĄ WZIĄĆ UDZIAŁ RÓWNIEŻ OBYWATELE INNYCH DEMOKRACJI LUDOWYCH. W TYCH WYPADKACH MASZYNOPISY MOGĄ BYĆ SKŁADANE W ICH OJCZYSTYCH JĘZYKACH.

Redakcja „KULTURY" gwarantuje dyskrecję i zachowanie tajemnicy nazwisk tych autorów, którzy to sobie zastrzegą.

Utwory konkursowe należy nadsyłać do dnia 1 grudnia 1959 roku na adres Redakcji „KULTURY": 91, Av. de Poissy, Maisons Laffitte (S. et O.) France.

Redakcja „Kultury" zastrzega sobie prawo druku i tłumaczenia na obce języki prac nagrodzonych oraz pierwszeństwo druku i tłumaczenia utworów nie wyróżnionych w Konkursie.

NAGRODY KONKURSU „KULTURY"

I nagroda — 250.000 frs.

II nagroda — 150.000 frs.

III nagroda — 100.000 frs.

Autorzy prac nie wyróżnionych, ale wydrukowanych otrzymają honoraria według ogólnie przyjętych stawek.

List do niewinnego świadka

Jeżeli ośmielam się, w tych kilku słowach, zwrócić się do ciebie z paroma bezpośrednimi i osobistymi pytaniami, to dlatego, że zadaję je nie tylko tobie ale również sobie. Wciąż jeszcze mam nadzieję, że spokojna wymiana poglądów może odbywać się pomiędzy dwojgiem osób — że jeszcze nie osiągnęliśmy stanu, kiedy wszyscy są hermetycznie zamknięci, każdy w kolektywnej arogancji i rozpaczy swego własnego stada. Korzystanie z tej sytuacji może narazić na zarzut pośpiechu, ale szczerze wyznaję, chwilami obawiam się, że nie potrwa ona długo. W każdym razie ciągle jeszcze wierzę, że każdy z nas jest w dostatecznym stopniu ,,osobą'', aby zrozumieć, że natrafiamy na wspólną trudność i aby starać się ją razem rozwiązać. Piszę to więc w nadziei, że ciągle jeszcze potrafimy siebie uchronić od przemiany w nie więcej niż cyfry.

Jak łatwo odgadniesz, używając terminu ,,niewinny świadek'' musiałem rozważyć, czy przypadkiem nie pozwalam sobie na żarty. Nie przypominam sobie czy uśmiechnąłem się kiedy po raz pierwszy o tym pomyślałem, ale w każdym razie teraz wcale się nie uśmiecham. Bo nie sądzę, żeby kwestia naszej niewinności nadawała się do kpin, a nie jestem już wcale pewien, czy zaszczytną rzeczą jest stać na boku jako bezbronny widz kataklizmu i najwyżej pocieszać się, że umrze się niewinnie i przypadkiem, jako nie-biorący udziału.

Ale kto to są ,,my?'' My to intelektualiści, którzy uważają za pewnik, że mogą stać na uboczu i że ich rola beznamiętnych obserwatorów pozwoli im zachować niewinność oraz oswobodzi

---

Thomas Merton, znany pisarz amerykański, zakonnik klasztoru trapistów Our Lady of Gethsemani, Kentucky, przesłał poniższy tekst dla polskich czytelników, spodziewając się, że jakkolwiek został on napisany przede wszystkim z myślą o intelektualistach po tej stronie, może być aktualny również dla ich kolegów po tamtej stronie.

od odpowiedzialności. Przez intelektualistę nie rozumiem urzędnika (choć mogę rozumieć klerka). Nie rozumiem przez to biurokraty. Ani polityka. Ani technika. Nie rozumiem przez to nikogo z tych, których inteligencja kieruje maszyną do liczenia, klasyfikowania i rozsyłania innych ludzi : którzy jednemu ofiarowują wyższą płacę a drugiemu przejażdżkę (jak to bywa dzisiaj) do obozu pracy przymusowej. Nie rozumiem przez to policjanta ani propagandysty. Wciąż odważam się używać słowa intelektualista jakby miało ono znaczenie.

Tak więc oto my na uboczu a tymczasem ,,oni'' krzątają się koło swoich coraz bardziej złowrogich spraw. My zdobywamy się tylko na uwagę : ,,No, niech inni zajmują się tym co do nich należy, my będziemy zajmować się tym co do nas należy''. Taka postawa przeradza się wkrótce w znacznie mniej niewinną, bo może się zdarzyć, że zaczniemy mówić : ,,Nie można zrobić jajecznicy nie tłukąc jajek''. Od tego jest już tylko jeden krok do doktryny jeszcze bardziej pocieszającej i bardziej na czasie : ,,Nie można tłuc jajek nie robiąc jajecznicy''. Jeżeli zaszedłeś już tak daleko, nie warto żebyś czytał dalej ten list.

Stąd moje pierwsze niebezpieczne pytanie. ,,Jakkolwiek wydaje się rzeczą niemożliwą robić cośkolwiek innego niż stać i czekać, czy tak czekając jesteśmy nieszkodliwi, czy jesteśmy niewinni ? Czy możemy sobie pozwolić na bezruch ? Czy możemy sobie pozwolić na utożsamienie bezbronności z niewinnością ? To prawda, że jeżeli ktoś jest bezbronny, uczciwość nakazuje aby do tego się przyznał. Jeżeli jest jednak bezbronny przez własne niedbalstwo, nie bardzo mu wolno czerpać otuchy z faktu, że przyznaje się do bezbronności, bo tym samym przyznaje się do winy''.

Odpowiesz na to : ,,Czekanie jeszcze nie jest inercją. Kto milczy i kupuje czas już zdobywa się na opór. Bierny opór jest formą akcji''.

Jest to prawdą, kiedy czekamy na coś i wiemy na co czekamy. Jest to prawdą, kiedy stosujemy opór i wiemy w jakim celu go stosujemy, a także przeciw komu jest on skierowany. Jeżeli jednak naszemu czekaniu nie towarzyszy wiedza ani akcja, okaże się, że czekaliśmy na nasze zniszczenie i na nic więcej. Świadek zbrodni, który notuje w myśli, że jest tylko niewinnym widzem, już niedostrzegalnie staje się wspólnikiem.

Czy czekamy na coś ? Czy jesteśmy za czymś ? Czy wiemy czego chcemy ?

My na uboczu, w stanie mglistego rozdrażnienia, pełni wątpliwości, a tymczasem ,,oni'' walczą ze sobą o władzę nad całym światem. Właśnie nasza niepewność pozwala ,,im'' używać nas, szczuć nas na siebie nawzajem, dla ich pożytku. Nasze poczucie winy, nasza głęboka uraza nie chronią nas wcale od haniebnego losu. Przeciwnie, to nasza uraza jak najdoskonalej wyposaża nas w cechy pozwalające ,,im'' używać nas jako narzędzi. Jak możemy utrzymywać, że nasza inercja jest niewinnością ? To ona jest źródłem naszej winy.

Czy powstrzymanie się od udziału jest możliwe? Czy da się uniknąć wspólnictwa? Ty w swoim kraju a ja w moim — ty w swoim środowisku a ja w moim klasztorze. Czy sam fakt, że nie lubimy tyranii i staramy się umyć ręce od jej poczynań wystarcza aby zachować niewinność?

Po pierwsze, załóżmy, że jasno widzimy kto to są ,,oni''. Kiedy mówię o ,,nich'', odgadniesz, że mam na myśli tych szczególnych ludzi, którzy dążą do władzy nad ,,wszystkimi innymi'' i używają nas jako narzędzi do zdobycia władzy nad innymi. Tak więc ukazują mi się trzy grupy: ,,oni'', ,,my'' i ,,inni''. My, intelektualiści, stoimy po środku i nie powinniśmy zapominać, że ostatecznie wszystko zależy od n a s .

Dlatego tak niezwykle ważne jest, żebyśmy nie ulegali rozpaczy, nie poddawali się ,,nieuniknionemu'' i nie utożsamiali siebie z ,,nimi''. Naszym obowiązkiem jest odrzucić wiarę w ,,nieuniknioność'' ich dróg. A równie ważne jest, żebyśmy zbytnio nie oddzielali się od ,,innych'', którzy od nas zależą i od których my sami zależymy.

Co do potężnych, naszym zadaniem jest rozpoznać ich w porę, nawet kiedy nie rozporządzają policją, nawet zanim zbudują swoją machinę. Musimy umieć ,,ich'' dostrzec gdziekolwiek się pojawią, nawet gdyby wyrastali spośród nas samych czy spośród ,,innych''. Musimy być zdolni ,,ich'' rozpoznać po tym czym s ą , a nie zadawalniać się tym co o nich mówią inni czy oni sami o sobie. Rzadko się zdarza, żeby intelektualista umiał zachować trzeźwość sądu kiedy ,,oni'' zmieniają maski, występują w przebraniach i pod nowymi etykietkami. Jednak ,,oni'' to zawsze ,,oni''. W ich oczywistym interesie jest płacić nam za ukucie im nowego imienia, fałszywej tożsamości, zwłaszcza iż robiąc to przekonujemy siebie, że dokonaliśmy niezwykłego odkrycia. Nie trzeba żeby nasza próżność zaopatrywała ich w fałszywe paszporty.

Załóżmy tutaj, że nie obchodzą nas ich pieniądze, ani ich urzędowa łaskawość, ani ich opieka, ani ciepłe rządowe posady jakie zdolni są nam zagwarantować jeżeli oddamy naszą urazę na ich usługi. Nie trzeba dowodzić, że zakładam za wiele. Bo o b c h o d z i nas to wszystko, nieprawdaż? Nie używajmy jednak przykrego słowa: prostytucja. I tak sytuacja jest dostatecznie przykra, po co więc jeszcze znęcać się nad sobą...

W każdym razie jeżeli ,,czekamy'' musimy być pewni, że nie wmawiają nam skutecznie, raz jeszcze, jakobyśmy to właśnie na ,,nich'' czekali.

Druga myśl. Zanim zdecydujemy, na co czekamy, upewnijmy się najpierw czy naprawdę c z e k a my . Kto wie, może straciliśmy już nadzieję czegośkolwiek innego. Kto wie, może nieświadomie trudzimy się nad utorowaniem drogi czemuś, do czego jak najmniej skłonni bylibyśmy tęsknić. W takim wypadku nie tylko nie czekamy na ocalenie, ale czynnie przygotowujemy własną zagładę.

To prowadzi do trzeciego pytania. Wybacz mi że zapytam: czy jednak czasem nie w o l i m y zawodu i rozpaczy? Czy rozpacz nie sprawia nam przyjemności, nie dostarcza wygodnej ucieczki — bo jest w niej pewna malowniczość — czy poprzez rozpacz nie godzimy się czasem z beztreściowością naszej egzystencji? Gdyż rozpacz wydaje się godna szacunku, do chwili tylko co prawda, kiedy zda się sobie sprawę, że stanowi ona jedynie przygotowanie do przyjęcia następnej ,,ich'' formuły, która wytłumaczy i wykorzysta naszą pustkę.

Bo widzisz, pustka nie jest niewinna, nie jest po prostu neutralna, nie jest ,,niczym''. Nasza nienawiść do siebie nie jest wcale skruchą. Jest to straszliwe duchowe vacuum, w które jak błyskawica może przeniknąć zło, aby spowodować wybuch nienawiści i zniszczenia. N a s z a pustka sprawia, że wybuch jest możliwy. Gdyby nie my, pustka innych nigdy nie zmieniałaby się w czyn, a śmierć, która w nich drzemie, nigdy nie mogłaby się rozpętać, miażdżąc wszystko naokoło.

To przypomina mi o jeszcze jednym. Kiedy ,,stoimy z boku'' staramy się myśleć o sobie jako niezależnych, wyobrażamy sobie, że stoimy na własnych nogach. To prawda, że jako intelektualiści powinniśmy stać na własnych nogach — ale nikt tego się nie nauczy zanim nie uświadomi sobie, w jakiej mierze musi wspierać się na innych. I to nasza sprawa wspierać się wzajemnie przeciwko ,,nim'', a nie szukać oparcia u ,,nich'' i służyć do gniecenia ,,innych''.

,,Oni'' oczywiście nigdy naprawdę nie umieli nikomu służyć za oparcie. ,,Oni'' potrzebują nas, ale nie naszej siły. Nie chcą żebyśmy byli silni, chcą żebyśmy byli słabi. ,,Im'' potrzeba naszej pustki, żeby usprawiedliwić własną pustkę. Dlatego też jeżeli ofiarowują oparcie to zawsze i wyłącznie w formie łapówki. Dają nam jeść po to, żebyśmy dalej spali. Płacą nam po to, żebyśmy milczeli albo, jeżeli mówimy, nie zamącali gładkiej powierzchni tej pustki, z której, we właściwym czasie, musi skoczyć ogniste żądło, rozpętując we wszystkich ludziach wspaniałą eksplozję.

A teraz ostatnie pytanie. Będzie ono ci się prawdopodobnie najmniej ze wszystkich podobało. Muszę je jednak zadać. Czy pozostał nam jakiś wybór? Czy nie powinniśmy maszerować tak jak maszerują inni i wrzeszczeć tak jak inni wrzeszczą? I jeszcze gorzej: czy nie jesteśmy gatunkiem świadków, którzy przez swoją ,,niewinność'' stają się winni i są z góry upatrzeni na ofiary wszelkiego arbitralnego terroru? Jeżeli tak jest i jeżeli potrafimy mgliście sobie uprzytomnić co to znaczy, prawie na pewno nie zdołamy oprzeć się ostatniej i najbardziej upadlającej pokusie: pokusie niewinnego intelektualisty, który rzuca się na oślep we współpracę z ,,nimi'', pozwala się na każdym kroku poniżać, p e w n y , że przygotowuje się jego zagłada i żądając tylko, żeby poniżano go jak najczęściej i jak najbardziej zanim zostanie zniszczony ostatecznie.

Tego boję się dla obu z nas: szaleńczego, frenetycznego dążenia do pozbycia się naszej niewinności, jak gdyby każda inna wina w takim świecie jak nasz była łatwiejsza do udźwignięcia, niż wina która polega na tym, że jest się niewinnym.

Skoro powiedziało się to wszystko i skorośmy się nad tym zastanowili, sądzę, że oskarżyłbyś mnie o złe maniery, gdybym zaproponował łatwe rozwiązanie. Nie jestem tak szalony, żeby na to się silić. Kocham ciebie dostatecznie (słowo ,,kocham'' wymknęło mi się przez pomyłkę) aby oszczędzać twoją uprawnioną dumę. Nie do mnie należy występować z tym samym rodzajem jasnych, porywających programów, jakimi ,,oni'' kuszą innych i łudzą samych siebie. Istotna trudność naszej pozycji stąd pochodzi, że każdy określony program jest dziś oszustwem, każdy szczegółowy plan pułapką, każde łatwe rozwiązanie intelektualnym samobójstwem. Dlatego też natykamy się na dylemat: czy ,,działamy'' czy nie, jesteśmy zniszczeni. Jest pewna niewinność w przyznaniu się do braku rozwiązań. Jest pewna niewinność w rozpaczy: ale tylko jeżeli poprzez rozpacz znajdujemy ocalenie. To znaczy rozpaczając nad tym światem i nad tym co jest w nim. Rozpaczając nad ludźmi i ich planami, po to aby mieć nadzieję niemożliwej odpowiedzi, która kryje się za zasłoną ziemskich sprzeczności a jednak może wtargnąć w nasz świat i rozwiązać je, jeżeli tylko istnieją ludzie utrzymujący nadzieję wbrew rozpaczy.

Prawdziwe rozwiązania to nie te jakie narzucamy życiu w imię naszych teorii, ale te jakie życie dostarcza ludziom gotowym do przyjęcia prawdy. Stąd naszym obowiązkiem jest stronić od wszystkich co mają teorie obiecujące proste i łatwe rozwiązania, odnosić się z podejrzliwością do takich teorii, jednak nie w duchu negatywizmu i klęski, raczej ufając samemu życiu oraz naturze i, jeżeli pozwolisz, ponad wszystko Bogu. Gdyż skoro tylko człowiek zdecydował się zająć miejsce Boga, natychmiast dowiódł, że jest najbardziej ślepym, najokrutniejszym, najbardziej małostkowym i najżałośniejszym ze wszystkich fałszywych bogów. Wolno nam nazwać się niewinnymi tylko jeżeli zawsze będziemy o tym pamiętać i jeżeli będziemy robić cokolwiek jest w naszej mocy aby inni to pojęli.

Przypomnę ci starą, niewinną powiastkę o królu i jego nowych szatach, żeby wyjaśnić co mam na myśli.

Znasz ją, oczywiście. Powoływano się już na nią gdzieś w psychoanalitycznej literaturze. Krawcy zwodzili króla opowiadając mu, że uszyją mu cudowne ubranie, które będzie niewidzialne dla wszystkich, z wyjątkiem naprawdę dobrych ludzi. Przymierzali na nim jak należy to niewidzialne ubranie a król, podobnie jak jego dworacy, twierdził, że je ,,widzi'' i podziwia. Wreszcie goły król paradował po ulicy, gdzie zebrali się wszyscy żeby podziwiać jego szaty, i podziwiali, dopóki dziecko nie ośmieliło się zauważyć, że przecież król jest nagi.

Może uznasz, że popadam tutaj w sentymentalne nawyki. Ale skoro nasze czasy stały się tym czym się stały, odważę się

to wygarnąć. Czyż ty i ja zapomnieliśmy, że naszym powołaniem, nas, niewinnych świadków — i samym warunkiem naszej strasznej niewinności — jest naśladować dziecko i powtarzać, że król jest nagi, choćby miano nas potępić jako zbrodniarzy? Pamiętaj, że dziecko w tej powiastce było jedyną niewinną istotą: a dzięki jego niewinności błąd innych nie nabrał cech zbrodniczych i pozostał tylko śmiesznostką. Gdyby nie było tam dziecka, wszyscy oni byliby szaleńcami czy zbrodniarzami. Ocalił ich okrzyk dziecka.

Thomas MERTON

Z upoważnienia autora tłumaczył
Czesław MIŁOSZ

Zagasły światła szabaśne (I)

(Z CYKLU „ŻYDZI W KULTURZE POLSKIEJ")

I

W Polsce nie ma dziś Żydów. Garść, która się została, est tylko wspomnieniem tej wielomilionowej społeczności, jaka rzed wojną żyła w Polsce. Społeczność ta została wytępiona nie będzie już nigdy wskrzeszona. Wybitny pisarz żydowski — ózef Opatoszu — w jednym ze swych ostatnich przed śmiercią powiadań daje obraz miasteczka polskiego kiedyś w latach, tóre dopiero nadejdą. Było to dawniej miasteczko żydowskie. le w epoce, którą Opatoszu opisuje, Żydów już tam nie ma tylko jakieś głuche zachowało się wspomnienie o dziwnych udziach, którzy tam ongiś żyli. Z mieszkańców miasteczka zotał się tylko jeden — sędziwy starzec — który na własne oczy, dy był dzieckiem, widział owych miejscowych Żydów i coś o nich apamiętał. W opowiadaniu Opatoszu młodzież miejscowa, która rzypadkowo usłyszała o tych dawnych mieszkańcach, stara się d starca dowiedzieć, kim oni byli, co się z nimi stało, dlaczego aginęli. I w ten sposób płynie opowieść-legenda o tych, którzy awet upiorami być przestali, i legenda zdaje się ich wskrzeszać a nowo.

Jest to bardzo piękne opowiadanie. Zawarta w nim myśl asadnicza wyraża pewność, że Polska nigdy o swych Żydach apomnieć nie będzie mogła, że pozostaną oni choćby w postaci egendy — bolesnej, tragicznej, nie dającej się wyrwać z rzeczyvistości polskiej.

„Najstraszniejsze w dziejach ludzkości ludobójstwo, masara kilku milionów Żydów w Polsce, obranej przez Hitlera jako lac straceń, krew i popioły tych ofiar, które wsiąkły w ziemię olską, stanowią istotną więź, która spoiła Polskę z narodem ydowskim i od której uwolnić się nie jest w naszej mocy". — 'ak pisała Maria Czapska w roku 1957 (*Kultura*, Czerwiec 957, str. 53). Są to słowa pełne prawdy i głębi. Czy jednak

tylko wyłącznie krew i popioły ofiar staną się istotną więzią, która połączy Polskę z narodem żydowskim? Mam wrażenie, że nie będzie to więź jedyna i że w miarę, jak czas będzie upływał, oczywistość tych innych więzi będzie stawała się coraz wyraźniejsza. Polska — chcąc czy nie chcąc — nie będzie mogła zapomnieć o Żydach, którzy stanowili część mieszkańców jej ziem.

Od tysiąca lat Żydzi byli jednym z ważnych elementów życia polskiego. Od samego początku dziejów Polski dawała się zauważyć obecność Żydów i udział ich w życiu zbiorowym. Spotykamy ich wśród pierwszych narratorów faktu powstawania państwowości polskiej, bili monetę za pierwszych Piastów, z każdym następnym wiekiem coraz wyraźniej i wszechstronniej zaznaczali swą obecność. Przez tysiąc lat byli częścią rzeczywistości polskiej. Oceniano ich rozmaicie — częściej nieżyczliwie niż życzliwie, nieraz wrogo i potępiająco. A jednak byli oni jakąś częścią składową życia polskiego, jakoś zaznaczali swą obecność i jakoś na całość tego życia wpływali. Żeromski niechętnie nazywał ich „krajowymi cudzoziemcami", zapominając zresztą, że określenie takie nie tylko do Żydów dawało się odnieść. Czy byli cudzoziemcami czy też nie — to może być kwestią, w każdym jednak razie byli krajowymi.

Byli ważną częścią krajobrazu Polski — materialnego i duchowego. I krajobraz ten po odejściu Żydów niezwłocznie musiał się zmienić. Duchowy może jeszcze bardziej niż materialny. Jak pięknie pisze Słonimski o zmienionych miasteczkach polskich:

„Już nie ma tych miasteczek, gdzie szewc był poetą,
Zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem.
Nie ma już tych miasteczek, gdzie biblijne pieśni
Wiatr łączył z polską piosnką i słowiańskim żalem.
Gdzie starzy Żydzi w sadach pod cieniem czereśni
Opłakiwali święte mury Jeruzalem.
Już nie ma tych miasteczek, choć mgły poetyczne,
Księżyce, wiatry, stawy i gwiazdy nad niemi
Krwią stuleci spisały historie tragiczne,
Dzieje dwu najsmutniejszych narodów na ziemi".

W dziejach Polski rozdział żydowski jest zamknięty. Ale zachowa się, i to, co w nim zostało napisane, nie da się już nigdy wymazać, będzie miało odgłosy w rozdziałach następnych tych, których napisanie przypadnie w udziale przyszłym pokoleniom.

Czym jednak rozdział ten został zamknięty? Co stanowi jego treść? Jaka naprawdę była rola Żydów w życiu polskim? — Dopiero dziś, gdy Żydów w Polsce już nie ma, wypadnie dać na te pytania rzeczową i wyczerpującą odpowiedź. Nadchodzi czas, gdy trzeba przystąpić do rzetelnego zbadania historii Żydów polskich. Przede wszystkim zaś nadchodzi czas, gdy wy-

padnie gruntownie i wszechstronnie zbadać rolę Żydów w kulturze polskiej.

Zadanie to kolosalne, wymagające olbrzymiego wysiłku zbiorowego. Przez dłuższy czas największą trudnością będą tu uprzedzenia, małostkowość, często — tchórzostwo. W społeczeństwie polskim sprawa żydowska zawsze miała swe określone emocjonalne zabarwienia. I ma je nadal. Przenosiło się to i przenosi i na świat nauki. O Żydach mówiło się i pisało bardzo dużo. Ale kto z nie-Żydów starał się uczciwie i bezstronnie badać i poznawać zagadnienia żydowskie? Ilu Polaków znało język żydowski czy hebrajski na tyle, by móc na własną rękę zapoznawać się ze sprawami żydowskimi? Rzecz fantastyczna: w Polsce, gdzie każdy „zajmował się" sprawą żydowską, na palcach jednej ręki można było policzyć ludzi, znających język, którym posługiwało się trzy miliony obywateli Rzeczypospolitej. Mówię tu oczywiście o nie-Żydach. Autorzy długich rozpraw na tematy żydowskie nie mieli najmniejszego pojęcia o problematyce życia żydowskiego, o mechanice tego życia, i nie dbali o poznawanie tych rzeczy.

W rezultacie, jeżeli pominiemy źródła i opracowania pochodzące od samych Żydów, zdumiewa i przeraża ubóstwo tego, co zostało tu wniesione przez stronę polską. Dopiero w czasach zupełnie ostatnich ukazanie się znakomitej pracy Marii i Kazimierza Piechotków o Bóżnicach Drewnianych jest pierwszym, naprawdę poważnym i na dużą miarę, opracowaniem jakiegoś zagadnienia żydowskiego, opracowaniem podjętym nie przez Żydów.

Dzieło Piechotków jest — jak dotąd — zjawiskiem odosobnionym. Polska Akademia Nauk ogłosiła dwa tomy monumentalnej *Historii Polski*. W tym ogromnym dziele dzieje Żydów — zdawałoby się — powinny być nieco szerzej uwzględnione. To, co o Żydach tam zostało powiedziane, sprowadza się do kilku stronic, przy czym ukryte jest w ramach szerszej tematyki społeczno-gospodarczej. Kulturze Żydów polskich poświęcono kilkanaście zdań.

Przed wojną było znacznie gorzej. Oczywiście pracowali historycy Żydzi i im zawdzięczamy szereg bardzo cennych opracowań. Bersohn dał znakomity „Dyplomatariusz", Bałaban napisał historię Żydów w Polsce i opracował kilka doskonałych monografii lokalnych grup żydowskich, żeby tylko wymienić jego prace o Krakowie i Lwowie. Takich monografii było znacznie więcej. Jakub Szacki napisał — niestety nie zdążył go ukończyć — monumentalne dzieło o dziejach Żydów warszawskich, Filip Friedman dał wyczerpującą monografię o Żydach łódzkich. Pisali Schipper, Mahler, Ringelblum i wielu innych. W zakresie historii sztuki żydowskiej, folkloru żydowskiego i pokrewnych, prace Bersohna, prace Lilienthalowej — żeby nie wymieniać wielu innych — pozostają trwałym dorobkiem naukowym.

Na dorobku tym przyszły historyk będzie mógł się oprzeć. Jednak prace te ujmują życie zbiorowości żydowskiej w Polsce czy jej poszczególnych fragmentów jako zjawisko samo przez się,

na ogół unikając powiązań z całokształtem życia polskiego. Oczywiście pewne zasadnicze powiązania i tam są zaznaczone. Friedman w swej historii Żydów łódzkich i w pracach, ogłoszonych w „Rocznikach Łódzkich", daje obraz życia żydostwa łódzkiego na tle rozwoju całego miasta. Szacki w swej historii Żydów warszawskich szeroko uwzględnia rozwój Warszawy na tle całej historii Polski. Ale tematem jest tu społeczność żydowska jako taka, jej specyficzne sprawy i zagadnienia. Nie jest ona tu widziana — albo jest widziana tylko w nieznacznym stopniu — jako składnik pewnej szerszej całości — Polski.

To samo odnosi się i do prac z zakresu spraw ściśle kulturowych. Bodajże Piechotkowie byli pierwsi, którzy zauważyli, że architektura polskich synagog drewnianych jest pochodną prądów i tendencji, jakie panowały w całym polskim budownictwie drewnianym, i że tylko na tym tle i w takim powiązaniu może być należycie zrozumiana. Natomiast badacze-Żydzi — nawet najwybitniejsi wśród nich — ograniczali się do opisywania i analizowania przedmiotów i dążeń w obrębie społeczności żydowskiej, tak, jak gdyby działały one autonomicznie, bez związku z bardziej powszechnymi zjawiskami i dążeniami. I tu jest rzeczą znamienną, że bodaj pierwszym i jedynym, który powiązania kulturalne żydowsko-nieżydowskie zrozumiał i głęboko potraktował, był nie-Żyd, Stanisław Vincenz. Jak nikt przed nim, umiał uchwycić wzajemne oddziaływania kulturalne, zachodzące między Żydami i Hucułami. Może pomagało mu i to, że, nie będąc ani Żydem ani Hucułem, miał niezmiernie serdeczny i bliski stosunek do jednych i do drugich.

Pomijając nieliczne wyjątki, strona polska do pracy nad dziejami i rolą Żydów polskich wniosła znikomo mało. Prawda, był Czacki, którego rzecz o Żydach i Karaitach wciąż ma swoją wartość. Ale później przyszły książki Jeske-Choińskiego czy Łuszczewskiego-Marylskiego, których wartość historyczno-naukowa jest żadna. Książki te mają jakąś wartość jako dokumenty socjologiczne, jako materiał dla analizowania pewnych postaw i sądów w środowisku nie-żydowskim. Z tego względu mogą być użyteczne. Ale jako opracowania są bez wartości.

To samo da się powiedzieć o rozprawkach nawet tak poważnych uczonych jak Kutrzeba i Bujak. Prace ich, pisane na użytek zagranicy, były powierzchowne, ujęte propagandowo, zadowalające się tanimi uproszczeniami. W dorobku tych poważnych uczonych nie zajmują one trwałego miejsca.

Charakter czysto dokumentalny mieć może spora ilość książek, broszur i artykułów, zajmujących się różnymi aspektami sprawy żydowskiej w Polsce. Są to zarówno rzeczy antysemickie, jak i apologetyczne, pisane w obronie Żydów. Są wśród nich pozycje cenne, żeby tylko wymienić książeczkę Orzeszkowej, książki Hollaenderskiego czy Lublinera. Można w nich znaleźć pewne materiały faktyczne, pewne dane, które powinny być uwzględnione. Ale olbrzymia większość tych publikacji jest pozbawiona nawet dokumentalnej wartości.

Najgorsze jest jednak to, że olbrzymia ilość podstawowych materiałów uległa zniszczeniu i nie będzie mogła być zrekonstruowana. Wojna i hitleryzm uczyniły pracę przyszłych badaczów nieprawdopodobnie trudną. W wielu wypadkach wypadnie im iść na ślepo, posługując się jakimiś fragmentami podstawowych materiałów, jeżeli choćby i one zostały zachowane. Praca taka może być podjęta tylko przez wielu badaczów i nie prędko może być doprowadzona do jakichś wyników.

II

A przecież praca taka będzie musiała być podjęta. I w formie zbierania, inwentaryzowania tego, co się jeszcze uda odnaleźć, i w formie opracowywania materiałów, i wreszcie w formie tworzenia jakichś syntez. To wszystko będzie musiało być zrobione. I jest rzeczą szczęśliwą, że — choć na wciąż jeszcze skromną skalę — zaczyna już być robione. Dobrą zapowiedzią jest praca nad dziejami poszczególnych osiedli żydowskich w Polsce, prowadzona w Izraelu i w Stanach Zjednoczonych.

W tych wielkich badaniach obok strony żydowskiej i strona polska powinna wziąć udział. I szczególnie w jednej dziedzinie Polacy i Żydzi powinni zespolić swe wysiłki. Chodzi tu o sprawę udziału Żydów w rozwoju kultury polskiej. I to wszystkich aspektów tego udziału, zaczynając od kultury ludowej i kończąc na roli, jaką w literaturze i sztuce polskiej odegrali twórcy pochodzenia żydowskiego. Bez względu na to, jak się tę rolę oceni, wypadnie stwierdzić, że była to rola niemała. Znikając z ziemi polskiej, żydostwo polskie pozostawiło po sobie wkład w kulturę polską, który zapewne okaże się trwały. Jak gdyby żegnając się z Polską, Żydzi dali poezji polskiej Juliana Tuwima, którego imię i dzieło na trwałe zostaną w kulturze narodu polskiego.

I odwrotnie, nie można będzie pominąć tej roli, jaką kultura polska odegrała w życiu duchowym żydostwa polskiego. Znaczenie książki Piechotków polega między innymi i na tym, że sprawa tej roli została tu jasno postawiona, tworząc punkt wyjściowy dla dalszych dociekań. I podobnie, na innym terenie, taki punkt wyjściowy daje Vincenz. Oczywiście najwięcej do powiedzenia na ten temat będą mieli badacze żydowscy, wśród których już i teraz daje się zauważyć zainteresowanie dla tego zagadnienia.

By jednak wszystkie te prace mogły być podjęte poważnie i na dużą skalę, niezbędne będą pewne zabiegi przygotowawcze. W żadnej bowiem dziedzinie badań kulturoznawczych momenty emocjonalne nie będą miały takiego znaczenia, jak w wypadku studiowania roli Żydów w kulturze polskiej, czy też roli kultury polskiej w dziejach żydostwa polskiego. Żydzi opuścili Polskę

przez swą zagładę, przez potworne wymordowanie ich jako wielkiej zbiorowości ludzkiej. Działo się to w Polsce, i choć dokonane przez niemieckich najeźdźców, nie we wszystkich Polakach budziło uczucie zgrozy, przerażenia czy choćby litości. To trzeba jasno powiedzieć. Dla wielu Polaków zagłada żydostwa polskiego była kolosalnym wstrząsem psychicznym. Dla wielu innych jednak to, co zrobił Hitler, było „rozwiązaniem sprawy żydowskiej". I zdanie, że „Hitler za nas zrobił brudną robotę", nie było w Polsce czymś odosobnionym. I nawet nie zawsze uważano, że robota ta była znów tak brudną.

Jest rzeczą oczywistą, że wstrząs psychiczny wśród tych Żydów, którzy zdołali się uratować, był olbrzymi. Powojenny exodus z Polski niedobitków żydostwa miałby zapewne miejsce nawet gdyby nie było tam antysemityzmu. „Nie można żyć na cmentarzu" — zdanie to nieraz słyszałem od powojennych żydowskich uchodźców z Polski. I to samo mówili Żydzi, którzy wojnę spędzili poza Polską i po wojnie do niej wrócić nie chcieli.

Ale wstrząs psychiczny i związane z nim wszelkiego rodzaju postawy antagonistyczne nie były dopiero następstwami wypadków czasu okupacji i okresu powojennego. Cała epoka poprzednia stała pod znakiem „rozwiązywania sprawy żydowskiej w Polsce", była pełna szalonych emocji, zacietrzewienia, urazów psychicznych, stanów głęboko patologicznych. Jak rzeczy te okazały się trwałymi, o tym najlepiej powiedziała słynna ankieta „Kultury" na temat antysemityzmu w Polsce. Wypowiedzi tam zawarte miały ogromną wartość dokumentalną, odnoszącą się przede wszystkim do epoki przedwojennej. Wyraźnie z nich wynikało, że pochodzą od ludzi, których poglądy od dawna były ustalone, przyjęte z całą mocą i bez wahania.

A przecież jednocześnie była tam i chęć ucieczki od tego, co się w Polsce stało, i od samego zagadnienia. Czytając wiele z tych wypowiedzi, myślało się o słynnym „Ciszej nad tą trumną" — klasycznym przykładzie ucieczki przed odpowiedzialnością, przykładzie tchórzostwa i zakłamania. W pewnych kłopotliwych sytuacjach o zamordowanych lepiej jest nie mówić — zarówno gdy chodzi o zamordowanego prezydenta, jak i o cały naród!

Tylko że nad takimi trumnami nie może być ciszej. I ucieczki od nich nie ma. Byłoby straszne gdyby była! Milczenie oznaczałoby wewnętrzną truciznę, niszczącą duszę i ciało tego, który mówić nie chce i mówić się boi.

Bez uwzględnienia tych postaw emocjonalnych, bez uwzględnienia całego klimatu psychicznego, jaki wytworzył się dokoła Żydów polskich, nie może być mowy o rzeczowej pracy nad rolą Żydów w kulturze polskiej i rolą kultury polskiej w rozwoju żydostwa polskiego. Tu nic nie może być przemilczane, nie może być niedopowiedziane. Ten klimat psychiczny, związane z nim koncepcje, racjonalizacje, postawy — wszystko to wymaga sumiennej i obiektywnej analizy. Sumiennej i obiektywnej! To

jest — jak tylko to jest możliwe w granicach psychiki człowieka — wyzwolonej od tych emocji, jakie łączyły się i łączą z całym zagadnieniem.

Zasadniczą przeto rzeczą w tym wstępnym czy przygotowawczym okresie pracy będzie gruntowna analiza tych postaw i opartych na nich wartościowań, które tworzyły treść klimatu psychicznego tzw. sprawy żydowskiej w Polsce. Analiza taka nie usunie istniejących uprzedzeń, urazów i psychoz. I nie będzie to jej celem. Ale umożliwi ona ich zrozumienie i tym samym ułatwi badanie zagadnienia w całej pełni. Trzeba pamiętać, że urazy, uprzedzenia i psychozy były po obu stronach — po polskiej i po żydowskiej, choć w każdej z nich miały inne uwarunkowanie i inny charakter. Niemniej jednak pewne elementy były tu wspólne i one to są najważniejsze.

Takim zasadniczym elementem jest sprawa różności Żydów, ich obcości, ich izolacji. Nie są to pojęcia i zjawiska jednoznaczne. Można być różnym i nie być obcym, można być obcym i nie koniecznie trwać w stanie izolacji. I można się izolować nie koniecznie będąc ani różnym, ani nawet obcym. Wszystkie te pojęcie i zjawiska mają arcyważne znaczenie dla naszego tematu. Jeżeli Żydzi byli tylko różni czy odmienni od Polaków, to oczywiście wzajemne oddziaływania kulturalne mogły być bardzo wszechstronne i żywe. Jeżeli natomiast byli ciałem obcym w polskiej społeczności narodowej, to wzajemne przenikania kulturalne mogły być bądź bardzo ograniczone, bądź też bardzo specyficzne i w najlepszym razie występujące w tych wypadkach, gdy „obcość" ulegała zanikowi czy osłabieniu. Podobnie, jeżeli Żydzi zachowywali pełną izolację od reszty społeczności polskiej, to — niezależnie od tego, czy byli „różni", „obcy" czy też nie — przenikania kulturalne musiały być bardzo ograniczone, jeżeli w ogóle na większą skalę zachodzić mogły. Wszystko to wymaga bardzo dokładnego rozpatrzenia i przeanalizowania.

„Różność", „obcość", „izolacja" prowadzą nas do dalszego zagadnienia, które też miało kapitalne znaczenie dla klimatu psychicznego tzw. sprawy żydowskiej w Polsce. Jest to zagadnienie postaw antagonistycznych po obu stronach. Chodzi tu z jednej strony o kwestię antysemityzmu, z drugiej zaś strony — nieżyczliwego stosunku Żydów do nie-Żydów. Niewątpliwie antysemityzm ma tu szczególnie wielkie znaczenie, gdyż on to nadawał zabarwienie klimatowi duchowemu Polski przedwojennej i — jak wszystko przemawia za tym — ma poważny wpływ na klimat Polski powojennej. Ta sprawa wymaga rzeczowej analizy, dokonanej sine ira, próbującej sięgnąć do najbardziej zasadniczych sprężyn motywacji ludzkiej.

Na temat antysemityzmu w ogóle i w Polsce w szczególności pisano bardzo dużo. Literatura na ten temat jest kolosalna. Rzeczy bardziej wartościowych jest tu znikomo mało. Rzeczy bez wartości czy o wartości wyłącznie socjologiczno-dokumentalnej ilość jest olbrzymia. Samo zagadnienie jest zresztą niesłychanie

skomplikowane i wielostronne. Z góry trzeba stwierdzić, że nigdy nie potrafi się podejść do niego, jeżeli nie wyjdzie się z bardziej szerokich założeń antagonizmu społecznego w ogóle. Antysemityzm jest w tym tylko wypadkiem specyficznym. A do tego antysemityzm w każdym kraju, w którym istniał, i w różnych epokach historycznych był czymś różnym. Antysemityzm niemiecki w swych założeniach historycznych, w swych motywach i racjonalizacjach, w swych formach zewnętrznych był czymś różnym od polskiego, ten zaś z kolei był czymś różnym od np. antysemityzmu ukraińskiego czy litewskiego. Olbrzymia praca naukowa, jakiej dokonano w Stanach Zjednoczonych w dziedzinie sprawy murzyńskiej, niezmiernie ułatwia badanie innych postaci antagonizmu społecznego, w tym również i antysemityzmu. Oczywiście chodzi tu o zasadniczy mechanizm powstawania i działania antagonizmów, przy czym trzeba stale pamiętać, że w każdym poszczególnym wypadku ma się do czynienia z czymś specyficznym.

Te dwa wielkie zagadnienia prowadzą nas do trzeciego, którego doniosłość jest nie mniejsza. Odnosi się ono do mechanizmu przenikania kulturalnego, zwłaszcza w warunkach tak specyficznych jak polsko-żydowskie przenikania kulturalne w Polsce. Wypadnie zbadać, czy przenikania takie rzeczywiście zachodziły, w jakich warunkach się one odbywały, jakie były ich kierunki, do czego one prowadziły. I tu nie uniknie się pewnych podstawowych dociekań zarówno natury teoretycznej jak i empiryczno-badawczej.

Takie oto są fundamentalne zagadnienia, które muszą być postawione na samym wstępie badania roli Żydów w kulturze polskiej i roli tej kultury w dziejach Żydów. Postarajmy się dać próbę jakiegoś podejścia do traktowania tych zagadnień. Nie mamy złudzeń, by można tu dać prostą i łatwą odpowiedź. Ważne jest jednak zacząć, ważne jest dać jakiś punkt wyjściowy. I o to mi przede wszystkim w tych rozważaniach chodzi.

III

W jakim stopniu Żydzi byli ,,różni'' od reszty ludności Polski, w jakiej mierze tworzyli ,,obce'' ciało w obrębie polskiej zbiorowości narodowej? Jak dalece zachowywali stan izolacji? Słowem — by użyć wyrażenia Żeromskiego — czy i w jakim stopniu byli ,,krajowymi cudzoziemcami''?

Fakty ,,odrębności'', ,,obcości'', zupełnej ,,izolacji'', ,,autonomizacji'' społecznej, politycznej i kulturalnej były zawsze przyjmowane jako rzecz oczywista zarówno przez Żydów jak i przez Polaków. Bywały w tych definicjach różne motywacje i różne racjonalizacje, wyciągane były niejednakowe wnioski praktyczne, ale same fakty były powszechnie uznawane za oczy-

wiste. Nawet tak obiektywni badacze, jak Brückner czy Bystroń, w tych rzadkich momentach, gdy wypadało im mówić o Żydach, jeżeli nie kładli nacisku na ,,obcość'', to w każdym razie mówili o ,,różności'' i mocno podkreślali fakt kulturalnej izolacji żydowstwa polskiego. Wszyscy inni ,,różność'', ,,obcość'' i ,,izolację'' wysuwali na czoło swych rozważań i wniosków.

Ci, którzy do Żydów odnosili się nieprzychylnie, w cechach tych widzieli wystarczające uzasadnienie dla swych postaw antagonistycznych. Przeważnie uważali oni, że ,,różność'' Żydów jest tak zasadnicza, iż oznacza zupełną ,,obcość'', której usunąć się nie da, i że z ,,różnością'' i ,,obcością'' związane są pewne właściwości Żydów, uniemożliwiające Polakom współżycie z nimi. Była to więc głęboko pesymistyczna ocena możliwości współistnienia polsko-żydowskiego. Takie poglądy spotykamy u Staszica i u Wincentego Krasińskiego, swój zaś punkt szczytowy znalazły one w przedwojennym rasizmie.

Wcześni przedstawiciele takiego stanowiska widzieli źródło odrębności, obcości i szkodliwości Żydów w ich wierzeniach religijnych. Był to pogląd bardzo rozpowszechniony, który przetrwał prawie aż do naszych czasów. Religia żydowska i jej zasadnicze instytucje — rabinat i prawo talmudyczne — oto co uczyniło z Żydów element fundamentalnie różny od innych, obcy, izolujący się, a jednocześnie obdarzyło ich właściwościami społecznymi, które okazały się bardzo szkodliwe dla nieżydowskiego otoczenia. Tych rzeczy przezwyciężyć czy usunąć się nie da. Staszic i Wincenty Krasiński patrzą na to bardzo pesymistycznie. Co więc pozostaje? Trzeba z jednej strony jak najdalej ograniczyć wpływ religijnych instytucji żydowskich, z drugiej zaś strony izolować Żydów od reszty ludności kraju. Staszic obie te myśli sformułował bardzo konkretnie. Daje on szereg wskazań praktycznych, jak należy usunąć wpływ Talmudu, jak złamać panowanie rabinów oraz jak usunąć Żydów z tych dziedzin życia gospodarczego, w których wpływali oni rozkładowo na ludność nieżydowską.

Jest rzeczą zdumiewającą, że tak trzeźwy umysł jak Staszic nie zauważył, iż odpowiedzialność za rozpijanie ludności wiejskiej Żydzi dzielili z polskim ziemiaństwem i że prawo propinacji było w znacznie większym stopniu sprawą szlachecką niż żydowską. Nie było dla niego jasne, że w systemie szlachecko-folwarcznym Żyd był tylko jednym z kółek całego mechanizmu i że właściwości Żyda — Staszic naiwnie przypisywał je momentom religijnym i wpływowi Talmudu — były uwarunkowane przez funkcje gospodarcze, jakie Żydzi wykonywali w obrębie systemu folwarcznego. Na sprawę żydowską Staszic patrzał pod kątem widzenia pańszczyźnianego chłopa, który źródło swej niedoli widział w narzędziu, nie zaś w tym, kto to narzędzie stworzył i nim się posługiwał.

Zasadnicza ocena źródeł i charakteru odrębności i obcości Żydów, tak jak ją sformułował Staszic, panowała przez całe

następne stulecie. W jej duchu były utrzymywane racjonalizacje tych, którzy — jak Staszic — do Żydów odnosili się nieżyczliwie. Szkodliwość Żydów płynęła z ich religii. Z takimi poglądami można się jeszcze spotkać u Szczepanowskiego. Stopniowo jednak zaczęło się wytwarzać przekonanie, że sama religia żydowska jest tylko odbiciem złych właściwości Żydów jako specyficznej, wyjątkowej i nie mającej sobie podobnej zbiorowości ludzkiej. Andrzej Niemojewski napisał całą książkę, w której udowadniał, że Talmud jest tylko odbiciem duszy żydowskiej, że nie tylko Żydzi są jego dziełem, ale — i co ważniejsze — jest on dziełem samych Żydów. W każdym razie i u Niemojewskiego zachodzi powiązanie religii żydowskiej ze szkodliwymi społecznie właściwościami Żydów.

W poglądach Niemojewskiego była już zapowiedź powstawania nowej koncepcji. W wieku XX było sprawą coraz oczywistszą, że momenty religijne przestają w życiu żydowskim odgrywać tak przemożną rolę, jaką odgrywały dotąd. W okresie międzywojennym — zwłaszcza w większych ośrodkach miejskich — wpływ rabinów słabł i w żydostwie polskim coraz silniejsze były prądy sekularyzacyjne. Coraz też większa była ilość tych Żydów, którzy w swym życiu Talmudu nigdy w ręku nie mieli. Oczywiście można było mówić — i tak mówiono — o stałym wpływie etyki Talmudu, o tradycjach, jakie zachowały się i wśród tych Żydów, którzy z religią, Talmudem i rabinami zerwali, ale takie zdania brzmiały mniej przekonywująco niż za czasów Staszica i Wincentego Krasińskiego. Potrzebne były inne racjonalizacje.

Racjonalizacje takie występowały w różnych postaciach. Najogólniej rzecz biorąc, sprowadzały się one do wspólnego przekonania o konstytucjonalnej odrębności Żydów, o ich zasadniczej obcości w każdym środowisku ludzkim i we wszelkich warunkach. Rasizm stał się najbardziej skrajną formą tych racjonalizacji. Ludzie, którzy takie stanowisko zajmowali, sami nie zbyt poważnie traktowali własne życie religijne. Z większym szacunkiem odnosili się do koncepcji, które uważali za naukowe. Rasizm — w swych różnych postaciach i sformułowaniach — był koncepcją, która mogła być traktowana jako naukowa.

Inaczej niż w Niemczech, rasizm w Polsce przedwojennej nigdy nie miał jakiegoś jednolitego czy jednoznacznego sformułowania. W rzeczywistości mówiąc o polskim rasizmie, możemy mieć na myśli różne koncepcje, których wspólną cechą było uznawanie Żydów za element organicznie, *ex definitione* obcy i odmienny od elementu polskiego. Bardzo często miało to postać romantycznego mistycyzmu nacjonalistycznego, tak, na przykład, typowego dla Chołoniewskiego i wielu innych przedstawicieli antysemityzmu polskiego. W tym ujęciu Żydzi reprezentowali duchowość nie tylko organicznie odmienną od duchowości polskiej, ale jej wrogą i dla niej zgubną. Stąd płynęła konieczność izolowania Żydów, niedopuszczania, by wpływy żydowskie — destrukcyjne — przenikały w życie polskie. Koncepcje takie

bez wątpienia korzeniami swymi tkwiły w romantyzmie — bardziej zresztą niemieckim niż polskim. Odgłosy Fichtego i Hegła były w tym bez porównania silniejsze niż odgłosy Lelewela i jego szkoły. Zresztą Lelewel, gdy chodzi o Żydów, pod takimi poglądami nigdy by się nie podpisał.

Rasizm — podobnie zresztą jak komunistyczny marksizm — należy do wielkiej grupy magicznych filozofii socjologicznych i historiozoficznych. W ujęciu rasizmu aparat wpływów kulturowych sprowadza się do podziału wszelkich wartości na „czyste" i „nieczyste", przy czym pierwsze są przypisywane kulturze i duchowości własnej, drugie — kulturom i duchowościom obcym. Zwłaszcza pewnym z nich. „Czyste", stykając się z „nieczystym", ulega zanieczyszczeniu. Stąd konieczność izolowania „czystego" od „nieczystego" i konieczność środków ochronnych, skierowanych przeciwko Żydom. Rasizm w każdej postaci jest niesłychanie ciekawym obiektem badawczym dla każdego, kogo interesuje rola magii w życiu ludzkości. Badaczowi w tym wypadku spokój ducha zamąca świadomość, że magia ta okazała się w praktyce znacznie mniej niewinna od wielu innych magii i że owocem jej były niedola i zagłada milionów istot ludzkich. Pod każdym też względem jest nieskończenie łatwiej badać tę magię na terenie np. Stanów Zjednoczonych, gdzie działanie jej w stosunku do Murzynów jest przedmiotem licznych i owocnych studiów.

Organiczna odrębność, wynikająca z religii, i organiczna odrębność, wynikająca z różnic duchowo-rasowych, to dwa krańce racjonalizujące antagonizm do Żydów. Po środku była cała masa innych racjonalizacji bądź łączących religię z rasą, bądź wprowadzających jeszcze dodatkowe elementy. Było ich dużo, ale wyliczanie ich nie wniosłoby nic nowego ani istotnego do naszych rozważań.

Celem tych ostatnich zresztą nie jest przedstawienie dziejów czy też systematyzacja różnych koncepcji antysemickich. Praca taka nie została dotąd zrobiona, ale powinnaby być zrobiona. Ujęta obiektywnie, przy użyciu całego aparatu dociekania naukowego, miałaby kolosalną wartość zarówno dla historii ideologii, jak — i może przede wszystkim — dla socjologii i antropologii kulturalnej. W niewielu bowiem dziedzinach mitotwórstwa elementy magiczne były tak wyraźne i dominujące, jak w tej.

Nam jednak wystarczy tu zadowolić się stwierdzeniem faktu najbardziej ogólnego: że istniały postawy i racjonalizacje, które przyjmowały absolutną, organiczną „różność" czy „obcość" Żydów i nie wierzyły w możliwość jej przezwyciężenia. Postawy takie i racjonalizacje *implicite* czy *explicite* zakładały, że „obcość" musi prowadzić do antagonizmu. Stały one na stanowisku pospolitej koncepcji, że antagonizm do obcego jest naturalnym produktem obiektywnego istnienia „obcości" i jej odczuwania przez tych, którzy obcymi nie są, przez swojaków. Antagonizm

taki może prowadzić bądź do całkowitego usunięcia „obcych", bądź też — jeżeli pierwsze w praktyce okaże się nieosiągalne — do takiego ich izolowania, by nie mogli szkodzić swojakom. W wypadku Żydów „różność" ich i „obcość" były uważane za fakt oczywisty i nie podlegający dyskusji. Różnice były tylko w tym, jak charakteryzowano „różność" i „obcość" i jak ustalano ich źródła.

IV

Ale fakty „różności" i nawet „obcości" Żydów były w Polsce przyjmowane nie tylko przez tych, którzy do Żydów odnosili się nieżyczliwie czy wrogo. Przyjmowali je i tacy, którzy do Żydów odnosili się bardzo życzliwie. Przede wszystkim zaś przyjmowali je sami Żydzi.

Ani Butrymowicz, ani Czacki, ani Łukasiński nie negowali faktu odrębności czy obcości Żydów, nie zaprzeczali, że Żydzi w Polsce tworzą osobną społeczność, izolującą się od polskiej społeczności narodowej. Nie zaprzeczała tego i Orzeszkowa, nie zaprzeczali wszyscy inni pisarze i działacze społeczni, którzy w duchu humanitaryzmu szukali rozwiązania sprawy żydowskiej. I nie negowali tego faktu sami Żydzi, zarówno asymilatorzy jak i nacjonaliści. Wszyscy oni jednak posługiwali się innymi motywacjami i wyciągali inne wnioski praktyczne niż ludzie, o których mowa była przedtem.

O odrębność Żydów, o ich obcości, o ich izolowaniu się dużo mówili tacy ludzie, jak Butrymowicz, Czacki, Niemcewicz, Łukasiński, Maciejowski i inni reprezentujący podobny sposób patrzenia na sprawę żydowską w Polsce. I oni zwracali uwagę na swoiste właściwości gospodarczej działalności Żydów i oceniali je ujemnie. Wreszcie i oni widzieli źródło tych anomalii w życiu religijnym żydostwa.

Inaczej jednak niż Staszic i Wincenty Krasiński, byli oni optymistami. Przedstawiciele Wieku Oświeconego, racjonaliści, wierzyli oni, że źródłem zła jest ciemnota, że wraz z postępami oświaty znikać będą żydowskie „przesądy" religijne i że Żydzi zarówno upodobnią się do reszty obywateli jak i sami staną się dobrymi Polakami i pożytecznymi członkami społeczeństwa. Niektórzy z nich — jak Czacki — wnikliwie dostrzegają związki między właściwościami Żydów polskich a całą sytuacją ekonomiczną i kulturalną Polski. Inni — jak Łukasiński — widzą w Żydach polskich wielkie możliwości dla przyszłości całego kraju i sądzą, że polityka szerzenia oświaty i równouprawnienia obywatelskiego najlepiej przysłuży się sprawie wydobycia i rozwinięcia tych możliwości. Dla przedstawicieli tego kierunku sprawa żydowska jest jedną z zasadniczych spraw życia narodowego polskiego, jedną z tych, które muszą i mogą być pomyślnie

rozwiązane na drodze cierpliwej i wytrwałej pracy na polu oświaty i reformatorstwa społeczno-gospodarczego.

Co więcej, wierzyli oni, że dowody postępu są już teraz widoczne. Niemcewicz w swej powieści „Lejbe i Siora", pisanej w formie wymiany listów między parą zakochanych, starał się wykazać, jak pod wpływem oświaty młode pokolenie żydowskie zmienia dotychczasowy sposób życia, jak przeobraża się jego mentalność, jak przetwarza się ono w dobrych obywateli i Polaków.

Powieść ta uległa dziś zapomnieniu. Literacko zresztą rzecz to bardzo słaba, a i samo podejście autora jest naiwne. Ale jako dokument czasu i jako wyraz przekonań wielkiego humanitarysty, rzecz to bardzo interesująca. Miała też ona poważny wpływ na prądy emancypacyjne wśród młodzieży żydowskiej owych czasów. Napisana w wiele lat później książka Hilarego Nussbauma „Leon i Lajb" pozostaje pod wyraźnym wpływem owej powieści Niemcewicza.

Idee Czackich, Łukasińskich i Niemcewiczów zostały z czasem podjęte przez pozytywizm, który i pod tym względem okazał się spadkobiercą Wieku Oświeconego. W tym, co Orzeszkowa pisała w swej broszurze o kwestii żydowskiej, w tym, jak problematykę żydowską ujęła w Meirze Ezofowiczu, mamy wyraźną tradycję zarówno Czackich i Łukasińskich, jak i Niemcewicza. Złem jest ciemnota Żydów, związana z ich wierzeniami religijnymi. Złem są rządy ciemnych, fanatycznych rabinów. Lekarstwem może być tylko oświata. Na szczęście w młodym pokoleniu żydowskim występują już nowe prądy, jest potężne dążenie w kierunku wyzwolenia się spod jarzma przesądów, nałożonego przez rabinizm. Temu młodemu pokoleniu należy podać rękę. W nim jest zapowiedź lepszej przyszłości i droga do rozwiązania całego zagadnienia.

W epoce, w której żyła i działała pisarka, tendencje asymilatorskie wśród Żydów były bardzo wyraźne. Istniała też już liczna grupa inteligencji polsko-żydowskiej, która podzielała poglądy Orzeszkowej. Sama pisarka miała wśród tych ludzi wielu najbliższych przyjaciół, żeby tylko wymienić Meyeta. Istnienie tych prądów i takich ludzi było dla Orzeszkowej, i wielu Polaków jej czasów, najlepszą rękojmią, że przez oświatę, przez równouprawnienie da się Polsce duży zastęp wartościowych i oddanych jej obywateli.

Orzeszkowa też, bardziej niż pisarze początku wieku XIX, mogła podkreślić historyczne związanie Żydów polskich z krajem. Działalność pisarki przypadła na okres po roku 1863. A karta żydowska w Powstaniu Styczniowym nie była zła. Orzeszkowa mogła więc mówić o tym, że Żydzi umieli wykazać swój patriotyzm i obywatelstwo, mogła też sięgać w dalszą przeszłość historyczną, by stwierdzić, że i dawniej Żydzi umieli służyć wspólnej ojczyźnie. Legenda historyczna w Meirze Ezofowiczu — legenda zresztą nie bez uzasadnienia historycznego —

była niczym innym jak podjętą przez wielką pisarkę próbą nobilitacji żydostwa polskiego, czy też próbą jego historycznej rehabilitacji.

Wnosi to moment bardzo ważny, na ogół obcy pisarzom początku wieku XIX. Stwierdzając odrębność Żydów i fakt ich izolowania się, Orzeszkowa jednocześnie kwestionuje „obcość" żydostwa polskiego. Jeżeli Żydzi stali się „obcymi", to jest to zjawisko przejściowe, wynikłe zarówno z anomalii życia polskiego jak i żydowskiego. Ale Żydzi nie zawsze byli „obcymi". W rzeczywistości i teraz jest to obcość raczej pozorna, sztucznie utwierdzana przez zabobony rabinów z jednej strony i przez antysemitów z drugiej. Żydzi bowiem jako całość — by nie mówić o coraz liczniejszych jednostkach — są związani z Polską, są jej częścią składową, mają swe polskie tradycje historyczne. Tu Orzeszkowa zbliża się do innego stanowiska w ujmowaniu zagadnienia żydowskiego w Polsce, do stanowiska, o którym wypadnie nam pomówić osobno.

Inni pisarze doby pozytywizmu — Konopnicka, Szymanowski, we wcześniejszych okresach Świętochowski, Prus — byli bliscy poglądom Orzeszkowej. I dla nich istota zagadnienia leżała w ciemnocie mas żydowskich, w ich zależności od rabinów, w przepisach prawa talmudycznego. I dla nich lekarstwem były postępy oświaty. Wreszcie — podobnie jak Orzeszkowa — mocniej akcentowali „różność" niż „obcość" Żydów polskich. Z dumą przecież mówił o sobie Mendel Gdański, że jest on gdański a nie jakiś inny. Podnoszenie faktu historycznego i uczuciowego związania Żydów z krajem było rozpowszechnione w literaturze pozytywistycznej i przetrwało — choć w stopniu słabszym — w literaturze okresu następnego.

W każdym razie jeżeli „różność" czy „odrębność" były silniej akcentowane od „obcości", nie oznaczało to jeszcze pełnego „uswojszczenia" żydostwa polskiego przez pisarzy okresu pozytywizmu. „Odrębność" od „obcości" różniła się raczej pod względem stopnia oddalenia czy przybliżenia do polskości. Silniej podkreślając „odrębność" niż „obcość", pozytywiści tym samym odcinali się od antysemityzmu, który był przecież postawą antagonistyczną wobec Żyda jako obcego. Wyrażali też swoje optymistyczne przekonanie, że Żydzi ulegną „uswojszczeniu", że różnice między nimi a Polakami zostaną zatarte i że tym samym zniknie to, co w Żydach jest „obcego". Postępy asymilacji językowej i kulturalnej wśród Żydów napawały ich otuchą i umacniały ich wiarę.

Bez względu jednak na to, czy silniej była akcentowana „odrębność" czy „obcość", stwierdzany był brak „swojskości", a przynajmniej brak całkowitej i nie budzącej wątpliwości „swojskości". Pomijając asymilujące się jednostki i grupy, pomijając owych „Polaków wyznania mojżeszowego" (wielu z nich zresztą szybko zmieniało wyznanie), Żydzi w swej masie nie byli Polakami, w wielu najbardziej zasadniczych rzeczach bardzo się od Polaków różnili. I w gruncie rzeczy — nawet u Orzeszkowej —

mieli w sobie coś obcego. Pojęcia te nigdzie i nigdy nie były jasno zdefiniowane, rozgraniczenia nigdzie i nigdy nie były wyraźnie przeprowadzone. Brano je intuicyjnie.

Źródłem, z którego miały płynąć cechy żydostwa polskiego, było nadal życie religijne Żydów i jego instytucje. Inaczej — źródłem tym była ciemnota. Dopiero później zaczęto większą uwagę zwracać na anomalie struktury gospodarczo-zawodowej Żydów, jako czegoś nie koniecznie tylko wypływającego z Talmudu i rządów rabinów. Nastąpiło to jednak w czasach późniejszych i łączyło się ze sprawami, o których w tym miejscu mówić jeszcze nie możemy.

(Dalszy ciąg nastąpi) *Aleksander HERTZ*

Podróż do Europy (dok.)

VI NIEMCY

13 sierpnia

Na granicy szwajcarsko-niemieckiej urzędnik celny dyskretnie stuka do drzwi przedziału, zanim wchodzi. Nie ogląda zawartości moich walizek, salutuje i wychodzi. Po chwili, nie mniej dyskretnie, stuka do drzwi inny urzędnik. *Bayerische Passkontrolle, bitte.* Zwraca mi paszport wytwornym ruchem. Na peronie, w chwili odejścia pociągu, rozlega się głośnik: *Wir wuenschen ihnen eine recht gute Reise.*

No dobrze. Jestem w Niemczech po raz pierwszy od 25 lat, więc przylegam do okna i patrzę. Chciwie patrzę, żeby nic nie uszło mojej uwagi. Widzę najpierw jabłonie, mnóstwo jabłoni z czerwonymi na nich jabłkami, których jest tak dużo, że gałęzie trzeba było podeprzeć długimi kijami, żeby nie załamały się pod ciężarem. A z tego wniosek, że natura również nie jest samowystarczalna i bez człowieka nie może sobie poradzić. W każdym razie dobrze, że jabłka są czerwone, to znaczy że ich nie zrywają póki zupełnie nie dojrzeją. W Ameryce zrywa się owoce w stanie zielonym, kładzie do skrzyń i wysyła. Nie gniją, bo nie mają na to czasu, muszą po drodze dojrzewać, ale wskutek tego nie mają smaku ani zapachu. Mam jednak oglądać Niemcy, postanawiam o Ameryce nie myśleć. Stacja. Po peronie chodzi młoda, brzydka dziewczyna w szortach i ciężkich wycieczkowych butach. Ma ogromny plecak, z którego zwieszają się zapasowe buty i który musi ważyć prawie tyle co ona. Nie ugina się jednak wcale, chodzi rzeźko. Opodal grupa męska, panowie i młodzieńcy w krótkich skórzanych spodenkach i też z plecakami. Czytałem jeszcze w Szwajcarii w „Süddeutsche Zeitung", że niemieckich turystów za granicą w tym roku nie lubią. Nie

z powodu wojny i Hitlera, tylko teraz, na nowo. Coraz częściej się zdarza, że im nie wynajmują pokoi w hotelach. Niemieckie pismo stwierdzało z żalem ten smutny fakt, dodając, że w niektórych wypadkach niemieccy turyści sami są temu winni. Są często krzykliwi, aroganccy i kobiety noszą za krótkie kostiumy kąpielowe. Nade wszystko jednak należy pamiętać, że „z nieznanych i niezrozumiałych dla nas powodów" wszystkich zagranicą irytują kuse skórzane spodnie. Wobec tego lepiej zostawić je w domu. „Süddeutsche Zeitung" nie rozumie powodów, które jednak łatwo zrozumieć. Gdyby te spodenki nosił jeden albo stu niemieckich turystów, to by to uszło. Ale sam widziałem, że noszą je wszyscy, taka jest teraz niemiecka moda. Więc ludzi oczywiście gniewa ten stadny instynkt, ta mundurowość.

Monachium. Stacja wygląda jak zbudowana na prędce, dawną widocznie zbombardowano. Dokoła podejrzanie dużo uprzątniętych, ale pustych placów.

Tragarz bierze moje walizki. Jestem sam, moja znajoma musiała wrócić do Marsylii.

— Jak jest z hotelami? Można dostać pokój?

— Można. Nie warto nawet brać taksówki. Kilka dużych hoteli jest zaraz koło stacji.

Idziemy. Tragarz ma najmniej sześćdziesiąt lat, północny akcent i z pewnością nie był przed wojną tragarzem. Mówi jak inteligent. Więc albo zbyt się odznaczył w „minionym okresie" i musiał zmienić zawód i miejsce zamieszkania, albo uciekinier z sowieckiej strefy. Kupiłem gdzieś po drodze monachijską gazetę „8 Uhr-Blatt", gdzie był artykuł o tych uciekinierach. Wielu z nich mieszka jeszcze w barakach i przybywa ich coraz więcej. Nie są mile widziani. *Ueberall,* pisała gazeta, *wo Lager neu belegt, erweitert oder gar neu errichtet werden sollen, wehren sich die Gemeinden mi Haenden und Fuessen.* Czyli że gminy bronią się przeciwko przyjęciu uciekinierów rękami i nogami. W artykule nie było ani jednego słowa współczucia pod adresem tych niemieckich rodaków.

W pierwszym hotelu nie ma pokoju, w drugim też. Idziemy do trzeciego. Po drodze odbieram tragarzowi jedną walizkę. Może że jednak *Fluechtling* a nie co innego?

W trzecim dostaję pokój. Zostawiam rzeczy w hotelu i idę na miasto. Znam dosyć dobrze Monachium z dawnych czasów, chcę zobaczyć, co się zmieniło.

Dochodzi dziesiąta wieczorem. Ulice są głośne, ruch bardzo duży, sklepy eleganckie. Na ulicach sprzedają parówki i kiełbaski z musztardą. Przed lokalami z muzyką tłoczy się młodzież. W jednym takim lokalu występuje *Vahnia, Sexbombe aus Rom.* Jeśli kobieta, to dlaczego Wania? I dlaczego z Rzymu, jeśli Wania?

Stary, bardzo piękny ratusz stoi. Widocznie odbudowali, bo czytałem podczas wojny, że zburzony. Wszystko już chyba odbudowali, przynajmniej w śródmieściu. I nawet ulepszy

i upiększyli ulice. Dużo drogich i eleganckich sklepów umieszczono w podwórkach z gładką brukową kostką i arkadami dokoła, jak we Włoszech. Wieczorem wystawy i podwórka są rzęsiście oświetlone.

Chcę kupić gazetę, ale wszystkie kioski są zamknięte. Przeszedłem przez całe śródmieście, od stacji aż do końca Maximilianstrasse. Ani jednego otwartego kiosku.

— Musi pan jechać na stację — radzi mi policjant. — W mieście nie ma.

— Dlaczego?

— Bo nikt gazet nie kupuje. Dawniej kioski zamykano o dwunastej, teraz o dziesiątej.

Policjanci wyglądają jak fryzjerzy. Mają luźne białe kitle i są bez broni. Kiedy zobaczyłem pierwszego, nie wiedziałem, że to policjant i dziwiłem się, że jakiś fryzjer wymachuje po nocy rękami na ulicy.

Nie wydarzyło się w ten dzień nic specjalnie sensacyjnego, ale we wszystkich europejskich miastach, nawet w zasypiającym po dziesiątej Zürichu, gazety na głównych ulicach sprzedają do późnej nocy. Albo w kioskach albo z ręki. Tu widocznie apatia polityczna jest jeszcze większa niż gdzie indziej.

Maximilianstrasse robi o wiele szykowniejsze wrażenie niż przed wojną. Zwłaszcza niektóre sklepy. Jej odcinek przy Englischer Garten przypomina Rue de la Paix, tylko że tu jest większy przepych. I więcej samochodów najdroższych marek. Z teatrów wychodzą panie w wieczorowych sukniach oraz panowie w smokingach.

15 *sierpnia*

W przed-hitlerowskim Berlinie był kabaret artystyczny „Kladderdatch”, który prowadził Friedrich Hollaender. Pisał wszystkie piosenki i wszystkie skecze, był reżyserem, odkrywał nowe talenty i oczywiście komponował muzykę. Jeśli ktoś pamięta piosenki, które śpiewała Marlena Dietrich, jeśli ktoś pamięta „Niebieskiego anioła” i jej inne filmy — to właśnie on. Skomponował melodie wszystkich piosenek i napisał ich tekst.

Otóż Frierich Hollaender, twórca kabaretu, który stał na takim samym, jeśli nie wyższym, poziomie artystycznym jak „Qui Pro Quo” za najlepszych czasów, wrócił z Ameryki do Niemiec i ma w Monachium kabaret, który nazywa się „Die kleine Freiheit” — „Mała wolność”. A rewia, którą dziś widziałem, nosi tytuł „Der grosse Dreh”, co w tłumaczeniu z niemieckiego, a właściwie z berlińskiego, oznacza „Wielki kant”.

Przedstawienie odbywa się w maleńkiej sali, mieszczącej najwyżej 150 osób. Orkiestrę zastępują dwa fortepiany, dekoracji prawie że nie ma. Występuje tylko osiem osób, cztery aktorki i czterech aktorów.

Rewia jest wspaniała. Taka, że się z niecierpliwością czeka w antrakcie na dalszy ciąg. Każdy aktor i każda aktorka ma innego rodzaju talent. Ten do sentymentu, ta do groteski, ten znowu do melancholijnej drwiny. Ale wszyscy są świetni i wszyscy wyczuwają muzykę każdym ruchem, każdym drgnieniem powiek. Teksty są raczej niedbałe, niedonoszone. Ale muzyka zaskakująco oryginalna, dowcipna, świeża i jednocześnie zupełnie prosta. Płynie wprost do serca i pomaga żyć. Robi się przy niej jaśniej na duszy, choć nie jest bynajmniej wesoła. Ustala duchowe pokrewieństwo i wspólnotę ludzką, niemal potwierdza teorię Junga, że podświadomość jest jedna, ogólna i wspólna, a nie oddzielna i różna w każdym ludzkim wypadku. Bez Beethovena mógłbym żyć, i bez Bacha i bez Mozarta. Tak już nisko upadłem. Bez Debussy'ego i Szopena byłoby mi już trudniej, ale bez takiego typu melodii nie mógłbym wcale, bez takich melodii na co dzień.

Trzeba jednak dodać, że rewia była całkowicie pozbawiona nie tylko akcentów politycznych, lecz nawet aktualnych. Mogła się dziać 30 albo 50 lat temu i można by ją grać wszędzie, na całym świecie, nie zaczepia żadnej możnej osoby, ani w Niemczech, ani w Ameryce, ani w Rosji. Wada? Pewnie że wada. Ale jakiego trzeba talentu, żeby rezygnując z góry z łatwych oklasków — gdy się powie coś o Chruszczowie, albo Eisenhowerze, albo o własnych sławach — stworzyć rewię na takim poziomie. I jeszcze trzeba dodać, że przedstawienie miało wielkie powodzenie. Aktorów wywoływano chyba z piętnaście razy. ,,Wielki kant'' grają już od wielu miesięcy.

Wracając z teatru do domu rozmyślałem o eskapizmie tej rewii i niemieckim eskapizmie w ogóle. Niemiecki eskapizm ma pewne swoiste cechy. Na pierwszy rzut oka niby to podobnie jak gdzie indziej. W księgarniach przeważnie Simenon'y i tłumaczenia amerykańskich kryminałów. Opowiadano mi, że jednemu bardzo dobremu pisarzowi — bo kilku takich jest — wydawca zwrócił rękopis z uprzejmym listem: nie może wydać, bo rzecz jest *zu Gedankenreich* — ma zbyt dużo myśli. A takich książek publiczność nie chce czytać.

Niemcy nie chcą myśleć. Mało kto na świecie chce w dzisiejszych czasach. Nie wiadomo od czego zacząć i do czego to doprowadzi. Brak fundamentu i dachu. W Niemczech w o wiele większym stopniu niż w innych krajach. Tu prawie wszyscy wsiedli w swoim czasie do pociągu, który miał im dać wielkość. Pociąg dudnił po szynach, niektórzy powyskakiwali, kiedy zaczął się kołysać, inni już nie zdążyli. Pociąg wykoleił się, wszystko roztrzaskało się na kawałki, nie było już nawet szyn. I do teraz nie ma. Przed Hitlerem niemieccy socjaldemokraci mieli swoje codzienne gazety w każdym większym mieście. Gazety były rozmaite, lepsze i gorsze, o polityce niemieckich socjalistów przed Hitlerem, zwłaszcza bezpośrednio przed dojściem Hitlera do władzy, też dużo by się dało powiedzieć. Ale były to w każdym

razie dzienniki o pewnym nastawieniu ideologicznym, głoszące jakąś wiarę. I w każdym mieście było tylu czytelników tych gazet, że mogły się utrzymać. Dziś w całych Niemczech nie ma ani jednej, dosłownie ani jednej codziennej gazety socjalistycznej. Jest tylko mizerny „Vorwaerts", który wychodzi raz na tydzień. Partia socjaldemokratyczna jest, owszem. Prawie tak samo liczna i silna, jeśli chodzi o Niemcy zachodnie, jak przed Hitlerem. Jest nawet dosyć prawdopodobne, że po śmierci Adenauera obejmie władzę. Ale gazet nie może wydawać, ponieważ członkowie partii nie chcą ich czytać. W razie wyborów będą głosowali, a jakże. Stara firma i mają zaufanie, że za nich o wszystkim pomyśli. Sami nie chcą myśleć, stanowczo nie chcą.

Ale miałem mówić o niemieckim eskapizmie. Otóż Niemcy, jak mi się zdaje, wyżywają się teraz w pracy. To jest ich eskapizm. Praca też może być eskapizmem, zwłaszcza praca mechaniczna, nie wymagająca wielkiego pomyślunku, lecz jednocześnie dostatecznie absorbująca umysł, by nie błądził w niebezpiecznych obłokach. Stój przy maszynie i rób. Kładź cegły i buduj. I zarabiaj, jak najwięcej zarabiaj. „Francuzi jadą na niemieckiej benzynie", krzyczy wielkimi literami „Frankfurter Rundschau". Nie tylko Francuzi. W ciągu pierwszej połowy tego roku Niemcy eksportowały dwa razy więcej benzyny, niż w ciągu tego samego okresu w zeszłym. I wyprodukowały o 23% więcej samochodów. I zalewają południowo-amerykańskie rynki swoimi towarami. I mają już różne rzeczy, których jeszcze nie ma nigdzie na świecie, nawet w Ameryce. Na przykład samochody, chodzące nie na benzynie, lecz na ropie naftowej. Nie ciężarówki, te są wszędzie. Samochody pasażerskie. Ropa kosztuje mniej niż połowę tego, co benzyna. I nie wymaga wielkich rafinerii. I nalewa się od razu do zwykłego zbiornika paliwa na tysiąc kilometrów. I te samochody sprzedają z gwarancją na prawie dwieście tysięcy kilometrów. Dlatego w Skandynawii już prawie wszystkie taksówki są niemieckiego wyrobu i jadą na ropie.

A w Niemczech, odbudowanych i pracujących, wzrasta tymczasem poziom życia. W tym roku, tego lata, cztery miliony niemieckich turystów spędziło wakacje zagranicą. Cztery miliony turystów z zachodnich Niemiec ! Mogą sobie pozwolić, ale to też jest, w każdym razie do pewnego stopnia, forma eskapizmu. Szwajcarom i Szwedom powodzi się na ogół jeszcze lepiej, ale na europejskich szosach nie widzi się prawie samochodów ze Szwecji czy Szwajcarii. Tylko całe zastępy niemieckich, ze wszystkich zachodnio-niemieckich miast.

Myślę też o tym, że moje pierwsze wrażenie o Niemczech było trochę złudne, ułamkowe. W Niemczech jest materialny dobrobyt, ale nie ma wewnętrznego zadowolenia ani spokojnych twarzy. Symbolem dawnych Niemiec, w których spędziłem wiele lat, były dla mnie powolne ruchy, i snujący się po Friedrichstrasse cygarowy dym, i niespiesznie, z namysłem wypowiadane przez nos zdania, nie takim gardłowym, żołnierskim głosem jak teraz,

i zakochane pary. Na przystanku tramwajowym w trochę biedniejszej dzielnicy nikt z nikim nie rozmawiał, kilku stało na boku z opuszczonymi głowami. Zapytałem o coś jednego z nich — drgnął, jakby go uderzył prąd elektryczny. Wydarzyło mi się to dziś i wczoraj kilka razy. I kilka razy widziałem w oczach coś, co bardzo przypominało strach. Młodzieńcy pierwszego wieczoru przed tanecznymi lokalami nie byli miarodajni. Miejskie szumowiny. A słynną niegdyś literacko-artystyczną kawiarnię Luitpold zamyka się teraz o jedenastej wieczorem z braku gości. I skwery miejskie przypominają bóżnice. Mężczyźni siedzą oddzielnie, kobiety oddzielnie. W ciepły letni wieczór na jednych ławkach siedzieli panowie i młodzieńcy, na innych dziewczyny i panie. Zresztą i tych i tamtych nie było dużo. Na siedzenie na skwerze szkoda czasu i zachodzi obawa, że trzeba będzie myśleć.

16 *sierpnia*

Jadę do Kolonii. Na stacji w Monachium stały obok siebie dwa pociągi. Oba nazywały się ,,Rheinblitz'', jeden odchodzi o piątej dwadzieścia, drugi trzy minuty później. Oba szły do Kolonii, tylko jeden przez Stuttgart, a drugi przez jakieś inne miasto. Przychodziły do Kolonii też prawie jednocześnie. Wszystko dla wygody pasażerów. Koleje mogą sobie widocznie pozwolić na takie luksusy.

Wagony są nowe, bardzo wygodne i tak czyste, że wszystko się świeci. Miejsca aż za dużo, jestem sam w przedziale. Dopiero po godzinie wsiada na jakiejś stacji pan z żoną i małym chłopcem. Chłopca wszystko ciekawi, ja też. Demonstruje mi swojego pluszowego niedźwiedzia i pyta, skąd przyjechałem. ,,A gdzie jest Ameryka?''.

Matka nie mówi nic, ojciec bacznie mi się przypatruje i częstuje papierosem.

Lekarz. Wraca do swojego miasta z medycznego zjazdu. Główny referat na zjeździe wygłosił profesor Tomasicz.

— Z pewnością pan o nim słyszał. Wszechświatowe imię.

Nie słyszałem o profesorze Tomasiczu. Czym się tak wsławił?

— Profesor Tomasicz jest autorytetem w dziedzinie wpływu ciał kosmicznych na zdrowie. Zjazd poświęcony był tym zagadnieniom. Zupełnie nowa dziedzina medycyny, kolosalne perspektywy. Słyszałem, że w Ameryce też tym teraz zajmują.

Mówię mu, że nic o tym nie wiem. Coś nie coś wiem, ale nie chcę go urazić. Czytałem w amerykańskich gazetach o facecie, który leczył różne choroby, radząc pacjentom przestawiać łóżko pod takim kątem, aby padały na nie w nocy promienie którejś z gwiazd. Do każdej choroby przydzielił stosowną gwiazdę: Jupiter na reumatyzm, Saturn na wątrobę. W końcu go wsadzili

ponieważ sprzedawał kulki z bakelitu, do których wypchał zgęszczone własną metodą promienie Gwiazdy Polarnej.

Zmieniam temat. Pytam lekarza, czy był podczas wojny na froncie.

— Tak jest. W Rosji. Nie mieliśmy pod koniec żadnych lekarstw i prawie nic do jedzenia. A wokół dzicz. O mały włos dostałbym się do niewoli.

Następuje dłuższa opowieść o tym, jak się uratował, po czym, niespodzianie :

— Ameryka popełniła wielki błąd. Trzeba było połączyć się z nami przeciwko Rosji. Nawet teraz nie jest jeszcze za późno.

Wydaję nieokreślony pomruk, będący zachętą do dalszych szczerości. Lekarz oczekiwał aprobaty, pomruk mu nie wystarcza. Spogląda na żonę, jakby chciał się jej poskarżyć, że się oto wynurza, a ja nic. Żona milczy, utkwiwszy wzrok w sufit. Milczenie jej mówi wyraźnie, że lekarz się zagalopował. Ten jeszcze chwilę rozmyśla, potem zaczyna z całkiem innej beczki :

— Wszyscy Niemcy są przeciwko wojnie. Militaryzm w Niemczech nie istnieje i nigdy się już nie odrodzi. Mundur przestał nam imponować. Powiem więcej. Nienawidzimy mundurów. Znienawidziliśmy je i pogardzamy nimi. Dam panu przykład. Czy widział pan w Niemczech wielu żołnierzy ?

— Widziałem w Monachium amerykańskie patrole w samochodach. Żołnierzy niemieckich nie widziałem.

— Wie pan dlaczego ? Bo chodzą po cywilnemu. Wiadomo w jakim celu żołnierz wychodzi na miasto. Ten cel może osiągnąć tylko jeśli jest w cywilnym ubraniu. Żadna dziewczyna nigdzie nie pójdzie z żołnierzem, nawet do kina. Dawniej latały za żołnierzami, mundur był wszystkim, teraz odstrasza. To już chyba o czymś świadczy. Nie wierzy mi pan ?

Wierzę mu. To samo o niemieckich dziewczynach opowiadał mi w Monachium znajomy amerykański dziennikarz.

18 *sierpnia*

Nie miałem zamiaru oglądania wystawy w Brukseli. Interesują mnie przede wszystkim ludzie i ich życie, nie wystawy. Wystawy o niczym nie świadczą, a ludzi naiwnych wprowadzają w błąd. Każdy rząd może bardzo łatwo zebrać na małej przestrzeni dodatnie, przychylne dla niego eksponaty. Ale najbliższa droga z Kolonii do Londynu, skąd wylatuje mój samolot Pan American Line, prowadzi przez Brukselę, gdzie i tak chcę się zatrzymać bo mieszka tam mój pewien stary znajomy.

W Kolonii na peronie jest ścisk i harmider. W pociągu znajduję z trudnością przedział, w którym jest wolne miejsce. Wszystkie inne zajęła grupa Angielek w różnym wieku. Może pracują w tym samym biurze albo sklepie. Jadą oczywiście na wystawę. Cały pociąg jedzie na wystawę.

Wszystkie bez wyjątku są brzydkie, ale każda jest brzydka w inny sposób. Przychodzi mi do głowy, że brzydota ma zawsze o wiele więcej odmian, niż piękno. A zło więcej, niż dobro. Może dlatego powieści o łajdakach są ciekawsze niż o aniołach.

Angielki są rozbawione, sympatyczne i uczynne. Ustawicznie pomagają sobie wzajemnie w rozmieszczaniu walizek, dzielą wrażeniami, ale w taki sposób, że żadna nie otworzy ust, zanim poprzednia nie skończy. ,,Zaraz będziemy w Belgii'', mówi jedna. ,,Podczas wojny Belgia była zajęta przez Niemców. To musiało być straszne''. ,,Tak samo jak Polska'', dodaje druga. Pada kilka przyjemnych dla ucha uwag pod adresem Polski i Polaków.

Na ostatniej niemieckiej stacji przed belgijską granicą postanawiają wydać wszystkie pieniądze niemieckie, jakie mają. Tworzą komunę, wsypują wszystkie monety — banknoty już wydały — do wspólnej kasy, którą jest rozpostarta gazeta, i rozpoczynają pertraktacje przez okno ze sprzedawcą różnych różności na peronie. Żadna nie włada niemieckim, a sprzedawca nie rozumie po angielsku. Powstaje wskutek tego mnóstwo nieporozumień. Mógłbym Angielkom pomóc, ale widzę, że te konflikty są źródłem wielkiej zabawy i śmiechu, więc nic nie mówię. Kiedy pociąg rusza, oglądają nabyte skarby. Jest tam czekolada, buteleczka wody kolońskiej, dwa grzebienie i jeszcze jakieś drobiazgi. Największy zachwyt wywołuje pędzel do golenia. Pokładają się ze śmiechu. Będą z rozczuleniem wspominały ten pędzel jeszcze za dwadzieścia lat. ,,Pamiętasz, jak wtedy na belgijskiej granicy...''

Jest jeszcze duże, ładnie zapakowane pudełko. Co w nim może być? Pewnie ciastko z kremem, sprzedawca mówił coś o kremie.

Okazuje się, że pudełko zawiera krem do twarzy. Postanawiają go sobie natychmiast zaaplikować. Wykrzywiają przy aplikowaniu, jak to zwykle bywa, usta, nosy i policzki. Każda robi to inaczej. Jedna tylko trochę, ostrożnie i z powątpiewaniem, druga marszczy straszliwie nos, trzecia wykonywuje dziwne ruchy dolną szczęką. Twarze ich przybierają co sekundę inny wyraz i, o dziwo, stają się ładniejsze. Znika z nich na chwilę brzydota, indywidualne zmiany sprawiają, że następuje jakby artystyczne przekształcenie, które zawsze nie tylko przeinacza, ale i upiększa. Można by z tego zjawiska wysnuć teorię, dotyczącą źródeł sztuki, ale wyrzekam się tej chęci, ponieważ rośnie we mnie ostatnio wstręt do wszystkich teorii. Utożsamiam je coraz częściej z parą butów średniego rozmiaru, który powinien w zasadzie odpowiadać wszystkim ludziom dorosłym, przy czym szewc, dla uproszczenia sobie zadania, zrobił buty w taki sposób, że każdy powinien pasować zarówno na prawą, jak i na lewą nogę. Buty, z powodu ich uniwersalności, nie pasują oczywiście na nikogo.

VII BELGIA

20 *sierpnia*

Mój przyjaciel zwolnił się na jeden dzień z pracy żeby mnie odprowadzić do Ostendy, skąd wieczorem mam jechać statkiem do Anglii. Zwiedzamy z nim po drodze Brugge. Nie jest już takie urocze, jak dawniej. Miasto w ciągu tych wielu lat rozrosło się, wybudowano nową stację kolejową, od której idzie się przez nowoczesne i nie bardzo ładne bulwary, później zaczynają się sklepy i restauracje, wszystko to wrosło w dawne Brugge, którego śliczny stary Rynek pełen jest wycieczkowych i miejskich autobusów. Postanawiamy nie psuć sobie wrażenia, które Brugge kiedyś na nas wywarło, i jedziemy do Ostendy.

Tu też się wszystko zmieniło. Wielkie hotele i Kasino na wybrzeżu zbombardowano podczas wojny. Nowe Kasino wygląda jak coś pośredniego między dworcem kolejowym i kostką cukru. Hoteli przeważnie nie odbudowano, zamiast nich wybudowano wielkie domy mieszkalne. Wygląda to straszliwie, ale lepiej się opłaca. Mieszkań nie można w nich wynająć, trzeba je kupić. Oczywiście za bardzo grube pieniądze. Owszem, kupują. Przeważnie starsze wiekiem Amerykanki, które spotyka się na każdym kroku. Życiorysy tych pań są proste i można je łatwo wyczytać z ich twarzy i ubiorów. Mąż gromadził coraz większe pieniądze, coraz więcej pracował, żeby umnożyć majątek — bo nie jest prawdą, że amerykańscy bogacze mało pracują — coraz bardziej się spieszył, aż wreszcie pewnego dnia — bęc. Zwykle zawał serca. Wówczas wdowa wyjeżdża do Europy, wiele sobie obiecując i mając środki, ale tylko materialne. Spostrzegłem jedną, o trzeciej po południu w barwnej tualecie z przewagą koloru ceglastego, a o czwartej już w innej, raczej żółtawej. Widocznie straciła do poprzedniej zaufanie. Krok miała szybki i stanowczy, ruchy zdecydowane, ale w oczach lęk i niepewność. Zaglądała na chwilę do nadbrzeżnych kawiarni i szła dalej.

•

Przegadaliśmy z przyjacielem prawie całą noc i wciąż jeszcze gadamy. Pyta mnie, jakie dominujące wrażenia wywożę z Europy.

— Dwa. Dobrobytu materialnego i wielkiej politycznej apatii. Najbardziej uderza ona w Niemczech, stosunkowo najmniej w Anglii. Trudno powiedzieć, z jakich źródeł płynie. Jednym z nich jest z pewnością przeświadczenie, że kraje europejskie nic już właściwie nie znaczą i nie mogą mieć żadnej samo-

dzielnej polityki, że losy świata zostaną rozstrzygnięte przez Amerykę i Rosję. Myślę, że jest to koncepcja przestarzała. Była słuszna, póki się mogło wydawać, że dojdzie do nowej wojny. Nie dojdzie. I wskutek tego punkt ciężkości przeniesie się znowu do Europy. Już się zaczyna przenosić. To jest zresztą tylko jedno źródło apatii, inne są o wiele głębsze. Najgłębszym jest załamanie się systemu dawnych wartości, tego co się zwykle nazywa ideologią. Wszystkich ideologii i wszystkich wierzeń. Starych nie ma, nowe jeszcze nie powstały, więc chwiejność, niepewność i apatia.

Siedzimy w małym barze w porcie. Stoi tu długi rząd prywatnych jachtów, symbol większego niż samochody dostatku. Wygląda to tak : sześć z chorągiewką niemiecką, jeden z włoską, jeszcze trzy z niemiecką, jeden ze szwedzką, i dalej tak samo.

— Dochrapali się do zbytków — mówi mój przyjaciel.

— Tak. Ale nigdzie nie wyczuwa się takiej deprecjacji dawnych walorów jak w Niemczech. Weź taką symboliczną figurę, jak profesor uniwersytetu. W dawnych, przedpotopowych Niemczech był otoczony szacunkiem i odpowiednio się nosił. W Norymberdze toczy się obecnie proces sądowy przeciwko profesorowi Woltersowi, poważnej naukowej figurze ze starego uniwersytetu w Erlangen. Brał łapówki od studentów, wymuszał je, grożąc konsekwencjami, jeden zapłacił mu trzy tysiące marek, inny osiemset. Poza tym naciągnął przemysłowców na sumy o wiele grubsze, pomagała mu w tym żona, która też zasiadła na ławie oskarżonych.

Mój przyjaciel przeciąga się. Jest zmęczony. Ciężko pracuje, a za dużo lat spędził w warunkach, mało sprzyjających zdrowiu.

— Jak to jest właściwie z tęsknotą... Nie byłeś tyle lat w Europie, to może wiesz. Zaspakaja się tęsknotę, kiedy się przyjeżdża, czy nie ?

— To jest inna tęsknota, mało uczuciowa. Tobie chodzi o tamtą.

— Nie wiem jak to wygląda, nawet z książek. Dużo się pisze o tęsknocie, ale nic o tym, co następuje później. Może coś czytałeś.

— Nie pamiętam. Tak, jest takie opowiadanie Prusa. O starym panu, który wrócił do Warszawy po wielu latach. Z zagranicy. Wszystko go raziło, ale poczuł wiatr, który powiał od strony Wisły i postanowił zostać.

— I co dalej ?

Nic. To wszystko.

— Tak... Co do tych ideologii, to może masz rację. Powstaną nowe, ale już nie dla nas. Dla naszych dzieci. Nie dla moich, o moich wiesz. Mówię ogólnie.

Musimy iść. Za pół godziny odchodzi mój statek.

Wacław SOLSKI

England revisited

Polaków (inteligentów) we Francji uderza i zdumiewa gwałtowność uczuć pro-angielskich naszych rodaków za Kanałem. Znajomi Francuzi, którzy często odwiedzają Anglię, a znają wielu Polaków z dawnych czasów, zwierzają mi się po cichu : *C'est fou ce que les Polonais de Londres sont anglophiles*. To jest prawda. Nasza emigracja w Anglii składa się w olbrzymiej większości z ludzi starych, steranych, ciężko dotkniętych przeżyciami wojennymi. Ludzie ci nie oczekują niczego od życia, a Anglia, jako kurs przygotowawczy do ciszy grobu, nie ma sobie równego na świecie. Większość Polaków, która w Anglii osiadła, nigdy przedtem na Zachodzie nie była : różnica między Wielką Brytanią a naszą straszliwie ubogą ojczyzną deformuje ich poglądy i osądy. Ci, którzy poza Anglią, widzieli Francję, Włochy czy Niemcy, oceniają te kraje na podstawie impresji z 1945 roku : widzą wciąż nasz Kontynent jako kupy gruzów, wielki *Black Market*, albo jako pola nieszczęśliwych bitew czy jako obozy koncentracyjne. Nie zdają sobie sprawy z olbrzymich postępów na kontynencie w ciągu ostatniej dekady. Pod tym względem poglądy naszych rodaków z Polski, którym udało się wyrwać z komunistycznej tiurmy i objechać choćby bardzo pobieżnie kraje zachodnie, odznaczają się nieporównanie większą świeżością oka, słuchu i myśli.

Uprzedzenia polityczne dołączają się do braku znajomości kontynentalnej Zachodniej Europy. Rozumiem zawsze reakcje wywołane poczuciem osobistej krzywdy. Nie mogłem nigdy pojąć jak ex-więźniowie Brześcia czy Berezy przejść mogli do porządku nad uczuciami nienawiści do swych oprawców. Nie dziwię się nigdy wybuchowej nienawiści naszych nieszczęsnych rodaków, zamęczanych w niemieckich kacetach. Rozumiem, że straszne wspomnienia uniemożliwiają im sąd obiektywny w stosunku do dzisiejszej Bundesrepublik. Ale dziwię się, spotykając Polaka, byłego oficera angielskiego, który sam spędził we Wło-

szech po wojnie szereg szczęśliwych lat, gdy nagle wyjeżdża pod adresem Włochów z angielskim *superiority-complex*. Czyż naprawdę musi się zawsze na nas sprawdzać socjologiczne prawo *à la Graham* : że się recypuje złe, a nie dobre cechy narodu wśród którego się mieszka? Jeszcze bardziej do głębi wzburzają mnie uprzedzenia naszych rodaków, zamieszkałych w Anglii, w stosunku do Francji. Trzeba raz zerwać z wstydliwym ukrywaniem prawdy : tak jak przed wojną grzeszyliśmy bałwochwalczym stosunkiem do Francji, tak dzisiaj nasi emigranci w Londynie uważają za rzecz niemal w dobrym tonie mówienie o Francji z lekceważeniem, z wyższością, z pogardą. Wszystkie zarzuty, które w pewnym, bardzo ograniczonym sensie, mogły być słuszne w roku 1938, a teraz, w roku Pańskim 1959, są całkowitym anachronizmem, są wyciągane z lubością przez naszych angielskich prowincjałów : bo zaszywając się w Londynie można być równie prowincjonalnym, jak zaszywając się na Polesiu. Część naszych rodaków powtarza bezmyślnie najgłupsze antyfrancuskie uprzedzenia Anglików. A kompleksy te są na Wyspie głęboko zakorzenione, wiecznie żywe, a ostatnio jeszcze podniecone niekorzystną dla Anglii ewolucją Kontynentu : dotychczas frankofobia w Anglii była zabarwiona pogardą, dzisiaj zaczyna być zabarwiona niepokojem, może nawet obawą. Nasi rodacy, trochę jak Austria zawsze spóźnieni *d'une année, d'une armée et d'une idée,* jak mawiał Napoleon, jeszcze się trzymają frankofobii pogardliwej. ,,Ach, Francja, to nic'', wzruszają lekceważąco ramionami. I wydaje im się, że wypowiedzieli zdanie odkrywcze i wiekopomne.

Do tych angielskich refleksów dołączają bardziej sarmackie uprzedzenia. Gros naszej emigracji w Anglii — mam na myśli jej elementy inteligenckie — składa się z ex-zawodowych oficerów oraz z byłych urzędników i polityków sanacyjnych. U pierwszych, różnica między traktowaniem ich przez Francuzów na pierwszym etapie tułaczki w roku 1939, a przez Anglików przy ucieczce na Wyspę w roku 1940, wywołała niezatarte wrażenie: raz jeszcze sprawdziło się powiedzenie Bismarcka, że z Polakiem można wszystko zrobić, byle go traktować ,,honornie'', byle nie zadrasnąć jego próżności. Dygnitarze sanacyjni wynieśli z czasów swego urzędowania jakieś mgławicowe wyobrażenia, że dobrym Piłsudczykiem jest ten co Francji nie lubi, natomiast frankofilia utożsamia się w ich oczach i pamięci z endecją, frontem Morges i innymi zdrożnymi, ,,niebłagonadiożnymi'' formacjami politycznymi. Pod wpływem tych wyobrażeń, mętnych ale zakorzenionych w naszym londyńskim światku politycznym (zamierającym, ale jeszcze z łoża śmierci rzucającym ekskomuniki i klątwy), anglofilia uchodzi za rzecz prawomyślną a frankofilia za rzecz zdrożną, podejrzaną, coś tak jak przynależność do masonerii czy nie-aryjska babcia za błogosławionych czasów ozonowych.

Rzecz jasna, te uprzedzenia drobnych grupek emigrantów nie odgrywają żadnej roli. Byłyby niebezpieczne, gdy nasi emi-

granci londyńscy mogli kształtować politykę Polski, bo wówczas łacno byśmy znowu popełnili katastrofalne pomyłki z marca 1939 roku, kiedyśmy tak nieprawdopodobnie zapoznali stosunek sił w Europie i realne rozmiary pomocy, której możemy spodziewać się od Zachodu. Ale dzisiaj to niebezpieczeństwo nie istnieje. Nie wierzę, by Gomułka ze swym Cyrankiewiczem czy Rapackim mógł realnie wpływać na sytuację międzynarodową Polski. Ta się kształtuje, i będzie się kształtować do chwili wybuchu jakiejś ruchawki wewnątrz Rosji, jako funkcja siły rosyjskiej. Nie rozumiem zapału naszych rodaków na emigracji do ,,bronienia'' granicy na Odrze i Nissie (po stokroć Nissie a nie barbarzyńskiej Nysie !). Granicy tej przecie absolutnie nic nie grozi, póki, jak teraz, broni jej dwieście dywizji sowieckich, i póki porządek polityczny aż do Łaby jest dyktowany przez Moskwę. A co będzie, kiedy Rosja przestanie być wielkorządcą całej naszej strefy Europy, względnie uzna że Polska zanadto jej bryka i czas położyć temu kres — któż to dzisiaj może przewidzieć ? !

Nasze iluzje co do możliwości ingerencji angielskiej w sprawy wschodnio-europejskie nie pociągają dzisiaj żadnych ujemnych skutków poza ukazywaniem się artykulików paru publicystów, zapatrzonych w Anglię jak w pępek świata. Te poczciwe elukubracje miną całkowicie bez skutku. Są więc obojętne. A dla zdrowia moralnego naszej dwustotysięcznej emigracji w Wielkiej Brytanii jest może i lepiej, że wierzy ona w omnipotencję Albionu, i stąd przecenia własną rolę polityczną. Wydaje mi się, że powinno się zawsze mieszkać w kraju, który się podziwia i kocha. Zawsze uważałem, gdym mieszkał w Niemczech, że Polacy w tym kraju powinni go jak najprędzej opuścić, czy to wracając do Polski, czy też wyjeżdżając za morze : trudno się dziwić, że Niemiec nie znoszą, a trudno uważać, że w naszym interesie leży dodatkowy spór polsko-niemiecki nad Renem czy Izarą, gdy już go mamy nad Odrą. Chwała Bogu, że nasi rodacy są anglofilami : byłoby tragiczne, gdyby było inaczej.

◆

Nie zgadzam się też w najmniejszym stopniu z teoriami byłego premiera Mackiewicza. Jak wiadomo, ten ex-premier od lat głosi pogląd, jakoby gwarancje Chamberlaina były pułapką, która miała doprowadzić do wojny niemiecko-rosyjskiej. Jestem przekonany, że u źródła tych gwarancji stała przyczyna nierównie prostsza : przecenianie własnych sił. My sami popełniliśmy pod tym względem tak katastrofalne pomyłki, że nie powinniśmy z tego powodu rzucać kamieniem w cudzy ogródek. Anglicy przez dwadzieścia lat nic nie zrobili dla scementowania wersalskiego porządku w Europie (tak jak teraz, po drugiej wojnie, nie chcą przyczynić się do budowy Europy). Gdy zobaczyli, że *periculum in mora,* wyobrazili sobie, że można katastrofie zapo-

biec, zatykając na zagrożonych granicach tabliczki z napisem: gwarancja angielska. Te nadzieje okazały się przesadnie optymistyczne. Ale to naszym obowiązkiem było się zastanowić, czy gwarancja angielska może nas uratować od rozbioru i niewoli. Przecież za czasów Joseph Chamberlaina, gdy Anglia ofiarowywała przymierza Berlinowi, Niemcy Capriviego i Holsteina odrzucali te awanse, wychodząc z założenia, że w razie wojny z Rosją cały jej ciężar spadnie nie na morską Brytanię, ale na kontynentalne Niemcy. My sami, a nie Nevile Chamberlain, powinniśmy byli zastanowić się, co nam Anglia może pomóc w razie zderzenia się z dywizjami Hitlera, w razie uderzenia w plecy przez Sowiety. Jak ktoś sam robi głupstwa, nie powinien zwalać winy na obcych. Jeżeli dzisiaj Gomułka zaryzykuje los Węgier, to nie usprawiedliwi go w najmniejszym stopniu fakt, że będzie się ewentualnie powoływać na jakieś mówki, na jakieś rezolucje, na jakieś uchwały, na jakieś artykuliki. ,,Jesteś sam sprawcą własnych nieszczęść'' — oto kamień filozoficzny wszelkiej mądrości, początek wszelkich rozumnych reform i jedyny zadatek lepszej polityki. Wiele mocarstw zginęło i ginie, bo zanadto zadufało we własne siły.

•

Podobnież za nieuzasadnione uważam nasze wieczne żale do Anglików z powodu ,,Jałty''. Tylko dzięki Stalinowi nie doszło do niej już w 1939 roku. Jesteśmy odosobnieni w naszej wierze, że najlepsza polityka na świecie polega na jednoczesnym antagonizowaniu i Rosji i Niemiec. Nikogośmy dotąd nie potrafili o tym przekonać. Nie tylko Anglia, ale i o tyle potężniejsze Stany Zjednoczone uważają, że kiedy się ma przeciw sobie Niemcy, to trzeba mieć za sobą Rosję, a jak się ma przeciw sobie Rosję, to trzeba zyskać sobie Niemcy. Ledwo Anglia udzieliła Polsce gwarancji, a już zaczęła starać się o zażyrowanie tej gwarancji przez Sowiety. Gdyby Stalin nie dążył wszystkimi siłami do aliansu z Hitlerem, gdyby zdecydował się na wojnę z Niemcami u boku Anglii już w roku 1939, to by na pewno Anglicy zmusili nas do olbrzymich ofiar na rzecz Sowietów już w roku 1939: nie trzeba by było czekać czterech lat na Jałtę. W 1945 roku Anglia właściwie tylko legalizowała stan faktyczny: swą bezsilność we Wschodniej Europie, która stała się widoczną dla wszystkich już we wrześniu 1939. Nigdy w dziejach Anglia nie odegrywała większej roli we Wschodniej Europie, poza odcinkiem tureckim: bo cieśniny. Tak było w czasie wojny krymskiej, tak było na kongresie berlińskim, tak było w czasie spisywania anglo-rosyjskich układów z roku 1915. Czyż Anglia miała w 1945 większe możliwości wobec Rosji, niż sto lat temu, niż 75 lat temu? Na jakiej podstawie można snuć takie supozycje? Jeżeli o Jałtę możemy mieć do kogoś pretensje, to raczej do Roosevelta, który nie przewidział konfliktu amerykańsko-ro-

yjskiego i nic nie zrobił, by zabezpieczyć sobie wyjściowe po-
ycje w tym konflikcie. Oparcie o Zachód może być dla nas
awsze bardzo pożądaną reasekuracją, *un appoint* : ale nie może
yć kapitałem zakładowym. Jeżeli obecna koniunktura odwróci
ię, to znaczy jeżeli ustanie nasza obecna całkowita zależność
d Rosji, to będziemy musieli znaleźć modus vivendi z Niem-
ami : intymność Paryża z Bonn ułatwić nam może to zadanie,
aden de Gaulle czy jego następca nie narazi stosunków Francji z
Niemcami, by nam się przypodobać, a czyż Macmillan, próbując
kadryla z Chruszczowem, choć jednym słówkiem starał się wydo-
yć nas z objęć Sowietów, wyrwać nas ze śmiertelnego uścisku
ap rosyjskiego niedźwiedzia ? Przecież nie ! Jedyne państwo,
które w teorii było na tyle potężne, że mogło dokonać wyzwania
geografii — to były Stany. Możemy mieć do Anglii pretensje o
raktowanie polskich emigrantów po wojnie : to na pewno. Ale
olityka nie jest kwestią ani urazów, ani pretensyj, ani żalów,
ni pobożnych życzeń. Jest tylko sprawą stosunku sił. Nasze
siły są żadne, a siły Anglii nie sięgają do naszego regionu geo-
graficznego. Ot i wszystko. Wiedzą o tym doskonale Sowiety.
Wiedzą o tym świetnie Niemcy. Tylko my chcemy tę oczywistą
prawdę przed naszymi własnymi oczyma ukryć i zataić.

◆

Postępuję w myśl tej sławnej anegdoty : Moszek i Icek spotykają się na ulicy, i Icek powiada : ,,Moszek, czy ty wiesz, że w Chinach rewolucja ?''. A na to drugi : ,,Powiedz no Icek, czy dla nas biednych Żydków z Będziniu to lepiej czy gorzej ?'' Otóż, i my ,,biedni Polacy z Londiniu'' tak samo przy każdej kwestii, pytamy siebie i innych, czy to dla nas lepiej czy gorzej. Ale rzecz jasna, ten miernik, choć zrozumiały, jest fałszywy. Pozycja Anglii nie zależy od stosunku do Polski, tak jak nasza pozycja nie zależała od stosunku do Gruzji czy Estonii. Więc zapomnijmy o tym polskim detalu, i rozejrzymy się w perspektywach angielskich obiektywnie, niezależnie od naszego ubogiego wygnańczego podwórka.

◆

Pewne zmniejszenie pozycji angielskiej po wojnie było nieuniknione. Sytuacja, w której trzy tylko państwa decydowały o losach świata, była nienaturalna — trwać wiecznie nie mogła. Na konferencjach w Jałcie i Poczdamie nie było ani Francji, ani Niemiec, ani Włoch — nie tylko Polski, Węgier, Austrii. Już choćby z powodu restytucji bardziej normalnego układu sił musiała nastąpić pewna redukcja statutu Trzech Wielkich : odbiło się to nawet na standingu Stanów i ZSSR, nie tylko Anglii. Ale *capitis diminutio* Anglii poszło znacznie dalej, niż jej dwóch partnerów z okresu wojennego.

Już w roku 1947 nasz Poseł w Madrycie, Józef Potocki z ubolewał przede mną nad degringoladą znaczenia Anglii, którą wyczuwał nawet w leżącej całkowicie na uboczu Hiszpanii — a przecie Potocki był omal wodzem klanu Anglofilów w przedwojennym MSZ-cie. Już w 1947 roku okazało się, że Grecja i Turcja muszą być objęte gwarancją amerykańską : angielska nie wystarczała. Niemal nazajutrz po wojnie okazało się, że nie Anglia lecz wyłącznie Ameryka jest w stanie obronić Niemcy Zachodnie przed zimnem i głodem, komunizmem i najazdem. Blokada Berlina, utworzenie NATO utrwaliły hegemonię Ameryki w Europie. Równocześnie zaczęły się pierwsze próby budowania zjednoczonej Europy. Od tych prób Anglia odseparowała się z własnej woli. Zrezygnowała z Europy, by uratować Imperium. Imperium nie uratowała, a Europę straciła. I to był pierwszy jej błąd — najważniejszy.



Bo imperium, w tej postaci w jakiej przetrwało Drugą Europejską Wojnę Domową, było nie do uratowania. Było dzieckiem prestiżu : a prestiż ten został podkopany. Było wyrazem supremacji na morzach : ta supremacja przeszła do Stanów. Było owocem przewagi funta, pozycji City : funt stracił swą przodującą rolę, stał się satelitą dolara, a City przedsionkiem Wall Street. Kto szukał kredytu, pukał do Stanów, i dostawał nie kredyt, a darowizny. Od czasów afery sueskiej Anglia traci swą ostatnią wielką *chasse gardée* : Bliski Wschód i jego nafte. Bazy są w trakcie likwidacji : Cypr, Tricomalee, Rangun, Singapur, może wkrótce Aden, Malta, czy nawet Gibraltar.



To wszystko znaczy niewiele. Myślę, że rola baz, kolonii, protektoratów była przeceniana do 1939 roku : Stany wyrosły na największe na świecie mocarstwo bez tych falbanek, Niemcy dwukrotnie omal pokonały świat cały bez tych luksusów, Szwajcaria i Szwecja zdołały zdobyć sobie największy na świecie dobrobyt i najwyższą stopę życiową, nie posiadając piędzi ziemi za morzami. Dzisiaj kolonie są na pewno deficytowym interesem. Do Cypru Anglia dopłacała miliony. Niepotrzebnej zupełnie Jordanii wypłacała do ubiegłego roku roczne subsydium w wysokości dwunastu milionów funtów. Imperium było raczej przejawem sił angielskich niż ich przyczyną. Było może nawet obciążeniem. Jego kurczenie się nie jest katastrofą.



Dużo groźniejszy dla Anglii wydaje mi się upadek jej wpływów na kontynencie. W roku 1925 Locarno znegocjowali i narzucili Anglicy : na losy Niemiec Lord d'Abernon miał może

wpływ niemniejszy, niż Stresemann. Dzieje ostatnich pielgrzymek Macmillana wykazały, jak nikłe są wpływy brytyjskie w Bonn — i nie widać oznak, by wpływy te miały wzrosnąć. We Włoszech wpływy angielskie tradycyjnie równoważyły i niemieckie i francuskie : dzisiaj wydaje się, że tam nie istnieją. Co najważniejsze, wpływy te gwałtownie kurczą się we Francji. Przed wojną dyplomaci francuscy mawiali nieraz z goryczą : ,,Jesteśmy dominionem angielskim''. De Gaulle wbił ostatnie gwóźdźie do trumny Entente'y. Po raz pierwszy od 50 lat pierwszym partnerem Francji w Europie jest nie Anglia, a Niemcy : czego nie dokonał Hitler, dokonał Adenauer. Tylko *tour de valse?* Czy trwała zmiana partnerów ? Przyzwyczajenia, mentalność dwóch pokoleń nie mijają bez śladu, i na pewno na Quai d'Orsay, a także wśród polityków francuskich, z Mendèsem na czele, nie brak tęsknot do ,,dawnych dobrych czasów'' *Entente Cordiale.* Ciągotki pro-angielskie są na pewno silniejsze w Paryżu, niż w Bonn, chociaż w samej Anglii sytuacja wygląda akurat odwrotnie : Anglicy mają mniej pretensji do Niemców niż do Francuzów, mają też dla nich więcej szacunku, bardziej wierzą w ich przyszłość i stabilizację. Nieraz zdarza się, że nie orientujemy się w tym, kto jest dla nas lepiej usposobiony. Ale pomimo tych wszystkich ciągotek, złudne są nadzieje, żywione przez tylu Anglików, że współpraca francusko-niemiecka jest tylko romansem dwóch ,,złych starców'', *those two dreadful old men* (jak ich w rozmowie ze mną nazwał pewien dyplomata angielski), Adenauera i de Gaulle'a. Chęć stworzenia Europy, zrobienia z niej mocarstwa równorzędnego ze Stanami i Sowietami, a nie tylko ,,mocarstw'' w cudzysłowie, korzystających z tego co Anglicy nazywają *courtesy title,* ogarnia nie tylko Francję i Niemcy, ale całą Zachodnią Europę, i przetrwa na pewno życie obu duumvirów. (Tu wtrącę nawiasem, że w moim przekonaniu przejście Adenauera z pałacu Schaumburg do Willi Hammerschmidt wcale nie oznacza jego wycofania się z rządów : oznacza tylko, że na podstawie obserwacji eksperymentu de Gaulle'a stary kanclerz doszedł do wniosku, że będzie mógł dalej autokratycznie rządzić z fotela prezydenckiego przez oddanego sobie szefa rządu ; i sądzę, że jego Debre'm będzie obecny minister skarbu w Bonn, Dr Franz Etzel).

◆

Wydaje mi się, że u podstawy każdego *déclin* politycznego leżą błędne założenia polityki zagranicznej danego kraju, przecenienie własnych sił. Źródłem naszej polskiej katastrofy było przeświadczenie, że możemy egzystować w stanie potencjalnego konfliktu i z Niemcami i z Rosją. Pamiętam incydent z własnych mych przeżyć, który na zawsze utkwił mi w pamięci i wywarł ogromny wpływ na całą moją umysłowość. W roku 1925 byłem młodziutkim współpracownikiem krakowskiego ,,Czasu'' (i równocześnie ,,akademikiem'', czyli studentem wydziału pra-

wa U.J.), i w tym charakterze wyjechałem jako sprawozdawca na wielkie manewry armii polskiej, prowadzone naprzód na Wołyniu (kawaleria), a potem na Pomorzu (piechota). Ministrem wojny był wówczas Sikorski, któremu byłem przedstawiony i który — młody, rześki, strasznie nadęty, w żółtych wyglansowanych butach z cholewami kroju francuskiego — zaszczycał nas, korespondentów, nie tyle rozmową, co łaskawym podawaniem ręki. Te manewry trwały ze dwa tygodnie: biegaliśmy ciągle za Sikorskim, który nie rozstawał się z Francuzem, bez rękim Gouraud, i Anglikiem, Ironsidem, znanym z rokowań z Rydzem w 1939 roku. Szefem kwatery prasowej był wówczas młody i przystojny pułkownik, zapalony sikorszczyk, Rowecki, późniejszy Grot z AK. Był miły, przystępny i rozmowny, widywaliśmy go co dzień. Na Pomorzu, pamiętam, zapytałem go: ,,Ale w końcu, z kim wojsko planuje wojnę — z Rosją czy z Niemcami?" Pamiętam, jak Rowecki spojrzał na mnie nie tyle z oburzeniem ile z prawdziwym zdumieniem, jak można być tak naiwnym. ,,Jak to z kim, powiedział? Przecież to jasne, że z obydwoma!" ,,Równocześnie?'' zapytałem dalej, przerażony. ,,A co pan sobie myśli?'' odparł Rowecki.



Tak samo urojeniem wydaje mi się, by Anglia mogła być trzecim mocarstwem światowym, rozrzuconym na pięciu kontynentach, bez zespolenia się z Europą. Nie udało się to Churchillowi, jak może to się udać jego rywalom czy następcom? Gdy cel jest nieosiągalny, środki muszą zawodzić: widzimy, jak zawodzi i polityka ustępstw, a więc rezygnacja z okupacji strefy kanału sueskiego, i polityka siły, a więc wyprawa sueska. Zawodzi polityka odwracania się od Europy, i polityka przymilania się. Zawodzi polityka czepiania się Ameryki, i polityka zjednywania sobie tych czy innych partnerów europejskich. Zawodzi ,,sztywna linia'', *policy of strength,* jak i polityka przerzucania mostów do Sowietów. I te wszystkie zawody w gruncie rzeczy nie są dziwne. Jak pisał Szekspir:

There is a tide in the affairs of men,
Which taken at the source leads on to fortune...

Ale nacjonalizm do niczego dzisiaj nie prowadzi. Ani rasizm. Ani walka z geografią. Anglia jest częścią Europy. Finezje niboszczyka F.A. Voigta, Szwajcara z urodzenia, a więc bardzo *unenglish,* teoretyka, nie pragmatyka, że Anglia jest *of Europe* ale nie *in Europe,* nie dały rezultatów. Wbrew Anglii powstała schumanowska Wspólnota Węgla i Stali. Wbrew Anglii powstał Wspólny Rynek. Wbrew Anglii powstaje oś Paryż — Bonn. Europa krzepnie, a Anglia czuje się coraz bardziej osamotniona



Ale skromnego, ubogiego przybysza do Albionu — takiego jak ja, powracającego po siedmiu latach zarobkowej emigracji na łono Zjednoczonego Królestwa — uderzają nie te zmiany cieniów i świateł w dziedzinie polityki międzynarodowej, lecz sprawy bardziej przyziemne: sytuacja ekonomiczna. W ciągu siedmiu lat byłem świadkiem nieprawdopodobnej ekspansji gospodarczej kontynentu zachodnio-europejskiego. Gdy w roku 1951 przybyłem do Monachium, zastałem miasto zburzone, zniszczone, wygłodzone, wynędzniałe, którego centralne dzielnice robiły wrażenie biedniejszych od czworoboku między Ujazdowskimi, a Marszałkowską w Warszawie w przede dniu wojny. W moim własnym biurze Voice of America inżynierowie-Niemcy całą zimę 1951 nosili buty narciarskie — jedyną porządną parę butów, na jaką mogli sobie pozwolić. Na każdej ulicy znaleźć można było *Waermestube,* opalaną izbę, przeznaczoną dla tych, których nie stać było na węgiel, by opalić własną izdebkę. Przepaść między Londynem a zrujnowaną Bawarią wydawała się równie wielka jak dzisiejszy dystans między Nowym Yorkiem a Biłgorajem. Mam wrażenie, że stopa życiowa jest dzisiaj i w Niemczech i we Francji wyższa niż w Anglii. Ale sprawa *standard of living* jest sprawą mało wymierną: jak porównać lepsze odżywianie we Francji z lepszymi warunkami mieszkaniowymi w Niemczech? Natomiast zdolność Anglii do *wytwarzania* bogactwa pozostaje w tyle za możliwościami kontynentu w tej dziedzinie. Wskaźniki dają tylko *aproksymatywną* prawdę: ale gdy wszystkie zgodnie stwierdzają, że — biorąc rok 1953 za sto, obecny wskaźnik produkcji wynosi i we Francji i w Niemczech około 160, natomiast około 120 w Anglii — trudno nie stwierdzić *stagnacji* w Wielkiej Brytanii.

Ale chodzi nie tylko o wskaźniki. Są impresje wizualne, silniejsze od statystyk. Po siedmiu latach Anglia wygląda plus minus tak samo. Zmalały ogonki przed *butcherem* (rzeźnikiem), łatwiej o nylony, kawa na Kensingtonie i Chelsea jest lepsza, zresztą wyłącznie dzięki przeklętym *foreignerom.* Ale poza tym Anglia nie zmieniła się. Wino jest wciąż niedostępne, na Kensingtonie nadal przeważają rudery, które byle bulldozer może przemaglować jednym pchnięciem, u Lyonsa śmierdzi ten sam łój barani, na stołach te same brudy odstraszają klienta Ta sama szarość nadaje ton całej stolicy brytyjskiego imperium, ten sam snobizm małomiasteczkowy stara się pokryć, zaćmić niwelację, wywołaną biedą. Góruje szarzyzna, nuda, wegetacja.



Zdolność tworzenia bogactwa jest znamieniem naszych czasów. Przez długie wieki, nie istniała ona niemal wcale. Stąd reformatorzy, którzy pragnęli ulżyć doli ubogich mieli właściwie jeden tylko środek zaradczy: dzielenie gruntów, tak zwaną

reformę rolną. To było panaceum braci Grakchów w drugim wieku przed Chrystusem, i panaceum naszych demagogów chłopskich w okresie dwudziestolecia Niepodległości. Przez te dwadzieścia dwa wieki możności tworzenia bogactwa pozostały prawie niezmienne, czyli prawie żadne. A teraz, w ciągu śmiesznej półtora dekady od zakończenia wojny zaszła w tej dziedzinie rewolucja. Od 1945 roku wytworzono na świecie więcej stali, niż od początku świata do roku 1945. Człowiek stał się panem materii. Jeżeli nie wysadzimy świata bombami, sputnikami etc, to powinniśmy w ciągu najbliższych dziesięciu lat być świadkami większego rozwoju gospodarczego, niż w okresie ostatniego tysiąclecia. Stoimy u progu rozwiązania problemu ekonomicznego, czyli problemu zapewnienia ludzkości przyzwoitego minimum egzystencji i zabezpieczenia ludzi przed nędzą, wynikającą z bezrobocia, ze starości, z choroby, z nadmiernej ilości dzieci.



Nasz wiek nie jest — z jakichś tajemniczych powodów — w stanie wytworzyć wielkiej sztuki, wielkiej literatury, wielkiej filozofii, wielkiej architektury, czy wielkich koncepcyj konstytucyjnych; natomiast ma możliwości bez precedensu w dziejach tworzenia bogactwa. I od wyzyskania tych możliwości zależy ocena sukcesów poszczególnych reżymów i ich przydatności.



Dlaczego Anglia wlecze się na końcu Europy Zachodniej jeżeli chodzi o wzrost stopy życiowej, która dzisiaj stała się w oczach świata miernikiem potęgi i siły? Inflacja, bilans płatniczy, podatki? Wszystkie pojęcia ekonomiczne są tylko symbolami. Inflacja nie spada z nieba, wynika z działania pewnych sił w tym kierunku. Jakich? W Anglii walka o płace jest bardziej zaciekła niż na kontynencie, angielskie związki zawodowe niechętnie współpracują z przemysłem, niż niemieckie, mają mniej zrozumienia dla konieczności inwestycyj, automatyzacji pracy, zamykania fabryk nierentownych. Przedsiębiorcy są mniej skłonni od swych niemieckich kolegów do inwestowania. Angielskie znacjonalizowane koleje należą do najbardziej niedoinwestowanych przedsiębiorstw na świecie — różnica między nimi a kolejami francuskimi rzuca się w oczy: tymczasem związki kolejarzy w Anglii żądają wyłącznie podwyżek płac i skrócenia czasu pracy, oraz wylewania kolejarzy nie należących do związku. Związki nie tylko nie żądają inwestycyj, ale nawet z uporem walczą z każdą modernizacją, która może doprowadzić do redukcji choćby jednego tragarza czy jednego palacza. Jak tu gospodarować w tych warunkach?

Niechęć do zwiększenia produkcyjności przy jednoczesnym podwyższaniu płac musi prowadzić do inflacji. Modernizacji przeciwdziała konserwatyzm przedsiębiorców w tymże stopniu, c

meskineria związków. W sklepikach kasa znajduje się przeważnie w głębi; nieszczęsny klient musi przeciskać się dwa razy przez wąską kiszkę, zapchaną ludźmi: raz by dojść do kasy, drugi, by wracając od niej wydostać się na ulicę. Państwo daje zły przykład. W czasie wojny City została zburzona. Odbudowano ją z tymiż wąskimi uliczkami, po których wszelki ruch samochodowy jest nie do pomyślenia. Państwo nie rozszerza ulic, nie buduje dróg, nie nowelizuje przestarzałego ustawodawstwa w systemie dzierżaw nie tylko na wsi, ale i w miastach, w których podział własności między landlordem a tenantem jest głównym powodem slumsów i okropnego stanu większości domów w Londynie, nie walczy z okropną tradycją kominków, powodujących straszliwe marnotrawstwo węgla, a dodatkowo ohydny *smog* (mgłę przesiąkniętą dwutlenkiem węgla). Państwo nadal buduje domki jednorodzinne, co wywołuje bezsensowne rozrastanie się Londynu do koszmarnych rozmiarów, a poza tym olbrzymie koszty na transport, i na uzbrojenie terenów. Niemcy obliczyli, że koszt budowy trzypokojowego domku — w robotnikorodzinach — wynosi w Niemczech 1600, we Francji 2400, a w Londynie aż 3000.

Niemcy operują pojęciem, które uważają za klucz do koniunktury: pojęciem *Fehlinvestitionen*, błędnych inwestycji. Zbudowanie fabryki, do której trzeba potem stale dopłacać, albo której egzystencja wymaga ceł i karteli, jest marnotrawstwem, a nie inwestycją. Dzisiaj, gdy państwa inwestują tak wiele, to pojęcie jest szczególnie ważne. Jestem przekonany, że obecna nędza Polski komunistycznej, podobnie jak i innych „demokracji ludowych", wynika przede wszystkim z tych *Fehlinvestitionen*. Znajomy ekonomista z Polski tłumaczył mi ostatnio w Paryżu, że w przemyśle tekstylnym w Łodzi nic nie zainwestowano od wojny — stąd ten przemysł jest dzisiaj całkowicie zdekapitalizowany. Dekapitalizacja rolnictwa, budownictwa, handlu, kolei, transportu, wielu przemysłów przeważa nad kapitalizacją oficjalną; gdyby tę dekapitalizację uwzględnić, trzeba by wyciągnąć zupełnie inne wnioski co do tempa i rozmiarów postępów gospodarczych Polski za Gomułki i Bieruta.

Anglia źle gospodaruje i grzeszy popełnianiem *Fehlinvestitionen*. Rozbudowała ona nadmiernie przemysł lotniczy, który dzisiaj może utrzymać się przy życiu tylko przy otrzymywaniu zamówień Bundeswehry: w rezultacie przemysł, który miał podmurować obronność Anglii, uzależnił ją od humorów rządu w Bonn, który cynicznie wyzyskuje rywalizacje Anglii i Francji, i każe sobie politycznie płacić za każde zamówienie stu helikopterów czy stu myśliwców. Jeszcze szkodliwsze jest przedwczesne rozbudowanie angielskiego przemysłu atomowego. Czytałem tekst odczytu prof. Heisenberga, prezesa niemieckiej komisji atomowej, laureata Nobla, uczonego o światowej sławie. Stwierdził on chłodno: „teoretycznie może być 900 typów reaktorów atomowych. Ameryka wypróbowuje tych typów około 10, Anglia wypróbowała 5, i jeden typ wybrała dla swego Calder

Hall. Być może wybrała właśnie najlepszy możliwy — graniczy łoby to z cudem. My, państwa Euratomu, zaczekajmy aż Amery kanie zakończą swe doświadczenia, oni mają najwięcej pieniędzy więc niech oni ryzykują, a my możemy poczekać do 1965 roku z budową wielkich elektrowni atomowych, na razie zadowolimy się reaktorami dla celów naukowych". Ta opinia wydaje mi się kwintesencją zdrowego rozsądku. O ileż bardziej opłaciłaby się Anglii elektryfikacja kolei, która jest interesem murowanym od polowania na sensacje atomowe !



Anglia jest przeciążona podatkowo, i to przeciążenie jest zapewne jednym z głównych powodów przygnębienia, marazmu i braku inicjatywy, które się tak rzucają w oczy. A z drugiej strony Anglia źle płaci liczne kategorie swego personelu: nursy, nauczycieli, pocztowców etc. Co zjada więc wpływy podatkowe ?

Na pewno zbrojenia w pierwszym rzędzie. Wydatki na zbrojenia były zawsze głównym, może jedynym, powodem bankructwa mocarstw i ich upadku. Zapewne na tym tle doszło do depopulacji, zubożenia i upadku Rzymu. Stany Zjednoczone przegoniły całą konkurencję, nie mając przez sto dwadzieścia lat i dłużej prawie żadnych wydatków wojskowych. Sama Anglia dużą część swego dobrobytu w XIX wieku zawdzięcza faktowi, że równowaga sił między Francją a Niemcami pozwalała jej wydawać znacznie mniej pieniędzy na obronę, niż jej kontynentalni rywale. Ubóstwo Rosji, i carskiej i sowieckiej, było, i jest w dużej mierze wynikiem jej obłędnych wydatków wojskowych. Austria i Tito dostali dokładnie te same kwoty od Wuja Sama : po miliardzie dolarów. Austria wydała te sumy na wydatki cywilne, Tito na utrzymywanie swej policji i wojska. Tito przeznacza dokładnie połowę swego budżetu — 600 milionów dolarów — na wojsko, Austria 5%. Rezultat : Austria korzysta z niebywałej *prosperity*, podwyższyła od wojny o 100% stopę życiową swej ludności ; *Titoland* tonie dalej w nieopisanej nędzy. Austria jest szanowana, *Titoland* jest dętą purchawką, której grozi rozkład, gdy jej kacyk zamknie oczy.

Ani Anglia, ani Francja nie mogą sobie pozwolić na obecne rozdęte wydatki wojskowe. Zmniejszenie ich o połowę ułatwiłoby obu tym krajom wysanować finanse publiczne, rozpocząć naprawdę wielkie (i konieczne) inwestycje i podnieść radykalnie stopę życiową. Ta wysoka stopa życiowa jest jedynym puklerzem zachodu przeciw komunizmowi i dużo większym współczynnikiem prestiżu w dzisiejszym świecie, niż bomby, samoloty, czołgi i archaiczne gwardie czy rewie.



Wreszcie podstawowym powodem stagnacji ekonomicznej Anglii (w mniejszym stopniu Francji) jest nadmierne finansow

nie krajów zamorskich. Na długą metę, jak wykazują dzieje, to zawsze wierzyciel traci, nie dłużnik; nic więc głupszego, niż strach przed kapitałem zagranicznym. Amerykanie prawdę tę zrozumieli i udzielają darowizn (*grants*), nie kredytów. Kraje, które najbardziej potrzebują obcego kapitału, są najmniej w stanie kredyty te spłacać. OEEC oblicza, że dla utrzymania *obecnej* (przerażająco niskiej) stopy życiowej w krajach azjatyckich (uwzględniając ich bezprzykładny rozrost demograficzny) trzeba rok rocznie im udzielać kredytów *czterokrotnie* wyższych od tych, które dzisiaj dostają od Ameryki, Europy i Sowietów razem wziętych!

Rozumiem uczuciowe powody, które skłaniają Francuzów do rujnowania się na Algierię; poza tym imperium francuskie jest mniejsze, słabiej zaludnione, więc mniej kosztowne. Ale jak długo Anglik będzie źle mieszkał, źle jadł, dłużej pracował, mniej zarabiał po to, by utrzymywać blok sterlingowy? Albowiem finansowanie kolonii właśnie przybiera formę utrzymywania bloku sterlingowego. Pozornie wygląda on na źródło siły i bogactwa. Faktycznie jest źródłem słabości. Funt angielski stałby dużo mocniej bez bloku.



Zbliżenie do Europy, wyrzeczenie się preferencji imperialnej, likwidacja bloku sterlingowego, rezygnacja z kolonii co najmniej azjatyckich, radykalna redukcja zbrojeń — to by już wystarczyło, by Anglię postawić na nogi, by umożliwić jej tempo wzbogacania się takie same, jakie będzie udziałem 6 krajów Wspólnego Rynku. Wygląda na to, że te sześć krajów podwyższą stopę życiową swej ludności o jedną trzecią w ciągu najbliższych pięciu lat. Jeżeli Anglia nie dokona równocześnie równie wielkiego skoku wzwyż, to dystans między nią a kontynentem stanie się tak wielki, że najbardziej niemrawi Anglicy zaczną się w tym orientować. Anglicy są na czynniki materialne bardzo wrażliwi. Już teraz wielu Anglików podejrzewa, że *standard of living* w Niemczech jest wyższy niż u nich. Gdy przekonają się że pod ich nosem, we Francji, ludność żyje dużo lepiej, niż na Wyspie, może nastąpić w Anglii eksplozja. I wówczas nadejdzie godzina decyzji.



Decyzje mogą być tylko dwie, bo idea Wspólnoty Brytyjskiej jako Trzeciej Siły jest nie do utrzymania. Anglia może powrócić do Europy, przystąpić do Wspólnego Rynku, obok Francji i Niemiec, ale ani o jotę wyżej. Ta droga stoi wciąż dla niej otworem. Ta droga leży w interesie samej Anglii, bo rywalizacji z kontynentem nie jest ona w stanie wytrzymać ani politycznie ani gospodarczo. Ale leży ona również w interesie kontynentu. Potrzebujemy zamożnej, zadowolonej, optymistycznej Anglii. Widzieliś-

my ostatnio, jak nic się w Europie nie kleiło, póki Francuzi nie byli w stanie zaprowadzić u siebie porządku i ładu finansowego; dopiero teraz horyzont gospodarczy Europy wypogadza się gwałtownie. Stagnacja w Anglii może tylko hamować szybki wzrost stopy życiowej w Europie — najważniejszy imperatyw naszych czasów. Politycznie, pozostawanie Anglii na uboczu osłabia nasz kontynent; uniemożliwia mu zaprowadzenie ładu i dyscypliny w Afryce i w Azji, utrudnia mu odrzucenie Rosji do granic Eurazji. Współpraca Anglii z kontynentem nie ma nadrzędnego znaczenia współpracy francusko-niemieckiej : *ce problème qui règle tout, qui domine tout, qui décide tout,* jak w natchnieniu pisze André François-Poncet, ale jest też doniosła i potrzebna. Po co się kłócić i czubić, kiedy jest w Europie miejsce dla Anglików — nigdy pierwsze, ale na pewno czołowe !

A druga droga — to droga satelityzmu wobec Ameryki: Anglia zrezygnowałaby z wspólnoty *kultury* europejskiej, którą dzieli, na rzecz wspólnoty językowej i rasowej z bardzo już dzisiaj problematycznymi ,,Anglosasami'' z USA. Dla wszystkich tych, którzy obawiają się rasizmu i nacjonalizmu, jako złych duchów ludzkości, ta druga decyzja byłaby tragiczna, byłaby może zapowiedzią nieszczęść, podobnych do tych, które na ludzkość sprowadziło obłąkane opowiedzenie się narodu niemieckiego na rzecz mitów germanizmu. Wspólnota krwi, wspólnota języka — to zatrute bakcyle; jak daleko nas mogą zaprowadzić, nad jakie krawędzie, nad jakie przepaście ? Wspólnota kultury, wspólnota ideału prowadzi na wyżyny, jest z natury dostępna dla wszystkich ludzi wolnych, dla wszystkich ludzi myślących, obala bariery języka czy rasy — jest więc zapowiedzią dobra, a zatem szczęścia.



Są tacy, co twierdzą, że narody nie zmieniają się. Zwolennicy tych pesymistycznych, ahistorycznych teorii przypominają słowa generała Jezuitów z XVIII wieku, który gdy mu sugerowano rewizję reguł Loyoli dla uratowania Zakonu, odpowiedział: *Sint ut sunt, aut non sint.* Tak nie jest. Narody się dostosowują. Przez cztery wieki naród polski szukał swej misji, a więc swej duszy, na stepach ukrainnych, w borach litewskich. Tam biło serce narodu mocniej, niż na piaskach mazowieckich, niż na niwach poznańskich. Dzisiaj to się odwróciło.

Anglicy byli narodem marynarzy, tak jak my byliśmy narodem kawalerzystów. Anglia weźmie tę przeszkodę, i ta zmiana oddali ją od Rodezji i Nowej Zelandii, a przypomni jej pokrewieństwo z Europą. Tak samo Anglia przejściowo — w Ottawie w r. 1932 — rozstała się z ideą, która niosła ją przez sto lat do wielkości i potęgi : z ideą Wolnego Handlu. Dzisiaj Anglia jest jedną z fortec protekcjonizmu; ten gwałt zadany jej naturze srodze się na niej zemścił. Nie ma zapewne dziedziny, która by w Anglii nie wymagała rewolucyjnych reform : musi zjawić się

nowy Gladstone, który przy każdym wydatku, przy każdej instytucji będzie się pytał: czemu to służy? Trzeba rozluźnić więzy tysiącznych przepisów, trzeba zlikwidować całą piramidę przesądów, snobizmu, podziałów klasowych, rasistowskich uprzedzeń, system szkół, wychowanie dzieci, zabawy, rozrywki. Trzeba szeroko otworzyć drzwi Anglii ideom, myślom, ludziom z Europy. Trzeba wyzbyć się fumów i zarozumiałości — to źli doradcy. Ale przede wszystkim trzeba dokonać wyboru: z Europą czy przeciw niej, czy jesteśmy Anglosasami, czy Europejczykami? Ciężki to wybór, ale konieczny. A w dalszej perspektywie nieunikniony. Póki tego wyboru Anglia nie dokona, nie uwierzę ani w jej rozkwit, ani w jej zamożność, ani w jej potęgę: mogą być *bright periods,* jak mówią angielskie komunikaty metereologiczne, ale nie będzie prawdziwie pięknej pogody. A gdy ta decyzja zapadnie, gdy zapadnie w sensie rzucenia się w objęcia matki-Europy, kochającej i wyrozumiałej dla wszystkich swych dziatek, wówczas wierzę, że i dla ludności Wyspy nastąpią piękne, słoneczne i szczęśliwe dnie, choć okupione rezygnacją z marzeń, które już dzisiaj są przebrzmiałe, nierealne i niebezpieczne.

W. A. ZBYSZEWSKI

Bartek zwycięzca

„Oberek-obereczek, kujawiak-kujawiaczek...

budzi mnie melodia. Wypełnia cztery ściany lokatorskiego po-koju. Jeszcze przed chwilą ktoś ją tutaj wygrywał na rozkleko-tanym wojną, klasztornym pianinie.

Nie otwieram oczów. Słucham tylko. I staram się przy-trzymać te dźwięki rozpływające się w nocnej ciszy, uciekające po ścieżkach i gruzach wspomnień o Wielkiej Bitwie.

Jeszcze słyszę.

„Gęsi za wodą, kaczki za wodą,
Uciekaj dziewczyno bo cię pobodą...”

dudni hołupcami pod łukami kamiennych sklepień. Przez dziury bombą lub granatem w murach wyrwane, wypływa na dziedzi-niec. Przez dach bez dachu ulatuje pod granatowe niebo;

„Ja ci buzi dam, ty mi buzi dasz...”

między krzyże ze swastyką, między świętych bez głów i rąk między trupy owinięte w szare koce, między żywych wałęsają-cych się po ruinach;

„Ja cię nie wydam, ty mnie nie wydasz!”

wśród rumowiska, które kiedyś było benedyktyńskim klaszto-rem, ośrodkiem kultury, świątobliwości i pokoju, a dzisiaj jest dowodem ludzkiego szaleństwa, na którym powiewa biało-czer-wony proporzec.

„Oberek-obereczek, kujawiak-kujawiaczek...

Wielka Bitwa skończona. Można już grać, śpiewać i myśleć o dziewczynie!

◆

Dzień jest naprawdę piękny. Jak przystało w maju i we Włoszech. Jak przystało na Dzień Zwycięstwa.

Słońce — do wczoraj jeszcze przekleństwo żołnierza, szukającego skrawka cienia wśród skał, na próżno potrząsającego pustą manierką i ścierającego pot spływający spod rozpalonego, stalowego hełmu — nadrabia miną i uśmiecha się przyjaźnie. Rozprasza mroki cuchnących wnętrz bunkrów i jaskiń, złotą mgiełką przysłania ponury krajobraz pobojowiska, odmraża mózg zlodowaciały strachem. Radośnie świeci w oczach tych, którzy przeżyli. Jak w matowym zwierciadle odbija się w oczach tych, którzy już bez zmrużenia mogą na nie patrzeć. Na nowo burzy zmysły, przypomina o winie i dziewczynie. Jest z powrotem symbolem życia nad ziemią, po której właśnie przeszła śmierć.

Żołnierz rozumie to i docenia. Nie klnie już na gorąco, nie szuka cienia (i bezpieczeństwa) pod kamieniami. Wylazł na słońce, jak kot zmrużył oczy zaczerwienione od nieprzespanych nocy, przeciągnął zbolałe kości i cieszy się. Słońcem — którego mógł już więcej nie oglądać (jak Tamci); życiem — które nagle nauczył się cenić; dniem — jeszcze jednym, podarowanym mu przez Boga, w którego teraz dopiero naprawdę uwierzył. No i oczywiście Zwycięstwem.

◆

Jestem jednym z Nich. Z tych którzy się Radują. Z tych, którzy przeżyli owych osiem nocy i siedem dni walki. Natarć i odwrotów. Morderczych ogni zaporowych. Skał, bunkrów i zaminowanych ścieżek. Schronów wydrapywanych w twardej ziemi. Wnętrzności przytrzymywanych parcianym pasem. Modlitw odmawianych w ostatniej potrzebie. Granatów, nebelwelferów, spandauów, czołgów miażdżących rannych, krwi czerwieńszej od maków i kwilenia słowików, zagłuszanego przez jazgot odłamków i pocisków.

Jestem brudny. Zarośnięty. Prawdopodobnie śmierdzę. Mam czerwone oczy, spaloną słońcem twarz, a na czole głębokie bruzdy od hełmu nie zdejmowanego nawet nocą. Pazury mam połamane i czarne od czepiania się ziemi i skał. Włosy potem i kurzem zlepione w jeden kołtun. W gardle mam gorączkę, w manierce trupem cuchnącą wodę, w żołądku resztkę ,,beefu'' wyskrobanego z dna puszki, a w zębach czarne cygaro, wyfasowane z kieszeni przydrożnego, niemieckiego nieboszczyka. W niczym nie różnię się od innych Zwycięzców.

Jest 19-ty maj, 1944 roku. Nad głową wisi granatowa kopuła nieba, nie skażona najmniejszą nawet chmurką. Wokoło

kwitną czerwone maki a w krzakach, pociskami ogołoconych z liści, śpiewają słowiki. Nikt nie strzela. Nic nie świszcze, nie wybucha, nie grzechoce, nie wyje. Nikt nie zawodzi godzinek ani nie przeklina dnia swojego urodzenia. Praży słońce, wiosną pachnie ziemia, śmierdzą trupy.

Wracam spod Piedimonte. Natychmiast po zdobyciu Monte Cassino rozkazy pognały mnie tam i jeszcze szybciej odwołały, była to bowiem „prywatna bitwa" naszych pancerniaków i pułkownika Bobińskiego, do której innym nie wypadało się wtrącać.

Wracam ścieżką z Sta Lucia na St. Angelo, stąpając „jak słoń na butelkach w cyrku", bowiem wylecieć na minie w dzień po Zwycięstwie byłoby szczytem wojskowej głupoty i cywilnego nonsensu. Jestem wolny od wszelkich trosk. Nie nacieram ani nie uciekam. Nie strzelam. Nie dowodzę. Nie mam radia ani telefonu. Mam za to czas i nigdzie mi się nie spieszy. Idę zobaczyć legendarny Klasztor, który dotychczas oglądałem tylko przez lornetkę. Czy to z odległego, śniegiem pokrytego Cerra Grosso, czy też, już w czasie samej Bitwy, z położonego obok wzgórza „706" i z Widma. Spowity w dymach, nocą niczym choinka obramowany kolorowymi kulkami świetlnych pocisków: fantastyczny fajewerk, dumny, groźny i surowy — a do wczora jeszcze — Niezdobyty.



Ścieżka wiedzie przez pobojowiska „Kresowej" i „Karpackiej".

Pierwsze z brzega — Angelo. Skałami najeżony grzbiet górskiego dinosaurusa, na który w ostatniej fazie bitwy, pospołu z komandosami, nacierali nasi pisarze i kuchciki i który na moich oczach, samotrzeć, zdobyć usiłował kapitan Bączkowski. Wylęgarnia niemieckich przeciw-natarć, główne ogniwo obrony „Linii Gustawa". Gniazdo spandauów, szmajserów i dzierżących je wyborowych, niemieckich szturmowców... Na przeciwstoku, w martwym, artyleryjskim polu, jeżą się bunkry. Ściany z olbrzymich głazów, dachy z grubych belek. Odporne na najcięższe bombardowania. Prawdziwa forteca. A wokoło pobojowisko. Stosy broni, granatów, amunicji, prowiantu — wśród których grzebią się Zwycięzcy. I trupy, nad którymi kłębi się rój czarnych much. Ci „starsi", sprzed kilku dni, leżą w równym szeregu, przykryci brezentowymi płachtami, z „wizytówkami" przyczepionymi do nóg, gotowi do transportu. Ci „świeżsi", ci z ostatniego natarcia, leżą jeszcze tam i tak jak ich śmierć zaskoczyła. Tu Polak, tam Niemiec. Tu komandos z krzyżykiem jerozolimskim na piersi — tam spadochroniarz z „Gott mit uns" wyrytym na klamrze pasa.

Czarne włazy bunkrów zieją stechlizną i brudem. Wpełzam ostrożnie, by nie zapoznać się namacalnie z jakąś przemyślną pułapką na ludzi. Dławi smród tak charakterystyczny dla każdego pomieszczenia, w którym przebywał żołnierz niemiecki. N

ziemi porozrzucane brudne pierzyny, kolorowe kołdry, jakieś szmaty. Jest alpejski plecak (przyda się, lepszy bowiem od angielskiego, jest polska menażka (chyba ,,ich'' jeszcze ,,pamiątka'' z kompanii wrześniowej), spadochroniarska wiatrówka (praktyczna ale cuchnie brudem — więc won !).

Rakiem wydostaję się z powrotem na powietrze i słońce. Wokoło kręcą się nasi piechurzy. Ten przysiadł na kamieniu, zdjął hełm, rozpiął koszulę i wygrzewa się. Tamten grzebie bagnetem w kupie wojennych rupieci. Inny z fachowym namaszczeniem ogląda długą lufę spandaua. Gęby brudne, zarośnięte, wesołe.

,,I oto patrzę, z lasu wychodzi, jakaś pokraczna figura...''

rozbrzmiewa wśród bunkrów i stokiem spływa w dolinę rzeki Liri popularna w ,,wileńskiej'' piosenka. To batalionowy Kiepura daje upust swojej radości.

,,Dort werden wir uns wiederseh'n
Wenn wir bei der Laterne stehn...''

dośpiewuję pod nosem, spoglądając na leżącego obok Niemca.

— Kryć się ! — wrzeszczy jakiś oficerek, pełen ważności szarży i chwili.

— Niemcy jeszcze na Corno i w Piedimonte. Widzą nas jak na talerzu...

— No to niech widzą ! — odpowiada jeden ze Zwycięzców, spuszczając pod bunkrem spodnie.

Chodzę i ja. Grzebię i ja. Wśród butelek od wina (pustych), między puszkami konserw (Spróbować ? Nie spróbować ?), w stosach białych kostek spirytusowych do malutkich piecyków żołnierskich. Rozwijam paczki w celofan owiniętego razowego chleba (jest czerstwy, ale mimo to apetyczniejszy niż ta biała wata, którą nas Anglicy karmią). Chowam do kieszeni garść autentycznych ,,wedlowskich'' cukierków. Wiatr rozrzuca dokoła i niczym confeti sypie na głowę setki listów i papierów. Niektóre listy pisane po polsku. Matka i siostra, z Bydgoszczy pozdrawiają syna i brata, pytają kiedy na urlop wreszcie przyjedzie i opiece boskiej polecają. Nie przyjedzie. Jedynym po nim śladem będzie ów list w archiwach naszej ,,dwójki''... Jakaś Jola znowu, po polsku pisze do ukochanego, że gdy wojna się skończy — pobiorą się. Za późno ! Szukaj sobie Jolu innego... Listy wesołe. Listy ponure. Oficjalne i intymne. Przecież w tych bunkrach naprzeciw nas siedzieli i walczyli również l u d z i e !

Z munduru zabitego Niemca odpruwam orła ze swastyką i baretkę z blaszką, na której wypisane stoi ,,Bug''. Widać wrześniowy jeszcze weteran. Z walającej się obok czapki zdejmuję aluminiową alpejską szarotkę. Wszystko ,,na pamiątkę''. Każdy człowiek jest przecie po trochu kolekcjonerem. Znacz-

ków pocztowych, pudełek od zapałek, obrazów, książek, pieniędzy, antyków, pornografii, kobiet... Na wojnie dochodzi jeszcze kolekcjonerstwo — jak wyżej. Nie myśli się, że to może coś niestosownego, wręcz makabrycznego. Na trupy przestało się reagować. To niemal ten kamień, który trzeba przeskoczyć, schować się za nim lub stąpnąć na niego. W ogniu i zapamiętaniu walki tylko żywi się liczą...

Idę dalej. Przez Widmo. Stoją jeszcze zatknięte na kijkach ,,skaczące Jacki'', rozbrojone już (czyżby ?) a mimo to z respektem omijane ,,personalne'' miny. W gęstych krzakach, wśród których niedobitki pierwszego natarcia śpiewały godzinki, teraz śpiewają ptaszki. Sterczą potrzaskane bunkry. Walają się strzępy ekwipunku i strzępy ludzi. But na ścieżce — a w nim ludzka stopa. Hełm na krzaku — a w nim resztki mózgu... Tutaj toczył się bój o każdą piędź ziemi, o każdy krzak czy kamień. Tu gdzieś padł z rozłupaną głową dowódca mojej ,,wileńskiej'' brygady, pułkownik Kurek. Tutaj major Gnatowski trzcinką poganiał do natarcia obozowe ,,ciury'' — które siedząc po pralniach polowych, kuchniach, świetlicach czy kancelariach nigdy nie przypuszczały, że jako ostatni odwód skrwawionego w walce Korpusu, rzuceni zostaną do decydującego szturmu. Tu, na tej ścieżce, na nierozpoznawalne strzępy rozerwało 19-letniego Zbyszka Czaplińskiego, artylerzystę, gdy z okrzykiem ,,pobudka, pobudka, wstawać...'' podrywał zaległych w ogniu piechurów. (O innych dowiem się później, z rozkazów i z płyt grobowych na cmentarzu pod Monte Cassino).

Nade mną sterczy wzgórze ,,706'' a na jego wierzchołku bezkształtna kupa głazów — to ,,Schron pod Nieboszczykiem'', w którym przez trzy dni i trzy noce byłem ,,Cyklopem'' naszej artylerii. Oceniam wzrokiem odległość między tym ,,schronem'' a pierwszymi z brzega bunkrami niemieckimi na Widmie i włosy jeżą mi się na głowie. Mniej niż sto metrów dzieliło mnie od wyborowych żołnierzy hitlerowskiej armii. Mogli mnie byli wybrać jak pisklę z gniazda. Kamieniami niemal zarzucić. Stanowczo za mało się wówczas bałem!

I znowu dalej. Wydeptaną wśród krzaków ścieżką, do masy gruzów, które kiedyś było osiedlem Mass Albaneta, a potem wygniecionym gąsienicami czołgów szlakiem, mimo prowizorycznych mogił, ozdobionych hełmami zawieszonymi na zatkniętych w ziemię karabinach i kartkami zatkniętymi na rozłupanych kijkach. Tu zbiorowa mogiła 13-tu chłopców z 13-go Batalionu, tam 6-ciu z 14-go. Tu gdzieś, nocą, nasze czołgi wtłaczały w ziemię leżących na ścieżce rannych. Tu gdzieś (jak się później dowiem), dzień przedtem poległ podporucznik Leopold Żołnierczyk z 4-go pułku Pancernego (,,Skorpionów'') i śmiertelnie ranny został podchorąży Czesław Wiech z 6-go Pancernego (,,Dzieci Lwowa'') — moi koledzy z fantastycznej, 7-mio tygodniowej podróży dokoła Afryki i dwumiesięcznych, złotych wywczasów w Durbanie.

Wkraczam na szlak bojowy ,,Karpackiej''. Gdzieś nade
nną Głowa Węża, Domek Doktora — pobojowiska niemniej
rwawe jak te na Widmie czy Angelo. Maszeruję sławną ,,Ca-
endish Road'', wzdłuż której czernieją i cuchną wejścia do jaskiń,
 których wystają nogi zasypanych Niemców, i przy której
valają się jeszcze szczątki żołnierzy angielskich, nowozelandzkich
 małych a walecznych Gurków — rozsypujące się przy dotknię-
iu. Aż wreszcie, poprzez makabryczny las szkieletów, drzew
ociskami obdartych z liści i kory, starczących pośród lejów wy-
ełnionych zieloną, cuchnącą wodą; poprzez ziemię tak zrąbaną
ociskami, że i najlepszy oracz nigdy by jej tak dokładnie nie
rzeorał — docieram do Klasztoru, w ponure kłębowisko biele-
ących w słońcu kamieni.

,,,,,Czerwone jabłuszko przekrajane na krzyż
Czemu ty dziewucho krzywo na mnie patrzysz?''

Melodia wypływa spośród gruzów. Zaskakuje. Zatrzymuje.
est groteską. Może nawet świętokradztwem?

,,Gęsi za wodą, kaczki za wodą...''

łynie polski obertas. Leniwie zwisa z czubka ruin polski pro-
orzec. Po gruzach snują się polscy żołnierze — ,,turyści''.
'raży południowe słońce. Sterczą kikuty drzew. W dali gra
rtyleria.

◆

Wdrapuję się na rumowisko. Dziurą wybitą w ścianie wcho-
lzę do środka. Szerokimi schodami i klasztornym korytarzem,
vśród grubych, średniowiecznych murów nieczułych na bomby
 pociski, pośród trupów gnijących w kościelnych skrzyniach,
valających się po ziemi kielichów i rzdewiejących puszek od
onserw, obok olbrzymiego globusa przebitego odłamkiem właś-
nie tam gdzie Europa, po rozrzuconych bezładnie ornatach i kom-
ach, wśród stalowych odłamków i połamanych lichtarzy, żelaz-
ych łóżek i rozprutych pierzyn, mimo wypchanej małpy i obłu-
anych figur benedyktyńskich świętych, przez dziury wybite
ociskami i pod walącymi się sklepieniami — wychodzę na
lasztorny dziedziniec, na skąpaną w słońcu górę białych gru-
ów, ukoronowaną wielkim posągiem świętego Benedykta bez
łowy. W arkadach, u stóp potrzaskanych kolumn sterczy sztyw-
no szereg czarnych krzyżów ozdobionych swastykami. Leżą kupy
granatów ręcznych. Na ocalałych fragmentach ścian, niczym
uryści na stopniach piramidy, podpisali się — jakiś Hans, jakiś
Wilhelm. Jest oczywiście ,,Heil Hitler!''...

,,Ja ci buzi dam, ty mi buzi dasz,
Ja cię nie wydam, ty mnie nie wydasz!''

Niczym kobra zahypnotyzowana melodią skręcam szyję, odwracam oczy od tego szaleństwa zniszczenia, które mnie otacza. Z lewej strony dziedzińca stoi cudem chyba zachowany piętrowy budynek. Ktoś w nim gra. Wchodzę więc. Przez okna, która straciły swój okienny kształt i stały się po prostu dziurami w ścianie, promienie słońca kładą się długimi, litymi pasami barw i roztańczonych pyłków. Na podłodze, spod gru- bej warstwy tynku i gruzu wystają skórzane okładki, bielej- kartki. Łażą po nich żołnierze. Czasem któryś pochyli się, po- grzebie, podniesie książkę — i w kąt rzuci. W drugim pokoju rozklekotane, odłamkami poszczerbione pianino — a przy nim znajoma sylwetka. Przypomina mi się Terleckiego świetlica w Cöetquidanie, Sikorskiego „Rubens" w Londynie, Mackenziego księgarnia w Bagdadzie, Mazinniego winiarnia w Neapolu.

„Oberek-obereczek, mazurek-mazureczek,
kujawiak-kujawiaczek,
Chodźże Maryś ze mną w krzaczek!"

Bocheński. Wiadomo — Adolf, bo przecież nie Ksiądz Do- minikanin... Wyciągnął spod gruzów kilka grubych ksiąg (może właśnie ową legendarną encyklopedię, którą z Klasztoru „wy- szabrował" i później w plecaku aż do śmierci woził), siadł na nich i rąbie w oporne klawisze. Czyżby w tym skocznym ober- tasie chciał wypowiedzieć swój sąd o minionej Bitwie i w ogóle o Sprawie polskiej? Czy też, po prostu, gra duszy żołnierskiej to czego jej najbardziej w tej chwili potrzeba?

Nie przeszkadzam. Niech gra. Niech rozprasza i moje my- śli, które nagle, na widok tych tragicznych szczątków bene- dyktyńskiej biblioteki, zachmurzyły się. Przed oczyma stanęła własna biblioteczka, pozostała w Kraju. Książki wypielęgnowa- ne, na Świętokrzyskiej u antykwariuszów z trudem zdobywane. Uczucie radości, że się żyje, że się Wielką Bitwę przeżyło i Zwy- cięstwa doczekało — nagle pryska. Słońce wydaje się bledsze, pyłki pląsające w jego promieniach stają się tym czym są — kurzem.

„Gęsi za wodą..."

Klękam i przerzucam książki. Chcę coś znaleźć — na pa- miątkę dnia i miejsca. Szukam książki, która choćby symbolicznie nie tylko łączyła się z tą chwilą, przypominała mi o niej w przy- szłości. Nie jakiejkolwiek książki. I nie wielkiej książki. Jestem przecież żołnierskim-realistą. Domem moim ziemianka lub „pię- nastka", majątkiem osobistym to co noszę w plecaku lub w mój „osobisty" przechowuje w żelaznych skrzynkach po amu- nicji. Zdaję sobie sprawę, że przy pierwszej okazji będę musiał pozbyć się książkowego balastu. Słusznie zresztą, bo książki przecież (prócz regulaminu) to rzecz nie wojskowa... Szukam więc czegoś „podręcznego".

I nie pamiętam już czy to było trzecia czy dziesiąta książka, którą wziąłem do ręki. Jak inne — brudna była od tynku i kurzu. Miała skromną, tekturową, czarną okładkę z grzbietem bordo i naklejonym na nim numerem bibliotecznym. Była cienka i niepozorna. Otworzyłem ją i stwierdziwszy, że włoska chciałem już odrzucić wśród inne, walające się dokoła — (z językiem włoskim bowiem byłem jeszcze wówczas, w tych przed-rzymskich i przed-bolońskich czasach na bakier) — gdy nagle znajome nazwisko wstrzymało moją rękę.

Czytam powtórnie. Uważnie.

Przez okno wywalone podmuchem bomby wpada jasny promień słońca, białą wstęgą przecinając stos ksiąg i papierów. Bzykają grube, czarne muchy. Kurz kłębi się i dusi. Chce się kichać. Jest duszno. Chce się pić. Bocheński nagle przestał grać. Siedzi zapatrzony przed siebie... Klęczę pośrodku bibliotecznego pokoju i ,,kręci mi się w oku''. Czepiam się otaczającego mnie realizmu a pogrążam w melodramat. Wydaje mi się oto, że nie ma na świecie zbiegów okoliczności. Że to chyba sam święty Benedykt tak chciał, by z gruzów jego biblioteki, w cieniu polskiego proporca, polski ,,turysta'' w brytyjskim battledressie, podniósł z gruzów benedyktyńskiego opactwa, by dalej na swój szlak tułaczy ponieść, książkę autora najbardziej sercu polskiemu drogiego...

Autorem był Henryk Sienkiewicz. Książka — wydana w Neapolu, w 1904 roku (Salvatore Romano, Editore, Piazza Cavour, 15) — liczyła zaledwie 184 stron i zawierała dwie nowele, tłumaczone na język włoski i objaśnione przez Vincenzo Arabia. Pierwsza nowela (od której tytuł całości) zwała się ,,Seguiamolo'' (*Racconto storico dei tempi del Messina*). Druga — tu pan Henryk ściskał chyba dłoń trzymającą tę książkę równo w 40 lat po niej wydaniu — nosiła tytuł ,,Il Vincitore'', czyli po prostu — ,,Bartek Zwycięzca''.

Bocheński nagle poderwał się z zadumy i z całej siły wyrżnął w klawisze pianina. Poprzez gruzy, pośród świętych bez głów i trupy w skrzyniach schowane, wśród ksiąg zwalone na kupę, ornaty, kielichy i pierze popłynął Polonez. Żołnierze przystanęli. Ten i ów spuścił głowę. Zasłuchał się. Zadumał.

Schowałem moją już książkę za pazuchę battledressu. Była dla mnie większą nagrodą niż późniejsze krzyże...



Minęły lata. Piętnaście dla ścisłości. W nieskończoność wydłużyły się ścieżki prowadzące Zwycięzców spod Monte Cassino w daleki, obcy świat. Klasztor odbudowano ku Chwale Bożej. Bibliotekę odrestaurowano ku pożytkowi myśli ludzkiej. Drzewa-szkielety zazieleniły się na nowo. Wyrównano leje. ,,Pokój i Praca'' znowu zapanowały w dolinie rzeki Rapido.

Poczerniały krzyże na grobach Tych, którzy tam zostali. Wyblakły wspomnienia u Tych, którzy tam się bili. Czasami tylko, tknięty jakąś uboczną myślą czy też melodią odżyłą w sennych marzeniach, wśród nocnej ciszy wielkiego miasta — kamuszek wspomnień potoczy się nagle i wywołuje lawinę.

„Gęsi za wodą, kaczki za wodą...”
już tylko echo gra pod czaszką.

„My za wodą, wy za wodą...” z drewnianej półki dośpiewuje sienkiewiczowski „Bartek Zwycięzca” z lokatorskiego pokoiku w obcym mieście andersowski zwycięzca spod Monte Cassino.

Aleksander GROBICKI

Stryjcio z Ameryki

Nijakie było życie Kramarza. Nijakie, ale spokojne. Rano, przed drzwiami, butelka mleka i gazeta. Kładł butelkę na stoliku. Drzwiczki kredensu skrzypiały, gdy wyjmował szklankę po dżemie z zielonym wizerunkiem Waszyngtona z jednej, i obrazkiem Białego Domu z drugiej strony.

Pół szklanki mleka rano przed papierosem. Gazeta zakrzykiwała go ważnością wydarzeń i reklamami. Powolutku odwracał strony. Waszyngton wynurzał się z mleka, spoglądał uważnie na Kramarza. Social Security przysyłało czek regularnie, co miesiąca : 85 dolarów. Pięć lat jak przeszedł na emeryturę. A dla kogo miał się zaharowywać? Po co?

Pięćdziesiąte lata nerwowe, zadyszane gonią świat, napędzają do szybszych obrotów. Nie dla Kramarza ten pośpiech. Szklankę mleka sączy wolniutko. Błyskawicą miga młodość. Dudni harówką życie : wstawaj do roboty, pędź, zarabiaj, wydołaj ! A starość kropelkami mleka się sączy. Odpoczynek... zasłużona emerytura.

Kramarz pociągał za sznurek żaluzji, przypatrywał się pogodzie, oceniał. Pokój, albo się cofał w cień nachmurzonego dnia zapraszająco wciągając Kramarza, albo kalendarz od Matki Boskiej Różańcowej, ten na wprost okna na ścianie, rozjaśniał się chwytając smugę słoneczną. Siadywał więc albo Kramarz na fotelu przed oknem i czytał półgłosem sobie przemawiając niektóre rzeczy, dziwiąc się sprawom niezwyczajnym, albo nakładał na głowę kapelusz i szedł.

Na ulicy wszystko pędziło pół-postrzelone. Auta w jedną, w drugą stronę, aż dziw, że się nie pozabijają. Kramarz miał swoją ,,kare''. Za 4 dolary miesięcznie wynajmował garaż. Chevrolet 38, z dobrej, nie dzisiejszej stali, solidny, stał, błyszczał jak nowy. Kto by pomyślał, że już go Kramarz kupił używany dziesięć lat temu — i jeździ ! Czasem, od święta, wolniuśko, ale motor pracuje ! A opony pierwsza klasa !

Szedł Kramarz ulicą, zatrzymywał się, splunął, to uchylił kapelusza. Znajomków miał na każdym kroku. Lubiał zajść tu i tam. Do Domu Związkowego, do „Sokoła" na piwo.

— No i co tam? — pytał — co się przydarzyło?

— Oyster Supper u św. Stanisława, Pójdziesz?

— W te niedziele? W tę nie mogę. Na instalacje zarządu idę do Gminy.

Przysiadał się tamten i ów do stolika. Kompani zwolna przechodzili na emeryturę.

— Wisz — mówiono — ten już nie robi. *Sixty five birthday i good bye!*

Niech *government płaci!* Nie należy to nam się, co? Nie narobiliśmy się całe życie?

A ubawił się, a naśmiał okropnie z przeróżnych opowieści. Jak to się prezeska Matek Wojennych za łby wzięła z sekretarką protokólarną. Jak się chłopy spiły na świenconce u Weteranów, że aż komendant, mało co, policję musiał wołać.

Miał gdzie zajść Kramarz. Sama ulica podlatywała mu asfaltem pod nogi nisko się kłaniając:

— *Good morning* Mr. K. *How are you to day? Fine, I hope!*

W sklepie z dewocjonaliami kupował od czasu do czasu polską gazetę. Wspominali w niej czasem i jego miasto. Jak się komu urodziło dziecko, o ślubach, o ślubie Fronczaka córki pisali, i o pogrzebach. Jak kto umarł, to pisali najwięcej.

Koło kościoła lubiał przejść.

— Proboszcz — mruczał — taką fortecę za ludzkie pieniądze wystawił, i jeszcze przed wejściem w niedzielę po dajmie (1) i w święta po kwodrze (2) obowiązkowo płacić każe. A kolekta swoją drogą. Ho, ho, myśli, że go nie pamiętają jak się z innymi dzieciakami na ulicy bawił. A teraz w fiolety obrósł. Nie przystąpi.

Od kościoła szedł drogą w dół do portu i patrzał.

Okręty potężne nieczynne stoją. Pomniejszy statek przywiózł banany.

Murzyny latają, wyładowują, załadowują. A nad wieczorem jak stewadory (3) skończą robotę i walą jeden za drugim do baru, jak się popiją, to dopiero zabawa!

Na obiad wstępował raz tu, raz tam. Do Domu Polskiego, — czasem. Do małego baru na rogu — często. Posiedział, napatrzył się telewizji, zaszedł jeszcze do niejednego i późnym wieczorem — do domu.

Dom to był skąpy, bo tylko cztery ściany objęte ramionami mocno, szczelnie, nie dopuszczały złych snów do Kramarza. Kołysały się tylko przed zaśnięciem, tik-tak, tik-tak, jak zegar stary mierzący czas.

---

(1) Dime.
(2) Quarter.
(3) Stevadore (robotnik polski).

— Śpij, śpij siedemdziesiąt lat przeżyłeś, odpoczywaj sobie, odpoczywaj... zaśnij.

Ale jednego dnia Ból przewiercił spoistość ścian i przyczaił się nocą u łóżka Kramarza. Czatował na niego latami, ale go Kramarz odpędzał. Jęknięciem, to skrzywieniem, to ranną niemocą — opędzał się.

— Z lekarzami — mawiał — ino nie zaczynaj. Lekarz na tamten świat wyprowadzi i jeszcze pieniądze weźmie.

A pieniądze Kramarz miał. Jak uciął czternaście tysięcy dolarów. Krwawica całego życia. *Overtimes,* święta i wakacje niewykorzystane. Pięćdziesięciogodzinny tydzień pracy przy buchającej kłębami pary maszynie do prasowania, przy terkoczącej maszynie do szycia co wysysała mózg i przygarbiała plecy. Cena życia — czternaście tysięcy dolarów. I jeszcze narastały. Dochodziły procenty, oszczędności z emerytury. Kramarz otwierał książeczkę w niedzielę z rana i patrzał. Czternaście i trzy zera.

— *Fourteen thousands* — cmokał do siebie — *you are a rich man.* Mr. K.

A potem zamykał trwożnie książkę, chował ją pod materac. Jeszcze się gospodyni zechce szperać.

Sztyftował się do kościoła w odświętną koszulę. ,,Kwodra'' z kieszeń i dolara do koperty na tacę. Nie ośmieliłby się mniej. Kto jak kto, ale proboszcz wiedział.

— *You should be ashamed of yourself,* Kramarz — powiedziałby — na dolarach siedzisz, a marnego grosza na kościół nie dasz. ,,Lotę'' masz na cmentarzu parafialnym, księdza będziesz wołać do ostatniej posługi, co ? To tak księdzu pomagasz sknero?

Tej nocy, której Ból dopadł Kramarza, myślał że przyjdzie mu wołać księdza.

Obudził się z krzykiem. W dołku, pod żebrami, siedziało przekleństwo i przeżerało go na wylot. Szponiasta łapa Bólu sięgała aż pod żebra. Przebierała paluchami raniąc płuca, zahaczając o krtań.

Kramarz usiadł na łóżku, podkurczył nogi i jęczał. Chciał zbiec na dół do mieszkania gospodyni i prosić o ratunek, ale przypomniało mu się że wyjechała na week-end do córki.

— O Jezusie — jęczał — o Jezusie...

Pół zgięty dowlókł się do kredensiku i wyszperał aspirynę. Drżącymi rękoma chwycił szklankę z wizerunkiem Waszyngtona i zbliżył się do kranu, aby ją napełnić wodą. Ale ręka drżała mu tak mocno, że nie zdołał utrzymać szklanki. Upadła. Waszyngton i Biały Dom przestały istnieć. Kawałki rozbitego szkła.

— Źle — jęknął Kramarz — pewnie zemrę.

I zaraz dojęczał rozcierając rękami bolący brzuch :

— Szkoda szklanki, zawsze swojego nikla warta.

I znowu :

— Tak na tej podłodze. Sam. Bez księdza.

Doczłapał się do łóżka, przełknął ostatnią gorycz aspiryn i leżał cicho wsłuchując się w Ból. A Ból jakby się cofnął nieco choć jeszcze był i nie ustępował. Stali sobie naprzeciw: Kra marz i ten wróg niewidzialny co uchwycił potężnie i czeka n okup.

— *You are a rich man,* Mr. K. — zachichotał Ból. — *Give me your money! Pay me,* Mr. K.

— Masz — jęczał Kramarz — ile chcesz?

— *All of them, fourteen thousands dollars* — żądał Ból

I na chwilę wyciągnął szponiastą rękę z wnętrzności Kr marza. Wtedy Kramarz począł uciekać. Biegł tak szybko, z trudem chwytał oddech. Tuż za nim pędził wróg. Krama przeskakiwał schody, zjeżdżał po poręczy, a na ulicy wskocz z rozpędem na dach przejeżdżającego ambulansu.

Uuuuuu! — ryczała syrena — uuuuu!

— Ten ambulans zawiezie mnie do szpitala — ucieszył si Kramarz.

Obudził się później niż zwykle osłabły i apatyczny. Ciał które dotąd stanowiło spoistą jedność i podporządkowywało si nakazom Kramarza, jak gdyby się rozluźniło. Każdy członek p bolewał na swój sposób, wyłączał się z całości, dawał znać o swo w organizmie bytności. Stawy dokuczały, nawet pusta przestrze którą w nocy nie wypełniała sztuczna szczęka, rwała najpra dziwszym, dawno nie odczuwanym bólem zęba.

Dźwignął się z łóżka. Poczłapał na bosaka na środek p koju i jeszcze raz się użalił nad szczątkami prezydenta i roz tym Białym Domem.

— I człowiekowi przyjdzie tak kiedyś. — Rozmyślał smutn

Szarpnął sznurek rolety, podjechała w górę furkocząc. K marz stał i patrzał na wiosenne, wysokie niebo całe w weł stych obłoczkach podbitych błękitem. Chłonął w siebie dzień. .

Około południa zwlókł się ze schodów i poszedł do jedneg który mieszkał pięć bloków od niego i z którym najwięcej kolegowali. Ten Misiewski całe życie robił w stalowni, a pot przy samolotach i teraz źle nie miał. *Social Security* to dostaw nawet większą od Kramarza, a o książce bankowej, o *sawing* nie mówili.

Kramarz szedł jakby lekko pijany, na granicy dnia i no ale coraz odważniej wstępował w dzień. Otwarła się w nim ty pustka dziwna, dawniej nie doświadczana, czczość jak po wielk głodzie, nie wiedział czego by pragnął i co by mu brakowa Misiewskiego nie było w mieszkaniu i Kramarz poszedł da szukać go do Domu Związkowego.

Dom był szczupłą, obdrapaną kamieniczką o dwóch wejści z ulicy. Obydwa prowadziły do niewielkiego, zadymionego ba Trzeba było przejść bar, ażeby krętymi, drewnianymi schodk dostać się do pomieszczeń związkowych.

Kramarz pchnął drzwi. Pomimo wczesnego, niedzielnego popołudnia w barze było tłoczno i ciemno od dymu. Elektryczne światło paliło się nad długim kontuarem.

Kramarz stanął w progu i rozglądał się za Misiewskim. Dwie rozchichotane, podochocone piwem staruszki tańczyły ze sobą polkę na niewielkiej wolnej przestrzeni. Ponad gwarem górowała piskliwa melodia zasapanej, grającej szafy :

Mama tate bi-je, bi-je
Bo za dużo pi-je, pi-je.

Misiewski siedział przy bufecie i kurzył cygaro. Był barczysty, o twarzy kanciastej. Wystające kości policzkowe i nieco skośne oczy kryły w sobie łobuzerską przemyślność. Ale zwiotczałe mięśnie twarzy i opadła dolna szczęka były tylko napomnieniem dla oczu, które się jeszcze łakomiły na życie.

— *One beer!* — krzyknął do barmanki dostrzegając Kramarza.

— Ni bede pił — zajęczał Kramarz wdrapując się na taburet.

— No? — zdziwił się Misiewski.

Spojrzał uważnie na Kramarza. Pociągła twarz kolegi była żółtawo-blada.

— Jaki to ten doktór, ten cożeś do niego chodził?

Misiewski pociągnął cygara. Zasłona dymna rozdzieliła na chwilę rozmawiających.

— Jak dohtory. Dolary bierze. Pani! — zawołał do barmanki — jaki to on dohtór, ten Bryś?

— Ja do niego nie chodzę. Mój chłopak był u tego nowoprzybyłego — zawołała.

— Iij... — wydął wargi Misiewski — ino tam nie chodź! Jak cię taki w obroty weźmie!

— A co ten Bryś?

— Trzy dolary bierze.

— Pomoże, myślisz?

— A co panu, panie Kramarz — wtrąciła się barmanka. Była z nowoprzybyłych, ale jakoś obrosła Polonią, że niewiele jej obcość dostrzegano.

— A tu — wskazał palcem na dołek pod żebrami i zaczął szczegółowo rozwodzić się nad bólem.

— Bo czego to się taki człowiek nie żeni! — biadała barmanka — sam jak ten kołek, tak by żona przypilnowała, dom by jakiś był.

— Iij... mi tam do ożenku! — roześmiał się Kramarz.

— *Two beers!* — domagali się goście z drugiego końca bufetu.

Kramarz wrócił do domu nad wieczorem. Był słaby, jadł niewiele, bał się nawrotu bólów, a w ustach miał gorzki, mdlący niesmak.

— Wzięło mnie — mruczał do siebie.

Postanowił też nazajutrz pójść do doktora Brysia.

Usiadł w fotelu i starał się czytać niedzielną gazetę. Ale nic go nie interesowało. Dziwił się tylko, że się ludzie szamocą, wyczyniają to i tamto. Zabijają się, rozpychają o urzędy. Po co? Przyjdzie taka jedna noc i rozedrze człowieka, złamie. W walce o życie tak się zmęczy, że mu się już nawet żyć nie będzie chciało.

Ręce dygotały Kramarzowi, wstrząsnął się raz i drugi dreszczem.

— Napiłbym się czego — pomyślał. Bał się jednak ruszać zimnego, a zagrzać nie miał gdzie. Nie miał pieca kuchennego, ani nawet elektrycznej płytki. Nigdy tych rzeczy nie potrzebował.

— Nie ma kto koło człowieka pochodzić — szepnął. — Sam jestem.

Rozrzewnił się nad sobą i nawet wilgoć poczuł pod powiekami. Nigdy go tak jeszcze nie naszło.

We dnie należał do ulicy. Był jej nieodłącznym akompaniamentem : siwy, chudy, nieco przygarbiony przechodzień. To samo, jedyne od lat ubranie odbijało się w wystawowych szybach. Na rogu, w tandetnym składzie mebli. W groserni, gdzie Kramarz kupował chleb. Potem był sklep wróżki-cyganki, która żyła nie wiadomo z czego, i na drugim rogu bar w którym Kramarz jadał obiady. Wszyscy witali go kiwając głowami, albo machali do niego ręką :

— Hi Mr. K.! *You sure look swell* Mr. K.

Tak samo witali wiatr i upał, deszcz i rozpogadzające się niebo. Tak samo machali ręką do listonosza, do zamiatacza ulic, śmieciarza i mleczarza. Kramarz był częścią ulicy, meblującym ją sprzętem, był niezmiennym punktem w kapryśnych zmianach pogody. Gdyby go zabrakło, pewnie znalazłby się inny Mr. K. Tylu jest teraz starych ludzi na emeryturze, i tylu z roku na rok przybywa.

— Sam... sam... — szeptał Kramarz.

Wstał z fotela i rzucił się ciężko na łóżko. Pokój wydał mu się odbmierzły, zły, pusty, a od przepaści, która rozwarła się w nim samym, wiało zimno tak przejmujące, że otulił się kocem i dygotał silnie, a stare łóżko odpowiadało skrzypiącym przerywanym jękiem.

Wydało mu się nagle, że ktoś stoi w drzwiach. Ściemniło się i przez niezasłonięte roletą okno zaglądał zamglony księżyc. Kramarz usiadł na łóżku, przetarł oczy i uważnie spojrzał na drzwi. W drzwiach stała Peggy. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to była ona. Ubrana była w swoją niedzielną, kotonową sukienkę w której chodziła na tańcówki. Piersi falowały jej szybko, jak gdyby biegła. Pomimo zmęczenia, śmiała się. Jasne krótkie włosy potargane były wiatrem. A te jej oczy. Kramarz uśmiechnął się. Były to oczy blado-niebieskie, wyzywająco-czupurne, pełne szatańskich ogników. Atakowały.

— Johnny — szepnęła Peggy — ubieraj się! Mam moją walizkę. Ojciec nic nie wie. Jestem gotowa. Możemy uciekać i weźmiemy ślub.

— Peggy — nie dowierzał Kramarz — czy to ty naprawdę?

— Nie wierzysz? — Oderwała się od drzwi i podbiegła do łóżka. Była wiotka i giętka, a gdy pochyliła się nad Kramarzem poczuł zapach jej skóry.

— Peggy! — zawołał. — Ja jestem starym człowiekiem!

— Głupstwo Johnny. Dla mnie jesteś zawsze ten sam. Pamiętasz? Czy i teraz nie chcesz mnie Johnny? Czy jeszcze teraz chcesz wracać?

— Wracać? Dokąd? Dokąd Peggy?

Ale ona wyrwała mu się i uciekła. Słyszał jak płakała głośno zbiegając po schodach. Chciał się porwać i wybiec za nią na ulicę, ale nie mógł. Szamotał się i przeklinał. Zerwał się nareszcie. Koszulę miał mokrą, twarz zlaną potem. Zapalił światło. Otworzył okno i wychylony obserwował ulicę. Było cicho. Latarnia uliczna oświatlała pusty chodnik i część jezdni. Kramarz podszedł do drzwi. Były zamknięte na klucz.

— Sen — mruknął do siebie.

Ale pokój pełen był jeszcze obecności Peggy i trudno było myśleć o czymś innym.

Kramarz nie lubiał sam rozpamiętywać przeszłości. Z kolegami, przy piwie, wspominali czasem stare dzieje, ale nikt tutaj nie wiedział właściwie, jak zaczęło się z Kramarzem.

Miał 19 lat gdy okręt dobił do portu. Lato przepracowali na farmie, a zimą postanowili szukać roboty w mieście.

Było to wielkie, zadymione, brzydkie i brudne miasto. Budowane w pośpiechu osady robotnicze wyrastały wokoło potężnych fabryk. Fabryki produkowały głównie stal, ale różnoraki przemysł żywił się i wzrastał obok kilku kolosów tworzących miasto.

Było to miasto największego dochodu i największego wyzysku. Tempo pracy zabijało robotnika, który nie miał czasu na sen i niedzielny odpoczynek. Miasto zżerało siłę roboczą i wypluwało dolary. Ale ludzie byli zbyt zmęczeni, aby je należycie wykorzystać.

Na wyjazd namówił Kramarza krajan nieco bardziej ze Stanami obeznany. W mieście natychmiast dostali pracę w fabryce, która produkowała *overalls* robocze (4). Robota nie była trudna. Trzeba było sprzątać halę fabryczną, przenosić bele materiału, zwozić skrojony surowiec windą na dół, do szwalni, i tak w kółko. Foreman zaraz się połapał, że Kramarz jest i robotny i zdolny i przydał go jednemu do pomocy, żeby pomagał przy *spreading* (5).

Najgorsze było to, że ani Kramarz, ani jego kolega nie

(4) *Overall* — luźne spodnie robocze.

(5) *Spreading* — rozkładanie materiału na długich stołach, przygotowywanie do krojenia.

mogli znaleźć mieszkania. Z fabryki wychodzili późno i zmęczeni po kolacji szli spać gdzie popadło. Do domu noclegowego, do gościnnych pokojów za barem. Było tam tłoczno, brudno i żadnego wypoczynku.

W niedzielę wybrali się na poszukiwanie pokoju. Dopiero teraz mogli przypatrzeć się miastu. Było górzyste. Niektóre ulice pędziły w dół ostrym spadem, inne pod górę nagłym wyskokiem.

Zachodzili tylko do domów wyglądających skromnie i kierując się wystawioną w oknie lub przybitą na drzwiach kartką:

,,Room for rent''

Otwierały zwykle kobiety. Aż dziw ile było tych starszawych kobiet, wysokich, kanciastych o spojrzeniu świdrująco-badawczym.

— *Where are you from?* — pytały. Polaks? No, no, — cofały się zamykając drzwi.

— Cholera — przeklinał towarzysz Kramarza — cholera, stara wiedźma Ajriszka!

A przecież Peggy też była Ajriszka. Błękitnooka, o wilgotnych, roześmianych wargach, podrygująca w polce na zabawie kościelnej, Peggy, którą całował w komórce-graciarni za domem, Peggy, która chciała zostać jego żoną, ale on...

— Sen — mruknął Kramarz.

Wiedział już teraz, że to sen. Peggy byłaby dziś starą kobietą. Tyle lat!

Czuł jednak Kramarz, że coś się w jego życiu zmieniło, zaczęło. Kłębek zdarzeń namotany ciasno, zalepiony zwyczajną, spokojną codziennością począł się rozkręcać.

Kramarz nacisnął dzwonek, potem klamkę i wszedł do poczekalni doktora Brysia. Dzwonek uwiadamiał lekarza o nadejściu nowego pacjenta.

Doktór Bryś był synem Albina Brysia, który miał zakład pogrzebowy na ulicy Wschodniej, i który zbił duże pieniądze na Polonii. Wiadomo, skoro miał za co posłać syna na medycynę. Chociaż dziwiono się dlaczego młody Bryś nie został żałobnikiem, jak ojciec. Ojciec Albina Brysia, Wojciech, który przywędrował ze starego kraju, był grabarzem na cmentarzu parafialnym. Wszyscy trzej dobrze służyli ludziom. Porządna rodzina.

W poczekalni siedziało już kilka osób. Kramarz dostrzegł starego Bardę i przysiadł się do niego na ławkę. Barda robił w fabryce farb, potem jakiś czas pomagał przy barze w Domu Gminnym, ale go wygonili, bo się nie bardzo spisywał. Wiadomo było tylko, że ma osiem domów ale cały dochód żona od niego wyciąga.

— Do doktora? — zagadnął Kramarz.

— *Yeah, yeah* — przeciągał płaczliwie Barda. — Dechu złapać ni mogę i mroczy me. Bez to nieszczęście co mnie biedaka spotkało.

Barda miał pod siedemdziesiątkę, a wydawał się dużo od Kramarza starszy. Zaczerwienione, obrzmiałe spojówki okalały oczy piwne, nieszczęśliwe, jak u schwytanego ptaka.

— Ni wim — narzekał Barda — jak mi te trzy dolary na Brysia przyjdzie wyskrobać. Znałem go jak się około ojcowego business'u bawił, a teraz, patrzcie, ludzi kuruje.

— Co się stało, Barda? — spytał życzliwie Kramarz. Własna niedomoga i przeżycia ostatnich dwóch dni zmiękczyły go i uczuliły na doznania innych.

— To było tak — sciszył głos Barda, gdyż kobieta z dzieckiem na ręku zerkała bez ustanku w ich stronę i wydawała się podsłuchiwać. — Wicie, w domu lajtu nie było, a na trzecim florze się zabawiali.

— *Next!* — zawołał doktór Bryś wypełniając sobą drzwi gabinetu.

Kobieta z dzieckiem podniosła się i truchcikiem pobiegła za lekarzem. Banda odkaszlnął i opowiadał już teraz swobodniej:

— Co to mówiłem? Acha, że się na trzecim florze zabawiali. To ona na morde po stepsach spadła. Panie! A najgorsza to była ta plejta. Bo to nikt nie słyszał jak ją na ulicę ktoś wymufował. Dopiro, panie, ten ambulans jak ją zabrał do szpitala. To teraz ona mi robi klajm, że się potłukła bez ten lajt (6).

— No i co? — zaciekawił się Kramarz.

— Poszedłem do jednego, co tu na Polonii nowoprzybyły jest, i mówią, ludziom dobrze radzi. Mówiłem, żeby co na ten *insurance* pomógł.

— To dom „insuranc'u" ni miał?

— Ni miał. A ten nowoprzybyły, dobry sobie człowiek, ale cóż, po naszemu nie rozumie. Pyta się: panie co to jest plejta?

Roześmiali się obaj. Odchrząknęli.

— Coście mu powiedzieli, Barda?

— Mówię — chichotał Barda — panie, każdy wi co to plejta, to takie co się kręci i gra!

— *Next!* — zagrzmiał doktór Bryś.

Barda podniósł się bez słowa i ruszył za lekarzem. W głębi gabinetu widać było kobietę śpiesznie ubierająca dziecko.

Kramarz oparł się wygodniej o drewnianą ławkę. Szukał Bólu, wsłuchiwał się czy nie nadejdzie. Bo jeżeli nie powtórzy się? Jeśli to wszystko było tylko przewidzeniem? Ale Ból istniał w głębi — ledwo dosłyszalne echo, niby lekkie pomrukiwanie poburzowych piorunów, nieważne już, przebrzmiałe, a jeszcze przypominające niedawną grozę.

Teraz, w gabinecie lekarza, Kramarz nawet przywoływał Ból, zachęcał go do odważniejszych wystąpień, teraz, gdy w pogotowiu czekało wszechwiedzące, magiczne ramię medycyny.

Ale zamiast Bólu wracała Peggy. Tak, jak gdyby ból był tylko muślinem, delikatną osnową, a twarz dziewczyny barwnym, wypukłym haftem.

---

(6) Florze — od *floor*, stepsach — od *steps*, wymufowal — od *moving*.

— Dlaczego się nie ożeniłem? — myślał Kramarz. — Czy powód był na tyle silny, aby odrzucić Peggy?

Przypomniał sobie spotkania w rogu ciemnawej komórki-graciarni, Peggy szept, którego słów nie rozumiał, niepokój czy aby nikt nie zobaczy, gorączkowe, niezgrabne pieszczoty.

Brat i ojciec Peggy pracowali w fabryce „overallów". Z tym bratem Kramarz i jego towarzysz, który nieco rozumiał po angielsku, zaprzyjaźnili się. Brat Peggy był chudym blondynem o długiej twarzy i zepsutych zębach. Marzył, że odłoży pieniądze i wstawi sobie sztuczną szczękę. Był poza tym chorowity, kaszlał, szkodził mu pył przy zamiataniu hali fabrycznej i oblewał się potem przy dźwiganiu bel materiałów. Kramarz pomógł mu raz i drugi i chłopak był mu za to wdzięczny.

A gdy się Kramarz kiedyś przed nim użalił, że nie może znaleźć mieszkania, brat Peggy obiecał się za nim wstawić do matki, która wynajmowała pokój na stryszku.

W piątek, po wypłacie przebrali się w czyste koszule i poszli. Stara Ajriszka, matka Peggy, oglądała ich długo krytycznie.

— *Where are you from?* — spytała

Ale nie czekając na odpowiedź, dodała:

— Wiem, jesteście Polacy.

Nie użyła obraźliwego „Polaks" tylko normalne i właściwe określenie: „Pools". Potem tłumaczyła coś długo towarzyszowi Kramarza śmiejąc się i gestykulując. Wydawała się go przekonywać. A wreszcie zawołała syna. W rezultacie tej rozmowy Kramarz i jego kolega zdjęli z siebie całą bieliznę i spalili ją uroczyście na podwórku. Potem w komórce-graciarni przebrali się w nowe koszule i kalesony, w międzyczasie kupione przez brata Peggy, i dopiero wtedy wolno im było przestąpić próg domu.

Tam po raz pierwszy dostrzegł Peggy. Była szczupła w talii i poruszając się falowała prowokująco biodrami. Jej wesołe zaczepne oczy przylgnęły natychmiast do twarzy Kramarza.

Kramarz mało z dziewczynami obcował, a ta wydała mu się tak ładna, tak niedościgniona, że aż prawie obojętna. Czy nie taka sama wydawała mu się teraz chociaż była w nim i wykwitała z jego bólu?

— *Next! next!* — niecierpliwił się doktór Bryś.

Kramarz uśmiechnął się przepraszająco i wstydliwie.

— Ojo jo-jo-joj, a tom się zagapił. Już idę panie doktorze, *coming, coming...*

Doktór Bryś uważał język polski za część swego lekarskiego ekwipunku. Stetoskop, sphygmograph, skalpel, szpatułka, strzykawka, ophtalmoscope i niewielki znieczulający zastrzyk polodźwięku.

— Jak się nazywa? — zaczął doktór Bryś, usadawiając się za biurkiem.

— Kramarz, proszę pana doktora, Jan Kramarz.

— *Could you spell it for me?*
— ?
— Jak się spelujecie?
— O! O! O! Tu — wyciągnął z kieszeni legitymację — niech pan doktór Bryś zobaczy.
— Na co Kramarz narzeka? — skandował doktór Bryś spoglądając sennie na pacjenta. Był zmęczony nocnym dyżurem w szpitalu, a jeszcze rano zawołano go na przedmieście do chorego. Ale doktór Bryś był człowiekiem obowiązku i nie lubiał opuszczać godzin urzędowania.
Kramarz zamyślił się, zwiesił głowę. Na co on właściwie narzekał? Dawniej narzekał na za małe zarobki, na brak ,,overtimów'', ale w gruncie rzeczy był chyba szczęśliwy. Jeśli bolał go ząb, umiał ból umiejscowić. Gdy raz zranił się w nogę, widział przyczynę cierpienia i umiał się od niej odgrodzić. Ale ten nowy ból nie miał granic i niejako wypełniał go bez reszty. Aż dziw, że tak na niego zstąpił nagle i ogarnął całego. Markotno mu było, nieswojo, żałośnie.
— Bo ja tam wiem, proszę pana doktora Brysia, na ból.
— Gdzie boli?
— O tu — wskazał ręką na dołek pod żebrami — ale i wszędzie też, tylko inaczej, tak jakby...
— Niech się rozbiera. Portki ściągnąć tyż i kłaść się na kaucz (7).
Kramarz aż zamarł ze strachu. Stał, słup soli, wrośnięty w podłogę lekarskiego gabinetu. Dolna szczęka latała mu jak nakręcona.
— Niech się Kramarz nie boi — uspakajał łagodnie doktór Bryś — egzaminować tylko będę.
Doktór przysiadł na brzeżku kanapki i położył obie pulchne ręce na obnażonym, dygocącym brzuchu Kramarza.
— Kolana se tak zgiąć — mówił wolnym uspakajającym głosem — brzuch tak se we środku rozpuścić wolniuśko, wolniuśko, nie bać się. Gembe se otworzyć i tak se dechać... dechać... nie bać się. Nie bać.
Ręce doktora wędrowały tymczasem po brzuchu Kramarza. Ugniatały wolno, dogłębnie, aż dowędrowały do podżebrowego dołka. Wtedy Kramarz aż skoczył z płaczliwym piskiem:
— Łoj-jo-jo-jo-joj!
Doktór kazał mu się jeszcze przekręcać na boki, ugniatał, ostukiwał. Słuchał serca, badał ciśnienie. Potem kazał się Kramarzowi ubrać.
Przez chwilę zapisywał coś w wielkiej książce, a wreszcie zwrócił się do pacjenta:
— Żona żyje?
— Ja kawaler, proszę pana doktora — uśmiechnął się Kramarz.
— O! O!, a rodzina?

(7) *Couch* — posłanie, kanapka.

— Rodzina? — zastanowił się Kramarz.
— No, familia — pomagał doktór Bryś — bracia, siostry, krewne...
— Ni mam, prosze pana doktora Brysia, ni mam nikogo. Pod ruskim one zostały. Będzie pięćdziesiąt lat jakem wyjechał.
— Bo może — wyjaśniać doktór — trzeba bedzie żeby Kramarz poszedł na operacje.
— Na operacje? — wzdrygnął się Kramarz.
— *Z gall bladder* tam dobrze nie jest wicie, gnymbić was będzie, ,,stony'' by te trza wyjąć. *Blue Cross Insurance* macie?
— Mam. Ale na operacje nie pójdę — odpowiedział stanowczo Kramarz. Już te co na operacje do szpitala chodziły, dziadami wyszły.
— Bo wtedy nie mieli ,,insuranc'u''. Teraz *insurance* najważniejsze płaci.
— Płaci czy nie płaci, już te szpitale wiedzą jak człowieka obrobić.
Żebym tak trupem miał paść, nie pójde! Niech mi pan doktór Bryś da jaką ,,medycyne'', jakie *pills,* to już ja se dam radę.
Doktór Bryś wzruszył ramionami.
— Jak sobie chcecie. ,,Medycyne'' zapisze i na ,,dajet'' bedzieci musieli pójść.
Kramarz słuchał pilnie, receptę włożył do kieszeni, odmierzył skrupulatnie trzy dolary, położył je doktorowi na biurko i nacisnąwszy na oczy kapelusz opuścił gabinet lekarski.
— Przyjdźcie za dwa tygodnie! — wołał za nim doktór Bryś, ale Kramarz ani się odwrócił.
Na ulicy splunął i powlókł się zły przed siebie. Zły był na doktora, że mu nie dodał za darmo ,,medycyny'', a tylko wypisał na nią receptę. Poza tym Ból, który się przyczaił i przeląkł doktora, zaczął teraz nabrzmiewać i uciskać.
Kramarz poszedł więc na ulicę Szeroką do ,,drug storu''.
Z aptekarzem Kramarz się znał i nawet byli w dobrej komitywie. Gdy aptekarki syn kandydował na delegata do sejmu, wynajął Kramarza na całodzienną stójkę na rogu ulicy Szerokiej i Bankowej.
Kramarz rozdawał przechodniom ulotki z fotografią aptekarskiego syna, z obok wyliczonymi jego zaletami i cnotami i tłustym drukiem wypisaną zachętą: *Vote for me!*
Było to zajęcie niezmiernie zajmujące i Kramarz niejednego przekonał i namówił do głosu z całą żarliwością podkreślając zalety kandydata. Zarobił sobie przy tym okrągłe piętnaście dolarów co też piechotą nie chodzi. Ale jak przyszło do głosowania, to sam popierał innego kandydata, który nieraz zapraszał go na piwo do Domu Związkowego.

Aptekarz najpierw bardzo wydziwiał i współczuł, że Kramarz jest chory, potem narzekał że *business* źle idzie, bo co lepsza klientela przenosi się na przedmieścia, a murzyni i *hillbyllys* (8) ściągają z południa. Wreszcie powiedział Kramarzowi

urodził mu się wnuczek, którego nazwano po nim, Władysła-ie, imieniem — Walter.

— To będzie — zakończył wręczając Kramarzowi niewielką aczuszkę z lekarstwem — *four dollars and twenty five cents.*

Kramarzowi aż się słabo zrobiło. Tyle pieniędzy!

— Za takie nic aż cztery dolary! — usiłował się bronić.

Aptekarz wzruszył ramionami:

— Wszystko drożeje.

— Ale pensji z Social Security nie podnoszą — mruknął rzez zęby Kramarz.

I tak się rozstali.

Szedł do domu rozpamiętując wizytę u lekarza.

Rodzina... — zastanowił się. Zostali pod ruskim — dodał ółgłosem.

I nagle, jakby kto jednym szarpnięciem rozdarł zasłonę, vróciło do niego wszystko z taką siłą, taką barwą, dźwiękiem zapachem, że aż się przeląkł i chciał cofnąć, uciekać. Ale nie yło od tego ucieczki. Ile lat nie myślał! Ile lat nie pisał! patrzcie, wrócili wszyscy, jakby tu, około niego stąpali.

Matka, szykująca go na drogę do Ameryki, ojciec, który lopiero co wrócił z robót w Kanadzie, młodszy brat zazdroszczący mu wyjazdu i przygody, kąt w izbie, gdzie sypiał, obraz święty a łóżkiem rodziców, kot wyciągnięty na słońcu, pies, który długo poszczekiwał za nim, długo, długo biegł za wozem, skrawek nieba nachmurzonego i łąka w kaczeńcach.

— Wracaj Jasiek — mówił ojciec — dolarów naodkładaj, ak ja i wracaj. Za dolary sobie tu wszystko pięknie urządzisz. Wracaj Jasiek... wracaj Jasiek... wracaj... wracaj...

W mieszkaniu Kramarz rozwinął aptekarską paczuszkę, wziął jedną zieloną pigułkę i jeden biały proszek, jak przepisano, popił wodą i położył się, bo czuł w sobie słabość.

Wtedy natychmiast pojawiła się Peggy. Nie widział jej, ani też nie weszła do pokoju jak owej nocy, tylko pojawiła się jak gdyby w odczuciu. Kramarz mógł ją sobie dowolnie usadawiać to na kanapie, to prowadzić na ulicę lub wcisnąć w róg komórki-graciarni. Mógł ją także dowolnie przebierać to w sukienkę kotonową, to w roboczy fartuch. Mógł jej dodawać uśmiechu, lub przyprawiać ją o łzy. Poddawała się jego zachciankom, jak kukiełkowa marionetka, bo była to nie zupełnie prawdziwa Peggy, tylko jakby wykrojona z niego samego.

— Dlaczego się z nią nie ożeniłem? — zastanawiał się.

I znów począł skrupulatnie przeglądać przeszłość.

Ojcu Peggy nie podobał się flirt córki z cudzoziemcem. Nie podzielał słabości żony i syna do włóczęgów Polaków, którzy

(8) Południowi górale, element, który w czasie wojny napłynął do miast. Zwykle biedota o niskim poziomie moralnym.

mieli opinię zabijaków, brudasów i pijaków. Ale Peggy ni zwracała uwagi na ojca. Zakochała się w Kramarzu od pierw szego wejrzenia i postanowiła go zdobyć.

Najtrudniejsze było to, że nie mogli się z sobą porozumie Kramarz po angielsku nie umiał, ale za to ściskał długo i na miętnie dłoń dziewczyny, zastępował słowa pocałunkami i n wszystkie jej długie angielskie wywody kiwał potakująco głowa Gdy jednak zrozumiał, że Peggy nie dwuznacznie, ale wpro otwarcie chce, aby się z nią żenił, spakował kuferek i uciekł

Peggy nie dała za wygraną. Pisała do Kramarza miłosn listy przesyłając je przez brata do fabryki. A ponieważ sama pr cowała w szwalni, mogła od czasu do czasu widywać przelotn Kramarza. Wszystkie dziewczęta w szwalni było po stron Peggy i przeżywały jej wielką miłość do cudzoziemca.

Kramarz listów nie rozumiał. Zależał w tym od koleg który znał coś nie coś angielski i tłumaczył mu je wieczore po pracy. Gdy w jednym z listów Peggy uwiadomiła go, spakowała walizkę i jest gotowa, wbrew woli ojca, opuści dom i wyjść za niego za mąż. Kramarz przestraszył się ta bardzo, że nie namyślając się długo uciekł z miasta.

Starał się teraz przypomnieć sobie swoje uczucia w mome cie ucieczki. Jedno było niewątpliwe, wtedy wiedział dobr czego chciał od życia i po co przyjechał do Ameryki.

— Widzisz Peggy — tłumaczył obrazowi dziewczyny chciałem wtedy wracać. Zrobić dolary i wracać do starego kraj Gdzież to się żoną obarczać? — Ale nie wróciłeś — szepnę Peggy. — I teraz jesteś sam.

Kramarz poczuł, że mu łzy płyną po policzkach.

— Pod ruskim zostali — szeptał. — Pewno tam czeka jeszcze, dokupili ziemi, rozbudowali chatę. Jak kto był cho we wiosce to zaraz ten i ów przyszedł, użalił się, poradził. Pr stole siadali razem do obiadu. Nawet taki pies źle nie miał i je każdy po łbie poklepał, nawet taki kundel to się do człowie przytulił. A jak był chory na łapę to mu się miskę z żarcie podsuwało pod pysk. Nawet taki kundel... o la Boga, la Boga A bo też to była wieś! Droga prosto jak strzelił obsadzo drzewami. A drzewa taakie! A las to się ciągnął za wsią i świer w nim, a leszczyna, a buki grube takie, nie obejmiesz. A pachnia to wszystko! Jak te poziomki, a jagody przyszło zbiera a grzyby! Już mi tak nic nie pochniało w życiu... i nie będz Nie będzie? — zastanowił się. Przecie jeszcze mogę wróci Urządzę sobie wszystko ślicznie, będę żył, jak pan! Mam tysięcy dolarów. Trzeba ich tylko znaleźć. Ich: matkę, oj braci.

Odkąd Kramarz zwrócił się do biura na ulicy Szerok z prośbą o wyszukanie rodziny w Polsce, żył w ciągłym, wyc kującym podnieceniu. Biuro to polecił mu Barda, zadowolo z załatwienia sprawy z ubezpieczeniem domu, oraz Bardo

która przez owo biuro wysyłała dolary do Polski. Początkowo Kramarz zachodził do biura codziennie, niby to na pogaduszki z tym co z Polski przybył, a właściwie wyczekując na wiadomość od rodziny. Po kilku tygodniach nadzieja zaczęła słabnąć i Kramarz zaczął zwolna wsiąkać w apatię. Wychodził mało, jadł nie wiele, czasem spał w garażu w swoim ,,Chevrolecie'' bojąc się wrócić do nieprzytulnych czterech ścian pokoju. Żywił się chlebem i mlekiem. Obiady jadał rzadko. Zesknerzał jeszcze więcej ciułając każdego pena niby to na powrót do Polski. Czasem mu się zdawało, że już wrócił, rozmawiał głośno z rodzicami, ofiarowywał hojnie pieniądze, kupował ziemię, futro dla matki na zimę, rzucał na tacę w wioskowym kościele całą pięciodolarówkę i lubował się szmerkiem podziwu, który wokół niego wzrastał.

Pewnego dnia znajomki w Domu Polskim doniosły mu, że go szuka urzędnik z biura.

— Wszędzie się za tobą rozpytuje — mówili — coś ważnego musiało zajść.

Kramarz nie pytał dalej tylko w dyrdy popędził do biura.

Było to biuro stare, przekazywane z ojca na syna, a trudniło się wszystkim.

Stary Piotr Łazan wyemigrował po powstaniu 63 roku uwożąc z sobą zapał nie wyżyty, tradycje szlacheckie, otwarty rozum i poczciwe serce.

Biuro otworzył, ażeby pomagać mniej rozgarniętym rodakom i aby żyć z pracy innej niż rękodzielnicza lub fabryczna. Języka angielskiego uczył się nieco jeszcze w domu, a wrodzona inteligencja pomogła mu w całkowitym jego opanowaniu. Pisał listy i podania, był tłumaczem, stawał w sądzie reprezentując nie mówiącego po angielsku i niepiśmiennego rodaka, ułatwiał przyjazdy z Polski, pomagał w wyrobieniu obywatelstwa i dziesiątkach innych pomniejszych a niezbędnych w życiu drobiazgach. Ożenił się z dziewczyną nierównie mniejszej niż on inteligencji, miał z nią kilkoro dzieci i zwolna, po pierwszych burzliwych protestach przeciwko realiom amerykańskiego życia, zaczął nim nasiąkać.

Umierając biuro przekazał synom. Synowie nie mieli już ojca zapału, bo przeszkoda tylko krzesze go niby iskry z kamienia, a oni dostali wszystko gotowe, ba nawet przeżute. Ze starym krajem wiązał ich tylko postrzępiony język, który zachował polewę inteligenckiego brzmienia. A może także i jeszcze coś więcej, czego nie byli świadomi, jakaś niewytłumaczalna duma pochodzenia, współuczestnictwo w sprawach bardzo istotnych przekazanych im w chromozomach ojca-powstańca. Czuli się na ulicy Szerokiej trochę, jak na wyspie i morskiej latarni, kierującej od czasu do czasu niepewnymi krokami emigrantów.

Toteż gdy nowoprzybyły emigrant polityczny zwrócił się do nich po wskazówki i radę w wyszukaniu posady, ofiarowali mu kącik w swoim biurze.

Odmówienie byłoby równe kompletnemu zagłuszeniu zewu krwi, a na to bracia Łozan byli zbyt dobrzy i zbyt słabi.

Biuro było ciemnawe i miało wiele zakamarków zawalonych graciarnią, gdzie między innymi butwiały książki Orzeszkowej, poezje Słowackiego i Mickiewicza przywiezione z Kraju albo sprowadzane i troskliwie piastowane przez Łazana-ojca. Był tam także stary, wytarty i popleśniały album pod tytułem: „Warszawa'', na który staruszek Piotr Łazan często patrzał i popłakiwał, gdyż bardzo kochał to miasto, a miłość jego zwiększała się z latami i nie różniła się wcale od tęsknoty Jana Kramarza za swoją wioską.

Synowie naturalnie nie podzielali uczuć ojca, ale długo po jego śmierci przechowywali obrazy Warszawy i książki jako pamiątki po nim. Stopniowo, drogą normalnej ewolucji, przestali się tym interesować. Zresztą, nic dziwnego, pomnik ulega erozji, jeśli się go nie pielęgnuje i nie naprawia, a książka... czasem lepiej ją spalić na stosie z umarłym, jak dawniej palono to co mu było najbliższe.

Kramarz stanął przed biurkiem w firmie Łazan zadyszany i wyczekujący.

— Niech pan siada, panie Kramarz, — powiedział urzędnik.

Kramarz nie pamiętał nazwiska urzędnika, gdyż na ogół mówiono o nim na Nadbrzeżu „ten z Polski'', albo „nowoprzybyły''.

Kramarz usiadł sztywno na krześle, zdjął kapelusz i zaczął niespokojnie obracać go w rękach.

— Panie Kramarz, dobre wiadomości. Znalazłem pana brata w Polsce.

Kramarz przełknął ślinę, ale nie mógł mówić. Kręcił głową.

— Ni wierzę — wyszeptał wreszcie — ni może to być.

— Mam list. Bratanica pisze do pana i przypomina różne szczegóły.

— Niech pan czyta, panie — prosił Kramarz.

List brzmiał następująco:

„Kochany Stryjku,

Ucieszyliśmy się bardzo, że stryjek zdrów i dobrze mu się powodzi. Tatuś mój, stryjka brat, nie może sam pisać, bo mu oczy dokuczają, ale prosi, aby stryjkowi taką rzecz przypomnieć. Kiedy stryjek wyjeżdżał do Ameryki, to akurat tego samego wieczora stryjka ojciec wrócił z Kanady i jeszcze stryjka razem z agentem odwieźli końmi na dworzec kolejowy''.

— Panie, — przerwał Kramarz — tak było, panie, to mój brat!

— A na początku nie wierzył pan, panie Kramarz.

— Panie — szeptał Kramarz — ja panowi bardzo, bardzo dziękuje, ja panowi wynagrodzę.

— Już pan zapłacił, panie Kramarz.

— Ja panowi *present* przyniosę. Panie, czytaj pan dalej. Ja sam nie bardzo pisanego rozumiem.

„...Dziadek, to jest stryjka ojciec umarł jeszcze przed wojną na zapalenie płuc. Babcia tj. stryjka matka długo bardzo żyła, wspominała stryjka, a pochowaliśmy ją będzie 9 lat na wiosnę..."

Kramarz wpatrzył się w barwny afisz na ścianie reklamujący wysyłkę paczek do Polski i płakał.

„...a ja się nazywam Frania i babcia mówiła zawsze, że najwięcej jestem do stryjka podobna. Jest nam ciężko, tatuś nie pracuje, mamusia tylko koło domu, siostra jedna zamężna, druga się uczy, a ja całą rodzinę muszę utrzymywać".

List kończył się słowami, że gdyby kochany stryjek chciał tatusiowi pomóc i przysłać lekarstwa to bardzo by to Frani i całej rodzinie pomogło.

Kramarz stał się częstym gościem w firmie Łozan. Wysyłał do Polski dolary, paczki z lekarstwami, z ubraniami i żywnością. Jego hojność była bez umiaru. Sam dla siebie pozostał nadal jednakowo skąpy. Chociaż ubranie przecierało mu się, dał je załatać, ale nie kupił nowego. Nie czuł nawet najmniejszej chęci na nabycie czegoś dla własnego użytku. Po raz pierwszy doświadczana rozkosz dawania wypełniała go szczęśliwością tak ogromną, że poza nią nie było miejsca na inne uczucia. Nagrodą były dla niego listy Frani. Frania zorientowała się prędko, że stryjek ma trudności w czytaniu, drukowała więc umyślnie duże litery, pisała krótko i często.

Kramarz ani się spostrzegł jak szybko i niespodziewanie Franię polubił, a nawet przywiązał się do niej. Martwił się, gdy list nie nadszedł i każdego rana wyglądał niespokojnie listonosza. Obnosił się wszędzie z Frani fotografią, a że była to dziewczyna przystojna i przy tym do Kramarza podobna, miał być z czego dumny. Nie było rzeczy której by Frani odmówił. Wysyłał wszystko o co poprosiła.

— Jak pojadę tam — rozumował — to mnie zawsze lepiej przyjmą.

Ale nie bardzo śpieszył się z wyjazdem. Miał teraz na pewien czas życie urozmaicone. Miał rodzinę, która z dalekiego kraju niezmiennie zapytywała o jego zdrowie. Troszczyła się czy aby dba o siebie. Dawała na mszę za niego. Uważała go za najukochańszego brata, najlepszego szwagra, kochanego, drogiego stryjcia. Jaki człowiek może oprzeć się słodyczom rodzinnym?

Ból nigdy już nie wrócił z taką siłą, z jaką zaatakował na początku. Może dlatego, że Kramarz zażywał pigułki doktora Brysia, może że jadł mniej i ostrożniej, a może że był szczęśliwszy i w swym szczęściu odmłodniawszy, uporał się z Bólem.

W jednym ze swych listów Frania zapytała czy mogłaby stryjaszka odwiedzić i zaopiekować się nim. Kramarz nie odmó-

wił. Zwrócił się do firmy Łozan o wyrobienie wizy dla Frani.

Planował, że jak Frania przyjedzie i pobędzie trochę w Ameryce to i jemu pomoże się później stąd wydostać, bo razem zawsze raźniej, a tak staremu nijako i ciężko się ruszać.

Kramarz opłacił podróż samolotem, wynajął u jednych, co mieli swój dom na ulicy św. Agnieszki, pokój dla Frani i czekał.

Wszyscy już wiedzieli na Nadbrzeżu, że do Kramarza przyjeżdża bratanica. Różnie o tym ludzie mówili.

Stary Barda jęczał, że z tą Polską to tak jest, jakby człowieka kto uroczył. Jak zacznie, to nie ma końca. Wór bez dna. Wysyłaj... wysyłaj i ciągle mało.

Prezeska jedna powiedziała, że tam to są ludzie teraz inne niż były i widać to dobrze, bo jak tu przyjadą to łopce są i już.

A niektórzy ludzie to płakali:

Bidna ta nasza Polska, męczennica ta nasza... co ten naród bidny wycierpi. A sprowadź pan, panie Kramarz, te bratanicę, niech się dziewczynina trochę podżywi. Sukienczyne jej też kup, bo to młode, niech ma. Wiele tam nie użyła.

Frania nie wyglądała na cierpietnicę. Gdy ją Kramarz w Nowym Yorku na lotnisku rozpoznał, oniemiał z wrażenia.

Była wysoka, zasobna w sobie, ale nie otyła. Falowała rozłożystymi biodrami opiętymi w nylon, co to jej Kramarz wysłał w paczce do Kraju. Puściła się biegiem na cieniuchnych obcasikach do Kramarza, skacząc, jak podlotek, chociaż już dobrze miała po trzydziestce.

— Stryjciu mój kochany — obejmowała i całowała Kramarza — kiełbasy naszej polskiej stryjciowi przywiozłam i naszej polskiej wódki. Ja już się stryjciem zajmę, już się zaopiekuję. Ziemi polskiej woreczek stryjaszkowi przywiozłam!

Inni też się na lotnisku witali, ale nikt tak nie krzyczał jak Frania. Nikt też nie był taki wdzięczny i przystojny. Kramarz czuł, jak się ludzie na niego gapią. Wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła, ale mówić mu było z nadmiaru wielkiej radości trudno.

Frania natomiast czuła się tak swobodnie, jak gdyby całe życie podróżowała samolotami, a na lotnisku nowojorskim znajdowała się nie po raz pierwszy.

— No chodźmy już stryjciu, chodźmy! Tam się wszyscy ludzie pchają i będziemy ostatni w kolejce!

— Ni ma kolejki, Franiu — odezwał się Kramarz.

Pomimo to Frania ruszyła naprzód.

— Ale podróż była morowa, stryjciu! Słowo daję! Niczym innym już w życiu nie podróżuję, tylko samolotem. A stryjcio?

— Ja jeszcze ni razu na eroplanie nie jeździłem — powiedział skromnie Kramarz. Bardzo mu bratanica zaczynała imponować. (Kto by nie wiedział, to pomyśli, że córka, cieszył się w duchu.)

— Udałaś się Frania — stwierdził aprobująco.

— I do stryjaszka jestem podobna. Co stryjaszek na to

Zakręciła się w kółko jak baletnica, nie zwracając uwagi a przechodniów.

— Och stryjciu kochany, jaka ja jestem szczęśliwa, jaka i jestem szczęśliwa, że się wyr..., że tu stryjciowi pomogę i Amerykę zobaczę..

Kramarz rozkwitał w cieniu bratanicy.

Trochę Frani nie przypadło do gustu, że ma mieszkać w ynajętym pokoiku, ale sobie to powetowywała inaczej. Już astępnego dnia wysłała 100 dolarów do rodziny do Polski, alta zimowe dla sióstr i paczkę zagranicznych przysmaków.

Kramarz płacił. Czternastka na książeczce bankowej stopała w dwunastkę, ale Kramarz nie żałował. Od razu, z miejsca owiedział Frani tak :

— Słuchaj Frania, mam trochę pieniędzy na książce i bidak nowu taki nie jestem. Nie żałuj sobie jedzenia. Idź do „storu", wybierz co trzeba — zapłacę. Rentę za pokój też zapłacę. A będziesz chciała jaką sukienkę, jakie trzewiki, to też się grosz najdzie.

A Frania mu na to tak :

— Stryjciu mój złociutki, tak mnie stryjcio psuje. Zadręczam się, że się stryjciowi odwdzięczyć nie mogę. Chciałabym szcze garnitur ojcu posłać, i jakieś futerko niedrogie matce, e mi wstyd stryjcia dobroć nadużywać, więc postanowiłam ójść do pracy.

— A coś ty, Frania — wołał Kramarz — do pracy tu żeś e przyjechała !

Używaj sobie ! Chcesz ojcu garnitur, chcesz matce futro - poślij.

Stać mnie na to żebym brata rodzinie pomógł.

Przez pierwsze wieczory Frania nie odchodziła od telewizji. rzez pierwsze dnie zwiedziła ulicę Szeroką, Wschodnią i całe adbrzeże. Później wypuściła się autobusem do śródmieścia odtąd przepadała tam codziennie.

Dotykała materiałów, przymierzała suknie, buciki i palta. onęła w królestwie kobiecych fatałaszków i zwolna ogarniała gorączka posiadania. Zaczęła wyciągać do miasta Kramarza, tóry nigdy poza swoją dzielnicę nosa nie wyściubiał. Miało to dla Frani zaletę, że Kramarz nie potrafił jej niczego odmówić. upował.

— Stryjciu, niech stryjcio spojrzy na te pantofelki, stryjuniu kochany ! — Tańczyła po sklepie zapatrzona w swoje ogi.

— *Miss... miss...* — wołała do ekspedientki — *this... this !*

Frania uczyła się języka angielskiego z niebywałą żarłoczną nciwością.

Słowa po prostu przylepiały się do niej i zostawały. Kuowanie sprawiało jej niewysłowioną rozkosz. Kupowała chciwie,

na zapas. Po kilka par obuwia za jednym razem, tuziny nylonó yardy materiałów.

— Stryjciuniu mój złociuchny, te sportowe pantofelk Marzyłam o takich całe życie! I niech stryjcio powie, nie mło w nich wyglądam? Ach stryjciu stara jestem. Z przodu muzeu z tyłu liceum. Ale figurkę, niech stryjcio przyzna, mam niez Jak mnie stryjcio w kostiumie kąpielowym zobaczy! Już og dałam jeden i mierzyłam. Ach stryjciu, niech się najzgrabniej babki schowają!

Kramarzowi wydawało się czasem, że jeździ na jaki wariackiej karuzeli. Co jakiś czas okupywał się biletem i jech Nie mógł jednak nie podziwiać Frani. Wszystko leżało na n jak ulał. Wyróżniała się sznytem i figurą. Pachnąca, wytwor roześmiana paradowała u boku Kramarza odzianego w sw jedyne, wyświechtane ubranie.

— Nie ma stryjcio innego ubrania? — zauważyła.

— A po co mi, Frania. Ja tam nigdzie nie chodzę.

— To nigdzie nie pójdziemy stryjaszku, nigdzie, na ża zabawę? Na potańcówkę?

— Ty sobie idź, Frania, ale ja stary po co?

— Stryjciuniu, samej nie wypada. Nikogo nie znam. stryjciowi ubranie odprasuję. Chodźmy gdzie!

Kramarz uległ bratanicy i postanowił z nią pójść na czysty bankiet z okazji Trzeciego Maja.

Bankiet był urządzany w Domu Polskim i Kramarz po pierwszy w życiu i z ciężkim sercem wydał 10 dolarów na bil

Bankiet zapowiadał się dobrze. Było to akurat przed w rami na gubernatora i różne oficjały pchały się do przemów ażeby zyskać zwolenników głosowania na listę wyborczą. być również obecny major miasta i gubernator stanu co za czone było tłustym drukiem w programach.

Dom Polski jest trzypiętrowym gmachem, szarym i r ponurym. Ma jedną zasadniczą wadę, że ściany jego są ba akustyczne. Na parterze jest bar i potężnych rozmiarów s grająca, która nie zna wytchnienia. Na pierwszym piętrze wynajmowana na bankiety i uroczystości obszerna, ale nie p tulna i posępna.

Podczas uroczystości słychać niekiedy bardzo wyraźnie lodie i słowa piosenek, które szafa grająca wypluwa z w kłością, ale to nikogo nie razi, owszem dodaje nawet pe swojskości i umila nudę przemówień.

Frania była aż chora z podniecenia. Bóg tylko wie wspomnienia przywiozła z sobą z Polski i czego spodziewał od Ameryki. Życie jej, które dotąd sączyło się krętym strum kiem walcząc o prawo istnienia najprzemyślniejszym omija przeszkód, teraz, rwało naprzód bystrym potokiem un z sobą Kramarza.

Kupiła nową sukienkę i nowe pantofelki, najdroższe nylony, cienką nową bieliznę. Uperfumowała się, zrobiła polski *maquillage* amerykańskim *make-up* i ruszyła szukać przygody.

Na scenie sali stały dwa sztandary : polski i amerykański. Scena przybrana była także palmami wypożyczonymi z kwiaciarni na ulicy Wschodniej i z domu pogrzebowego Brysia. Stół dla ważniejszych gości był w kształcie podkowy i przykryty białym obrusem. Inne, mniejsze stoliki — białym papierem.

Gdy już na sali zrobiło się tłoczno, prezes komitetu dał znak, aby się uciszono. Ale nie szło mu tak łatwo. Połowa gości, która przyszła tu tylko z powodu swoich interesów wyborczych, nie orientowała się w znaczeniu uroczystości i zajęta była rozdawaniem ulotek i wizytówek kandydatów.

Prezes, osobistość twarda, dzierżąca prezesury dożywotnie, przysunął sobie mikrofon i zaczął wymieniać nazwiska wszystkich znaczniejszych i mniej znacznych osobistości na sali oraz dziękować im za przybycie. Uciszyło się. Ale w momencie największego napięcia, gdy prezes powoływał się na świętą przyjaźń polsko-amerykańską, z dołu szalona szafa przekazała sali fragment ostatniego przeboju pod nazwą ,,Rumy Polka''. Słuchacze nie zdziwili się. ,,Rumy Polka'' była ulubioną melodią i przebojem, który zajął pierwsze miejsce wśród piosenek amerykańskich.

My som cztery pi-ja-ki, pi-ja-ki, pi-ja-ki
They will call us pi-ja-ki, pi-ja-ki, pi-ja-ki.

Słuchacze na sali zaczęli przytupywać, ktoś zagwizdał.

— *Quiet please !* — ryknął prezes.

Ucichło. Nawet szafa zamilkła na dole.

Frania siedziała ze stryjkiem przy stoliku i rozglądała się niespokojnie.

— Który ? — myślała — który ?

Przy stole dla ważniejszych gości, naradzano się. Podniosła się starsza, siwa i chuda pani w binoklach. Dała znak ręką, że chce mówić.

— To jest Girowa — szepnął stryj do Frani — mają zakład pogrzebowy, a zrobili dolary na szmuglu jak była prohibicja.

— A kim ona jest ?

— A, to prezeska !

— Panie gubernatorze, panie prezesie — zaczęła Girowa, wyliczając teraz po kolei nazwiska poszczególnych gości. Gdy rozprawiła się z wstępem, nabrała oddechu i mówiła głośno, a dobitnie :

Bo to dzisiaj obchodzimy święto trzeciego maja i to właśnie ta konwencja polityczna, to niech wybierze na tego trzeciego maja tego kandydata na gubernatora !

Dały się słyszeć nieśmiałe oklaski, ale zaraz reszta sali nie rozumiejąca po polsku, dołączyła się i brawa brzmiały przez jakiś czas hucznie.

Prezeska Girowa skłoniła się i jeszcze odważniej mówiła dalej:

— Tu są na sali także sędzie i inne urzędniki, które na te kolację trzeciego maja przyszły, żeby na wysokich urzyndach być!

— Brawo prezeska! Sołtyniak na delegata! — krzyknął ktoś od dalszych stolików.

— Tu bydzie — kończyła prezeska — właśnie taki jeden kandydat mówił. A potem to już bydom wszystko patratyczne przemówienia. I pójdą delegatki z koszykami zbierać pieniądze. Bo to trzeci maj — dodała wyjaśniająco — to takie święto, gdzie się zbiera pieniądze. Na wszystko! Usiadła wśród burzy braw i oklasków. Goście rozbawiali się i poczynali się czuć jak u siebie w domu. Na sali zaczął się nieopisany rejwach. Panie z komitetu i jeden wynajęty kelner roznosili na talerzach kawałki pieczonej kury i miski *french fried potatos* oraz zieloną sałatę. Było to od lat wypróbowane, żelazne menu na wszelkie bankiety w Domu Polskim.

— Mamy zaszczyt — przemówił znowu prezes — mamy zaszczyt gościć tu u siebie naszego pana ambasadora z Waszyngtonu. Pan ambasador — wył prezes — starając się przekrzyczeć harmider — ma głos!

Ambasador wstał. Wysoki, nobliwy, o twarzy zmęczonej i pogodnych jasno-niebieskich oczach odcinał się swoją innością od otoczenia.

Frania wychyliła głowę i starała się pochwycić słowa ambasadora.

— Drodzy rodacy, — zaczął — obchodzimy dziś... lecie Konstytucji Trzeciego Maja. Konstytucja ta, jedna z najpiękniejszych kart w historii narodu polskiego...

Grająca szafa wtargnęła w przemówienie ambasadora i podarła je na strzępy.

Once more time, boys!
Pi-ja-ki, pi-ja-ki,
My som cztery pi-ja-ki!

Nikt nie chciał już słuchać przemówień. Uczestnicy bankietu podpili sobie i tańczyli na wolnej przestrzeni pomiędzy stolikami. Białe do niedawna papiery, przykrywające stoliki, poplamione były, podarte, zarzucone kurzymi kośćmi. Dym cygar i papierosów gryzł w oczy. Pachniało potem, wódką i smażonymi kartoflami.

Frania była rozczarowana. Tańczyła zaledwie dwa razy i to tylko ze znajomymi stryjka. Wróciła do domu w złym humorze i postanowiła odwiedzić przyjaciółkę w Chicago, która nie dawno przyjechała z Kraju do męża.

Kramarz, chociaż żal mu się było z bratanicą rozstawać, dał pieniądze na bilet samolotowy prosząc tylko, aby nie zasiedziała się zbyt długo. Już na drugi dzień po jej odjeździe czuł się ma-

kotnie. Wróciły stare dolegliwości, Ból budził go nocą, męczyły go sny tak wyraźne, że wydawały się jawą, tylko Peggy nie pojawiła się już nigdy. Lubił natomiast myśleć o Frani. Jaka to zdolna, a ładna, a ambitna, jak się niczego nie wstydzi, nikim nie krępuję, tylko naprzód wali i uważa się z wszystkimi za równą. Żeby on był taki, żeby on miał jej tupet! Dziwne mu się wydawało jedno, że tak lekko rozrzuca pieniędzmi. Brat Kramarza nie nauczył się żadnego rzemiosła, a tylko chleb rozwoził po miasteczku. To prawda, że po wojnie przesiedlono ich do dużego portowego miasta, ale ludzie w Polsce — myślał — nie zwykli tak rozrzucać pieniędzmi. Matkę, śp. Kramarzową pamiętał jako kobietę oszczędną, ojciec grosza bez zastanowienia nie wydał.

A Frania mówiła tak:

— Stryjciunio o pieniądze się martwi? Nie warto. Jak u nas przyszła wymiana to z pieniędzy kupa papierów została.

— Cóż ty Frania — dziwił się — tu, w Ameryce wymian żadnych nie będzie.

— Ach stryjciu, stryjciu, tyle naszego co ten dzień dzisiejszy. Nie trzeba sobie, stryjciuniu żałować.

Frania wróciła od przyjaciółki zmieniona.

— Przede wszystkim — powiedziała Kramarzowi — trzeba się starać o przedłużenie wizy.

Kramarz nie oponował.

— Chcesz sobie jeszcze trochę posiedzieć, to dobrze.

Ucieszył się, że będzie miał bratanicę nieco dłużej dla siebie, zanim oboje wyruszą do Polski. Trochę niepokoiła go Frani lekkomyślność, ale i imponowała mu zarazem, bo były to wyczyny na które on w najśmielszej swojej wyobraźni nie mógłby sobie pozwolić.

— Mógłbym nie mieć 14-tu, a tylko 10 tysięcy — pocieszał się.

I tak żegnał beztrosko krwawicę pięćdziesięcioletnią, dolary układane na powrót, na spokojną, pogodną starość.

Wyprowadzał teraz coraz częściej Chevrolet'a z garażu i obwoził Franię po mieście i jego okolicach.

— Szybciej stryjciu! — wołała. — Stryjcio za wszystkimi w tyle. Jak ja się nauczę prowadzić to nie będę tak wolno jeździć jak stryjcio.

— To już sobie w Polsce będziesz jeździć, Frania.

— Kiedy ja chcę tu zostać, stryjciu.

— Tu zostać? — zdumiał się. — Przecież mamy razem wracać?

— Stryjciuniu mój kochany, złoty, ja stryjciowi muszę prawdę powiedzieć. Odebraliby stryjciowi pieniądze, dziadem by stryjcio został i tyle. Kramarz nacisnął pedał gazu i Chevrolet ruszył kłusem tak niespodziewanym i ostrym, że aż Frania zmartwiała z przerażenia.

— Nie chcesz jechać — mruknął — to zostań. Ale jak się wiza skończy to co?

— Niech się stryjcio nie martwi.

Samochodowe wycieczki Frani miały swoją uzasadnioną przyczynę. Przekonała Kramarza, że mieszkanie w dwóch oddzielnych pokoikach jest kosztowne i że trzeba by wynająć *appartment*, albo nawet dom i zacząć prowadzić normalne gospodarstwo.

Kramarzowi żal było opuszczać cztery przyjazne ściany, do których przywykł i które nawet polubił. Bronił się tylko przed wyprowadzeniem z Nadbrzeża. Tu, na ulicy Wschodniej, Bankowej i Szerokiej był szanowany i ceniony. Znał go każdy policjant,

— Hi Mr. K. — wołali. — *How are you to day?*

Starsi policjanci pouczali młodszych:

— *...and here lives this old Pool,* Mr. K., *very respectful man.*

Gdy przychodził z prośbą o umieszczenie na wystawie sklepowej plakatu o karciance, starsza ekspedientka pouczała młodą podfruwajkę:

— *Sure, take it, this is a Polish section.*

Opuścić to wszystko? Dom Związkowy i Gminę? Dom Polski i Sokoła? Leźć gdzieś między obce? Zostawić proboszcza co po polsku spowiadał? Nie widzieć już misiewskich i bardów? I gdzie na to zatracenie?

— Frania — prosił — kupię dom, ale tu gdzieś blisko.

— Och stryjciuniu, to najgorsza w mieście dzielnica. Tchu nie można złapać w upale. Ludzie tak sobie ładnie mieszkają z ogródkami. A bo to stryjcio gorszy? Teraz każdy sobie równy stryjciu. Za stryjciowe pieniądze można mieć piękną willę na przedmieściu.

— A bo to ja gorszy — przekonywał się Kramarz — nie mogę mieć willi na przedmieściu? A bo ja to nie pan? Nie należy mi się? Mądra ta Frania. Ciekawym dlaczego za mąż nie wyszła?

Raz ją nawet o to zagadnął. Jechali szerokim bulwarem podmiejskim jak zwykle, od pewnego czasu, rozglądając się za domami na sprzedaż. Pęd powietrza rozwiewał Frani jasne, krótko nad czołem przycięte włosy. Gdy się zamyśliła czoło fałdowało się jej w zmarszczki, oczy ciemniały, stawały się zacięte i ponure. Wydawało się jakby myślami odbijała daleko w strefy zupełnie Kramarzowi nieznane.

— Frania — zapytał — a chłopca tam żadnego nie masz?

— Gdzie? — przebudziła się.

— Nie masz tam w Polsce narzeczonego?

— Stryjciuniu — roześmiała się — to nie stryjcia czasy! Stryjciunio jeszcze taki staroświecki i w miłość wierzy! Nie ma miłości stryjciu. Wspólny interes, przyzwyczajenie. Niech-no stryjcio stanie, zobaczymy ten domek.

Po długich staraniach Frania otrzymała przedłużenie wizy na rok, ale o stałym pobycie mowy nie było.

— Jakoś to będzie, stryjciu — śmiała się — ja już sobie dam radę.

Nie wspominała więcej o powrocie do Kraju, a ogarnęła ją natomiast gorączka posiadania domu. Była tak podniecona, że zaraziła swoim zapałem Kramarza. Kupili spory, masywny, brzydki architektonicznie *cottage* na dalekim przedmieściu. Dzielnica miała pretensje rezydencjalne, ale brakło jej charakteru, wdzięku, albo chociażby jakichś cech wspólnych, którymi można by określić to bezkształtne skupisko domów na płaskiej przestrzeni.

Wpłata na dom pochłonęła większość oszczędności Kramarza. Sporządził testament i zapisał w nim Frani wszystko co posiadał.

Sam dom jednak nie zadowolił apetytów Frani. Biegała od jednego do drugiego składu mebli porównując ceny, projektując i kupując.

Kramarz nieśmiało doradzał, aby meble kupić używane z ogłoszenia, albo na licytacji, ale Frania nie chciała o tym słyszeć.

Wybierała rzeczy kosztowne kierując się ceną jako wskaźnikiem gatunku. Gdy Kramarz przerażony topniejącymi oszczędnościami, zaoponował, zagroziła, że pójdzie do pracy. Zgłosiła się do fabryki krawieckiej jako maszynistka i została przyjęta. Językiem angielskim porozumiewała się jeszcze słabo, ale wystarczająco, aby wykłócić się z szefem o podwyżkę już w drugim tygodniu pracy. Nie liczyła się teraz zupełnie z wydatkami i przysięgała, że wszystko stryjowi zwróci.

Kramarz żył w stanie bezustannego odurzenia. Przypominał człowieka, który już zaczyna sobie zdawać sprawę ze szkodliwości działania narkotyku, ale wie również dobrze, że nie potrafi go sobie odmówić.

Nigdy w swoim życiu nie mieszkał w takim dużym domu. Przestrzeń żenowała go, czuł się dziwnie nie na miejscu i nieswojo. Był jednak bardzo dumny ze swego stanu posiadania i dał się namówić Frani do kupienia nowego ubrania, które bardziej by odpowiadało obecnej jego pozycji. Życie jego uległo tak gwałtownej rewolucji, że nie było czasu na refleksje, a tym bardziej na wspominanie dawnych czasów.

Kramarz stał się zupełnie innym człowiekiem. Nie chodził już na karcianki do Domu Związkowego, ani do polskiego kościoła, ani na piwo do ,,Sokoła'', ani na instalację zarządu do Gminy. Dzielnica polska była zbyt oddalona. Przesiadywał w domu przy telewizji, to pół drzemiąc w fotelu nie myślał, ani nie marzył. Pewnego dnia wybrał się do pobliskiego baru, ale uciekł gdyż poczuł się nieswojo.

Dziczał. Cieszył się tylko, że Frania była szczęśliwa. Wsłuchiwał się w jej dźwięczny język polski, przyjmował chętnie jej opiekę, rozczulał się gdy gotowała dla niego. Mawiał sobie:

— Straciłem pieniądze, ale zyskałem córkę. Nie pojechałem do Polski, ale rodzina przyjechała do mnie.

Po urządzeniu domu, Frania postanowiła odmalować pokoje. Uspokoiła Kramarza, aby się nie martwił o koszta, bo zrobi to sama i tylko sprowadzi sobie pomocnika.

Do pomocy zaprosiła Frania Amerykanina, którego Kramarz znał i pamiętał z Nabrzeża, Joe miał figurę boksera ciężkiej wagi i twarz małego chłopca. Mówił niewiele, ale był dobrym kompanem do piwa i dobrym mechanikiem. Mieszkał z matką, która trzymała go mocno pod pantoflem i odebrała żonie. Kramarz tolerował Joe, jednak z niewiadomej dla siebie przyczyny nim pogardzał. Może dlatego, że Joe szedł zawsze po najmniejszej linii oporu. Chodził na zabawy w Domu Polskim i przyjaźnił się z Polakami, aby na następny dzień obrzucać ich przezwiskami. Sam nie wiadomo dlaczego wałęsał się na Nadbrzeżu. Nie był ani Polakiem, ani Włochem, nie był Litwinem, Irlandczykiem, ani Ukraińcem. Cóż więc robił na Nadbrzeżu? Był zwykłym *white trash* i dlatego Kramarz niechętnie spoglądał na jego odwiedziny w nowym domu. Rzadko wychodził z swego pokoju, aby się z Joe przywitać. Ignorował go. Chciał nawet z Franią pomówić na jego temat, ale uprzedziła go.

Sobotnim przedpołudniem ubrała się w nowy kostium, kapelusik z woalką i przybiegła, stukając tymi swoimi cienkimi obcasikami, do pokoju Kramarza.

— Niech stryjciunio nowe ubranie nakłada. Jedziemy!

— Gdzie? — zdziwił się wyrwany z pół-drzemki, pół-odrętwienia.

— Niespodzianka! Ale powiem stryjciowi, nie mówiłam dotąd, bo by mi jeszcze stryjcio przeszkodził. Wychodzę za mąż za Joe.

— Za Joe? — chciał krzyknąć Kramarz, ale głos, który wydostał się z krtani był ochrypłym i zniekształconym szeptem. Za Joe? Frania!

Stanęła przed nim ująwszy się pod boki, głowę odrzuciła ku tyłowi, aż jej się kapelusik zsunął zawadiacko na bok.

— A bo co stryjciu? Co ja złego robię?

— Myślałem — szeptał — za aptekarskiego syna wyjdziesz, zawsze on z naszych, myślałem jakiego sobie z tych kombatantów nowych upatrzysz.

— Czekać, aż się zdecydują! — wybuchnęła.

— Osiem miesięcy już jestem, wiza się kończy!

— Tak nagle, dzisiaj, nie powiedziałaś — jęczał Kramarz.

— Nie chciałam nic przed tym mówić, żeby się stryjcio na żadne prezenty nie wykosztowywał.

— Na prezenty! — zaśmiał się ironicznie.

— Ni mam już nic pieniędzy... nic. Na drogę do Kraju by nie starczyło.

— To i chwała Bogu, stryjciu, już tam by stryjcia z torbami puścili. Spojrzał na nią, aż się przelękła taki jej się wydał stary, pożółkły, zbiedzony. Oczy miał mętne, łzawe, a broda dygotała płaczliwym spazmem. Głos mu się urywał, drżał, przygasał, ale tyle było w nim żaru, tyle tłumionego płomienia jak w głowni

zasypanej popiołem ogniska, którą wiatr nagły rozwieje i raz jeszcze do życia obudzi.

— Nie w mojej wiosce, Frania, — mówił — nie! Czekali tam mnie i już się nie doczekają. Nowomodnie cię uczyli w twoim mieście, ale mnie nie przekonasz.

Umilkł, zmęczył się i wytarł głośno nos chusteczką.

— A lubisz go chociaż? — spytał nieśmiało.

— Stryjciuniu — zaszczebiotała Frania — stryjciunio taki sentymentalny, niepoprawny marzyciel. Pewnie, że go nie kocham. Brzydki jak noc, gruby, z rozsądku za mąż wychodzę. Ale nie ma czasu stryjciu i sam stryjcio wie, nie ma już pieniędzy. A kto się stryjciem zaopiekuje? Ja już dobrze wywąchałam. Joe ma stałą posadę, pieniądze mnie odda. A że brzydki? Ja już się przez ładnych, stryjciu napłakałam.

Nie idzie stryjcio? Na mój ślub stryjcio nie pójdzie?

— Nie dziecko. Czuję, że mnie ból nachodzi. Zajdź tam do aptekarza do *drug storu* na ulicę Szeroką i Bankową. Powiedz... powiedz Kramarz kazał pozdrowić i prosi o te „medycynę" co to mu doktór Bryś na *gall bladder* zapisywał.

Tup... tup... tup... zbiegała Frania po schodach. Zazgrzytały otwierane drzwi garażu, zafurczał... oddalił się, ucichł motor Chevrolet'u. Kramarz usiadł w nowym, miękkim fotelu, ale mu było niewygodnie. Podszedł do okna. Dzień jesienny dojrzewał czerwienią liści w ogrodzie. Ani wiaterka... cichość taka jakby powietrze usnęło. Od Nadbrzeża, z daleka doszedł ryk okrętowej syreny. Kramarz zmrużył powieki od słonecznego blasku, pociągnął za sznurek żaluzji i białe „Venetian Blinds" odgrodziły go od świata. Stał tak jakiś czas bez ruchu wsłuchując się w odgłos daleki, pożegnanie, pozdrowienie czy wezwanie, aż targnął nim ból tak okrutny, że krzyknął i zgięty w pół powlókł się na łóżko. W głębi stary nieprzyjaciel, Ból, umacniał się i szykował do walki. Kramarz przykurczył się i czekał następnego ataku. Ból uchwycił teraz mocno paluchami i nie popuszczał. Kramarz jeszcze raz krzyknął głośno, a potem już jęczał cicho bezbronnie się poddając.

— *Give me your money,* Mr. K. — żądał Ból.

— Ni mam — bronił się Kramarz — ni mam nic.

Minuty zlepiały się w godziny, a Ból nie odchodził. Żądał, domagał się coraz natarczywiej.

Nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich Peggy.

— Peggy! — zawołał Kramarz — Peggy ratuj!

Postawiła na podłodze swoją walizkę i podbiegła do Kramarza zarzucając mu ręce na szyję.

— O mój biedaku — płakała — o mój biedaku. Jeżeli chcesz pojadę z tobą do Polski.

Kramarz ucieszył się i odpychając z całą siłą Ból, uśmiechnął się smutnie.

— Ni mam już pieniędzy Peggy. Ale ty się na Franię nie gniewaj — tłumaczył — biedna ona ta Frania, biedna, cóżesz oni z niej zrobili.

—— Uciekajmy prędko, Johnny, ubieraj się, prędko, zaraz dzisiaj weźmiemy ślub.

— Ja jestem starym człowiekiem, Peggy.

— Nie pleć głupstw, Johnny, dla mnie jesteś zawsze młody. Daj mi rękę, Johnny.

— Pojedziemy ambulansem? — dziwił się Kramarz.

Uuuu! — ryczała syrena ambulansu. Peggy siedziała przy Kramarzu i trzymała jego głowę na swoich kolanach.

— To nie jest ambulans — powiedziała — czy nie poznajesz, że to jest samolot?

Kramarz zauważył, że kadłub czerwonego ambulansu wydłużył się i że zwolna unosi się w górę. Przy kierownicy, w czapce pilota siedział Ból. Odwrócił się i zawołał groźnie:

— *Give me your money,* Mr. K.!

— Ni mam — przeraził się Kramarz — ni mam nic.

— *Pay me with your life,* Mr. K.!

A potem uśmiechnął się, przestał być już groźny i zawołał wesołą zawadiacką polszczyzną.

— Dokąd lecimy, panie Kramarz?

— Do Polski, panie.

— A do której, panie Kramarz, do której?

— Do mojej panie, do mojej. Ja panowi wszystko dobrze wynagrodzę.

Danuta MOSTWIN

Wiersze

ROZMOWY NA WIELKANOC 1620 ROKU

— Waść teraz jesteś jako mucha w dzbanie :
Winem opita łapkami wiosłuje.
Z niej tyle samo co z waści zostanie,
Darmo nadzieja frasunki cukruje.
Złociste guzy, kiereje i stroje
W skrzyniach jaśnieją a śmierć mówi : moje.

Spódnice dziewkom waść zawijać raczył.
W gaju brzozowym biegał z twardą pytą.
Sekreta jakie możeś tam zobaczył?
Albo, gdy konia pod tobą ubito,
Umazanemu bitewną posoką
Mądrość odkryło słupiejące oko?

Pies, koń i owad, zwierz leśny i polny
Żyją i giną a ty chcesz trwać wiecznie?
Jak one mocom nie swoim powolny
Krucyfiks chwytasz, bo tak ci bezpiecznie.
Drewno masz w ręku a w tym drewnie próchno.
Pacierze mruczysz, ale strachem cuchną.

Już gęba twoja oddarta od kości
I w czarnym mięsie robak fossy ryje.
Nie, panie bracie, nie będzie wieczności,
Jej nie kupiły błagania niczyje.
Choć patrzysz w okno czy nie dane znaki
Tobie i bydłu przypadek jednaki.

— Ani ja wierzę w duszę nieśmiertelną,
Ani nagrody czekam dla zasługi.
Imię i pamięć z szatą mi odejmą,
Wiek mój skończony i wiek mój niedługi.
A kiedy, pusty, legnę sam w mogile,
Na nieskończone czasy, nie na chwilę.

Lecz jako Bóg mnie postawił na ziemi
Jeżeli zechce, znowu mnie postawi.
Nie mnie dochodzić u jakich płomieni,
W jakich kuźnicach serce mi przetrawi,
Ani zgadywać, w roku czy godzinie
On się objawi, kiedy świat przeminie.

Gdybym nie ufał słowu Boga mego
Za cóż ufają ludzie słowom ludzi?
Może nie świętych, ale nikczemnego
Swoją miłością do chwały przebudzi
I proch połączy niepojętą siłą
Aby co skryte wyjawione było.

A jeśli dla mnie dola zgotowana
Wróbla i kruka, liszki i łasicy,
I, nocny motyl, nie doczekam rana
Ale zgoreję cały w ogniu świecy,
Jeślim nie po to, żeby mnie ocalił
Przecie do końca Jego będę chwalił.

— Waść kalwin. Proszą kłaniać się Kiejdany.
Jedźże z pospólstwem tam zawodzić DIEWIE
Albo kazania słuchać z Angliczany
W zborze bielonym, zgoła niby chlewie.
Kiedy herezja dotąd w tobie siedzi
Co z wielkanocnej waścinej spowiedzi?

W dolinę tedy idziesz Jozafata?
A czyś pomyślał jacy tam królowie
I narodzonych w nieobeszłe lata
Jakich tam ludów nazbiera się mrowie?
Jakie tam śpieszą tysiąców tysiące,
Straszne machiny, smoki latające?

Jakie przestwory i jakie marmury,
Jakie rozumy, jakie palmy święte?
Ów cuda czynił i przenikał mury,
Tamten Sodomy zratował wyklęte.
Mitry papieskie, berła, pastorały
Wyżej od Alpów tam będą leżały.

Gdzie sprawiedliwych, zgromadzonych w domie,
Hyzopem, myrrą witają anioły,
Gdzie lekkie duchy stąpają widomie
Potrzeba jeszcze durnia z Wędziagoły,
Który gniótł dziewki, znał myślistwo ptasze?
I jakże tobie nie wstyd, powiedz, wasze?

— Iżem niegodny i pokornej cześci
Maluczkich, biednych szanować nie umiał
Ja pod majestat chronię się niewieści
Bom więcej pragnął, niżeli rozumiał.
Maryi Matki warga moja wzywa
Niech mnie gwiazdami swoimi okrywa.

A jeśli w bramę ostatniej doliny
Zastuka za mnie kij mego Pasterza
Nie dbam ku czemu wezmę obłóczyny
Pomny obietnic wiecznego przymierza.
Po Jego woli przybranie dostanę,
Nie ciało szpetne, dawno zapomniane.

Przez kraje wschodu i kraje zachodu,
Ziemie południa i ziemie północy
Dzieckiem pobiegnę w świetle do ogrodu
Jutrzenną porą po nawalnej nocy.
Wzrok, smak i dotyk nie takie posiędę,
Lepszych niż tutaj muzyk słuchać będę.

Grecką, egipską odezwę się mową
I wszelką, jaka była od początku
Księgę rodzaju odczytam na nowo,
Swiadom splątanej osnowy i wątku.
I każdą pojmę tajemną przyczynę.
A potem w Jego szczęśliwości zginę.

Z CHŁOPA KRÓL. KOMEDIA DWORSKA

Z CHŁOPA KRÓL

Nie umiem jeść widelcem. Gniecie mnie korona.
Po diabła mnie ubrali w te ich aksamity.

Kobieta w długiej sukni to jest moja żona.
Jakbym nie dość miał dziwek z mojej dworskiej świty.

Szepty wokoło mnie. Pląsy i parle franse.
Co trzeba mówić prosto, wykręcą zawile.
Grzeczności sobie wzajem prawią oszukańcze
I trzepią się parszywcy, mdlejąc jak motyle.

Patrzę na nich udając że spuszczam powieki
W tłustej drzemce. I co dzień tak strugam wariata.
Taki już im zostanę w pamięci na wieki.
Innego, wiem to, nigdy nie zobaczę świata.

A mnie co? Mam nienawiść, ta we mnie się jarzy,
Lampa mnie radująca, pochodnia weselna.
Co myślę nikt nie zgadnie z głupkowatej twarzy.
I tak, a nie inaczej, życie mi się spełnia.

Tylko przez nich, co skaczą, mizdrzą się i chwalą
Czuję że jestem: ogniem, krzemieniem i stalą.

NA ŚCIĘCIE DAMY DWORU

Migdałowe anioły z obłokiem woalki
Co nigdy nie kucają pomiędzy pokrzywą,
Ciało bez dziurek mają, gładkie jak u lalki
I nikt ich nie potrafi zaprosić na piwo.

Tak mi się ukazały wtedy, chłopcu z wioski
Rżały konie, łęk siodła spod rękawic błyskał.
I podniosłem w ukłonie kapelusz ojcowski.
A one przeleciały, huczał śmiech jak wystrzał.

Suczko. To jakże teraz. Jęzor swój różowy
Zwiesiłaś, pełznąc do mnie, bez farb ni przepaski.
I na czworakach, futrem kędzierzawej głowy
U mojego trzewika dopraszasz się łaski?

A czemu byłaś posąg, skoro jesteś cieniem
I frufru twoich spódnic latami mnie piekło?
Niech to za czym goniłem będzie zapomnieniem.
To jabłko niech od mojej gałęzi odetną.

Dziś ja wielki, największy z całego powiatu,
Ogłosić mogę wyrok. Służba. Dać ją katu.

HERAKLIT

Litował się nad nimi, sam godzien litości.
Bo to jest poza wyrazami jakiegokolwiek języka.
Nawet syntaxis, ciemna, jak mu zarzucano,
Słowa tak ułożone, że z potrójnym sensem,
Niczego nie obejmą. Te palce w sandale,
Pierś dziewczyny tak drobna pod ręką Artemis,
Pot, oliwa na twarzy człowieka z okrętów
Uczestniczą w Powszechnym, osobno istniejąc.
Swoi we śnie i sobie już tylko oddani,
Z miłością do zapachu zniszczalnego ciała,
Do centralnego ciepła pod włosem pubicznym,
Z kolanami pod brodą, wiemy że jest Wszystko
I tęsknimy daremnie. Swoi, więc zwierzęcy.
Poszczególne istnienie odbiera nam światło.
(To zdanie da się czytać w obie strony).
,,Nikt jak on nie był dumny i wzgardliwy''.
Bo torturował siebie, wybaczyć nie mogąc
Że chwila świadomości nigdy nas nie zmienia.
Litość dosięgła gniewu. Aż uciekł z Efezu.
Twarzy ludzkiej oglądać nie chciał. Mieszkał w górach.
Jadł trawę i listowie, powiada Laertius.
Pod stromym brzegiem Azji morze kładło fale
(Z wysoka fal nie widać, widać tylko morze)
A tam czy echo niesie dzwoneczki monstrancji,
Czy płyną złote szaty Orlanda Furioso,
Czy pyszczek ryby zbiera płynny róż do ust
Radiotelegrafistki z głębinowej łodzi?

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczn

" The Mind "

Osobiście nie widzę żadnej teoretycznej sprzeczności pom dzy kulturą masową a humanizmem. Można sobie doskon wyobrazić kulturę masową wysoce humanistyczną. Wszyst zależy kto dysponuje aparaturą tego widowiska. Nie widzę ró nież żadnej fundamentalnej sprzeczności pomiędzy humanizm a postępem technologicznym. Można być znakomitym inżynier i humanistą równocześnie.

Po obu stronach barykady kwitnie kult stosowanego rac nalizmu. W obu systemach ów kult przyjmuje różne naz i idiomatyczne określenia. Przyjmijmy dla jasności pewien sc mat. W bloku wschodnim ów kult określmy mianem racjon zatorstwa — w Ameryce terminem ,,efficiency''. W obu w padkach chodzi o to samo: o produkowanie jak najsprawn jak najtaniej i jak najwięcej.

Od czasów renesansu racjonalizm stanowi fundament t wszystkich wartości, które zamykamy w słowie humanizm. J rzeczą zdumiewającą, że w XX wieku zdołaliśmy racjonali nie tylko odhumanizować ale przemienić w wydajnego graba kultury humanistycznej. Operacji tej dokonaliśmy przeciws wiając prawdziwemu racjonalizmowi humanistycznemu — ,,r cjonalizm stosowany''.

Ów racjonalizm stosowany w jednym systemie podporząd wany jest totalnej partii — w drugim systemie wielkiemu ka tałowi. I tak dokonał się ten znamienny rozdział pomiędzy ra nalizmem a humanizmem.

Zapisano tony papieru na temat tzw. ,,kryzysu wartośc Interesuje mnie ten problem tylko pod kątem widzenia kons wencji politycznych. Dla tych celów wystarczy jeśli stwierdz że temu kryzysowi w świecie Zachodu nie zdołały się skutec przeciwstawić ani kościoły chrześcijańskie ani humanistyc laicka filozofia. Filozofowie zachodni zasklepieni w specjalist nych studiach nie dostrzegają próżni — względnie nie czują

a siłach jej zapełnić. Trudno powstrzymać się od refleksji, że w wiekowy spór pomiędzy reprezentantami światopoglądu — jednej strony religijnego z drugiej racjonalistyczno-humanis-ycznego — nie przyniósł żadnej ze stron zwycięstwa, tylko obu tronom kryzys. Na pustej scenie zjawił się ktoś trzeci — ,,racjo-alizm stosowany'', odhumanizowana filozofia dla współczesnych zerokich mas.

Nie jest rzeczą możliwą prowadzenie polityki w skali his-orycznej bez oparcia o jakiś system powszechnych wartości. ym góruje nad nami komunizm. W tym wypadku nie chodzi ideologię — chodzi o plan i wizję. Ci politycy Zachodu, którzy ak Dulles są zwolennikami podtrzymywania ,,zimnej wojny'' — rzyznają milcząco, że ,,zimna wojna'' potrzebna jest przede szystkim Ameryce. Bo jak dotąd jest to jedyna metoda mobi-zowania podatników. Ustabilizowany pokój, wzajemne wizyty, dprężenie, zwiększenie obrotów handlowych — tego rodzaju ielanka mogłaby się okazać w dalszych konsekwencjach już nie orażką, ale katastrofą dla Stanów Zjednoczonych.

Chruszczow nie zna ani Zachodu ani Ameryki. Boi się niedowierza Amerykanom. Dziesiątki baz amerykańskich ota-zających imperium sowieckie spędzają mu sen z powiek. Ale hruszczow liczy 66 lat i jest wątpliwe czy ma przed sobą denauerowskie perspektywy życiowe. Któż zaręczy czy następca hruszczowa nie przejrzy Zachodu na wylot ? Z punktu widzenia alekoplanowej polityki Moskwy opłaciłoby się iść na bardzo naczne i efektowne ustępstwa byle tylko ufundować pokój, któ-emu Amerykanie by zaufali. Trzy, cztery lata, takiego pokoju demobilizowałoby Amerykę. Gospodarka amerykańska poświę-iłaby się całkowicie produkcji olśniewającego bogactwa dóbr onsumpcyjnych realizując w ten sposób burżuazyjną misję pursuit of happiness''.

Nie używam w tym kontekście słowa ,,burżuazyjny'' w ensie kwalifikującym, tym mniej obelżywym. Pragnę tylko odkreślić, że gospodarka i mentalność typu burżuazyjno-kapi-alistycznego osiągnęły w Ameryce szczyt swego rozwoju. Wy-aje mi się również, że wyzwanie i niebezpieczeństwo zagrażające meryce jest takiej miary, że nie będzie można mu sprostać na rodze techniczno-strategicznej. Jeżeli Amerykanie byliby zde-ydowani zachować swój model gospodarczo-społeczny nietknięty — wówczas jedynym rozwiązaniem dla nich jest wojna. Jeżeli echcą sprostać wyzwaniu komunizmu w ramach polityki bez-vojennej — będą musieli już nie tylko zreformować ale prze-udować ,,American way of life'' i filozofię ,,pursuit of happi-ess''.

Jedna bomba atomowa, choćby tak kieszonkowego formatu ak ta, która padła na Hiroszimę — w 24 godziny zmobilizowałaby zjednoczyła naród amerykański. I dlatego żadna bomba na erytorium Stanów Zjednoczonych nie spadnie. Podjęcie wyzwa-ia komunizmu na drodze pokojowej jest rzeczą tak trudną ramach współczesnego modelu amerykańskiego — że politycy

sowieccy mają niebłahe przesłanki do wniosku, iż Amerykanie nigdy się na to nie zdobędą.

Czasem trudno uniknąć ,,sweeping statements'' operując wielkimi skrótami. Gdybym miał ująć w kilku zdaniach wnioski jakie nasuwają mi się po wielu latach lektury prasy i polityczno ekonomicznej literatury amerykańskiej — to musiałbym powie dzieć, że gospodarczo-społeczny model amerykański osiągną swój szczyt i albo Amerykanie zdecydują się wspiąć o szczebe wyżej albo zaczną schodzić w dół. Ameryka — jako świetna realizacja ,,affluent society'' byłaby do utrzymania albo w świe cie, który nie zna głodu, nędzy i wyzysku — albo w zbrojne izolacji i odcięciu od reszty globu.

Bez względu na to co myślimy o komunizmie i bez względu na przyszłe losy tej doktryny — faktem jest, że głód, nędz i jaskrawe nierówności stopy życiowej stanowią dziś elemen o zupełnie innym społecznie-politycznym wyznaczniku niż pięć dziesiąt lat temu. Postęp technologiczny we wszystkich dziedzi nach, zjednoczył świat i wzmógł poczucie nierówności i krzywd wśród narodów biednych i zapóźnionych w rozwoju. W olbrzy miej mierze do uświadomienia tego problemu przyczyniła si eksportowana ,,masowa kultura'' — produkt uboczny wielkieg kapitału.

Dziś ludzie nie chcą biernie godzić się z nędzą i odczuwa niską stopę życiową nie, jak dawniej, jako ,,zły los'' — lec jako społeczno-polityczną niesprawiedliwość. Bez względu k jakiemu modelowi świata zmierzamy — to jednak nie wyda mi się prawdopodobne by za 50 lat było możliwe pomieśc w harmonijnej koegzystencji na jednym globie 170 milionó Amerykanów bogatych i sytych oraz ponad miliard tych, któr niedojadają. Zawsze będą istnieć narody biedniejsze i bogatsz ale niedostatek wielkich mas ludności, w epoce ku której zmi rzamy, przestanie być zagadnieniem filantropii i przekształci s w jeden z czołowych międzynarodowych problemów ekonomic no-socjalnych.

Stabilizatorem nędzy jest ciemnota. Nędza plus uświad mienie to jest rewolucja. Zagadnienie polega na tym, iż w kr jach afro-azjatyckich uświadomienie postępuje szybciej niż pr dukcja. Łatwiej jest zbudować kino niż nowoczesną fabryk Można by napisać całe studium o rewolucyjnej działalności h lywodzkich producentów filmowych. To całe zagadnienie wytw rzył postęp technologiczny i handlowy dokonany pod egi kapitalizmu. Sprawdzianem każdego systemu jest umiejętnc rozwiązywania problemów, które dany system wytwarza. Ws stkie nadzieje komunizmu związane są z przeświadczeniem, kapitalizm okaże się niezdolny do rozwiązania problemów, kt sam wyhodował.

Jakże często publicyści zachodni wykpiwają plany kon nistycznych pięciolatek, siedmiolatek itp. Ironicznymi uwag kwituje się zapowiedzi ery dobrobytu, równości i sprawiedliwo Ale do jakiej ery i do jakiego milenium my zdążamy? Ideał w

ności, który głosimy jest jeszcze większym frazesem niż wszystkie slogany wykrzykiwane przez Chruszczowa.

Ideał wolnościowy jest organicznie związany z humanizmem. Odhumanizowanie racjonalizmu doprowadziło w konsekwencji do degradacji ideału wolności. Tylko w oparciu o ideologię wolnościową można wypracować koncepcję sprawiedliwego niekomunistycznego systemu światowego. Tej koncepcji nie ma i w moim przekonaniu nie narodzi się ona w społeczeństwie, w którym humaniści stanowią „intelektualny proletariat" pozbawiony wpływów i znaczenia.

Jest rzeczą charakterystyczną, że amerykańscy byli komuniści najlepiej zdają sobie z tego sprawę. Whittaker Chambers na łamach „National Review" cytuje następującą wypowiedź jednego ze swych przyjaciół: „America has always secretly despised the mind. Now mind is taking it's revenge. We need it desperately; and it simply isn't there". (Ameryka zawsze w skrytości pogardzała duchem (umysłem). Teraz duch bierze nad nami swój odwet. Potrzeba go nam rozpaczliwie — lecz po prostu go nie ma).

To wszystko nie są teoretyczne rozważania. Na najwyższy zbiorowy wysiłek zdobywa się naród albo pod wpływem bezpośredniego zagrożenia, albo jeżeli dąży do realizacji konkretnego celu. Celu nie ma, a zagrożenie nie wydaje się bezpośrednie. Administracja Eisenhowera uważa za najważniejszą sprawę utrzymanie równowagi budżetu i uniknięcie nowych podatków. A przecież McElroy oświadczył niedawno, że w przyszłym roku Sowiety będą miały trzy razy więcej pocisków międzykontynentalnych niż Ameryka. A ostatecznie McElroy powinien wiedzieć najlepiej. Przeciętny wyborca amerykański nie ma poczucia ani bezpośredniego zagrożenia ani wyzwania. Wydaje mu się, że najwłaściwszą odpowiedzią pod adresem światowego komunizmu jest coraz większy dobrobyt Ameryki — niskie podatki — pełne zatrudnienie — zrównoważony budżet — jednym słowem „pursuit of happiness".

Operując pewnym uogólnieniem można powiedzieć, że dziś na Zachodzie nie ma klasy proletariackiej. Nie robotnicy są dziś proletariatem w Anglii czy w Ameryce, lecz humanistyczna inteligencja. Ale mit proletariacki nie wygasł a przejęły go budzące się nacjonalizmy. Antykolonializm narodów afro-azjatyckich nosi wyraźne cechy ruchu klasowego i w niczym nie przypomina romantycznych zrywów wolnościowych ubiegłego stulecia. Ów klasowy charakter sprawia, że przez wyzwolenie rozumie się dziś zarówno niepodległość jak i reformy społeczne, a przede wszystkim gwałtowne podniesienie stopy życiowej. Ludzie chcą w pierwszym rzędzie wolności od niedostatku. Za perspektywy tej wolności gotowi są płacić drakońskimi ograniczeniami wolności osobistej. Amerykaninowi trudno to jest zrozumieć. Ale dla Chińczyka, który wie, że na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat piętnaście milionów jego rodaków umarło z głodu — to jest sprawa jasna i oczywista.

„American way of life" nie można ani propagować ani sprzedać. Nigdzie dziś nie ma warunków, które sto lat temu istniały na kontynencie amerykańskim. Sowiety oferują setkom milionów nędzarzy w Azji i w Afryce model komunistyczny szybkiego uprzemysłowienia plus *wiarę w postęp*. Dziewiętnasto-wieczna wiara w postęp na Zachodzie — skonała. Nekrologi wyszły spod pióra pisarzy (Aldous Huxley, Orwell) i z warsztatów socjologów.

Nawet jeżeli przyjęlibyśmy pogląd, że cywilizacja zachodnia w jej obecnej formie minęła swój zenit — to byłoby wielkim błędem naszymi pesymistycznymi kryteriami oceniać młode i głodne narody. Kraje Zachodu, a w szczególności Ameryka, winny natomiast już dziś walczyć o swoją pozycję w jutrzejszym świecie, który zaludnią nowe potęgi przemysłowe, nowe armie i setki milionów nowych ludzi. Za trzydzieści lat Chiny mogą być problemem Nr 1. Ameryki. Ów problem może wówczas stanowić sumę błędów popełnianych dziś.

W moim przekonaniu dysproporcja pomiędzy szybko rosnącym uświadomieniem mas a niepomiernie wolniej wzrastającą produkcją przemysłową będzie coraz powszechniej rewolucjonizowała narody biedne, zapóźnione w rozwoju gospodarczym. To jest rewolucja obliczona na dziesiątki lat. Jednak napór tej rewolucji będzie z każdym rokiem potężniejszy.

Jeżeli Ameryka zechce utrzymać swoją pozycję światową i podjąć we właściwej skali wyzwanie Rosji — będzie musiała zarówno zbroić siebie i swych sojuszników, jak również zdwoić a może potroić pomoc udzielaną narodom biednym i zacofanym. Podjęcie tych zadań w historycznie skutecznych wymiarach wymagałoby olbrzymich ofiar i wyrzeczeń — wyrzeczeń nie do pogodzenia z ideałem „affluent society". Niemniej są sytuacje, w których dopiero maksimum jest tym co jest dostateczne.

Bogactwo w izolacji jest w naszej epoce równie absurdalne jak kolonializm. Wysoką stopę życiową Amerykanie zdołają utrzymać tylko wówczas, gdy Stany Zjednoczone staną się twórcą i przywódcą nowego systemu światowego, którego celem kardynalnym byłoby dążenie do wyrównania rażących różnic wysokości stopy życiowej między narodami i likwidacja wyzysku. Osobiście nie mam wątpliwości, że szanse przetrwania ma tylko „welfare-capitalism". Przez termin „welfare" w tym zestawieniu nie należy rozumieć filantropii powodowanej milionerskim kompleksem winy. Przez słowo „welfare" w tym kontekście należy rozumieć system światowy. *Nothing less will do*. Całe zagadnienie można sprowadzić do jednego zdania. Rosja ma fałszywą koncepcję systemu światowego — Ameryka nie ma żadnej koncepcji.

Potrzebni są specjaliści od rakiet i pocisków międzykontynentalnych — potrzebni są socjologowie przemysłu, managerowie i racjonalizatorzy „efficiency" — ale *oni nie wyprodukują* nowej koncepcji światowej polityki amerykańskiej. Nie leży również w ich mocy obudzenie świadomości i zmobilizowanie

ofiarnego wysiłku szerokich mas społeczeństwa amerykańskiego. Do tego ,,stosowany racjonalizm'' nie wystarcza. Za nową koncepcją musiałby stać humanistyczny ,,mind''.

Jeżeli wyzwanie Sowietów i komunizmu wydobędzie ów humanistyczny ,,mind'' na powierzchnię amerykańskiego życia i polityki — będzie to największe, najbardziej rewolucyjne i dziejowe osiągnięcie komunizmu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Konflikt rasowy w Afryce Płdn.

Problem ten nie jest nowy i istniał od chwili, gdy Vasco de Gama a później Van Riebeck wylądowali na Przylądku Dobrej Nadziei. Pierwsza biała kolonia, która zaczęła narastać wkoło stacji założonej przez Holenderską Kompanię Indyjską nie miała na ten temat inhibicji, na który wynaleziono dziś słowo *colour consciousness* — świadomość rasowa. Prawo popytu i podaży decydowało, a że kobiet białych było niewiele wśród marynarzy i awanturników, więc niejedna czarna piękność stanęła na ślubnym kobiercu. O tych czarnych prababkach dzisiaj cichosza i kto nie chce narazić się na utratę paszportu południowo-afrykańskiego, ten lepiej niech nie myszkuje w aktach parafialnych Cape-Townu.

Ale brak białych kobiet nie trwał długo. W miarę, jak kolonia holenderska zapuszczała korzenie, stosunki się unormalniały. Prokreacja metysów (zwanych tu kolorowymi) z dozwolonej stała się nieoficjalną, a rezultatem jej jest kilkaset tysięcy licząca dziś warstwa kolorowych.

Mimo tych sukcesów populacyjnych istnieje niezaprzeczalna odraza fizyczna między rasą białą a czarną. O ile, i czy wpłynęła ona na dzisiejszy końcowy rezultat, trudno jest ocenić. W krajach kolonialnych, gdzie element tubylczy posiada wysoki stopień sex apeal'u nie doszło nigdy do tak skrajnych teorii rasowych. *Honny soit qui mal y pense.* Przykładem niech będą Indie Holenderskie, gdzie identyczny rasowo biały kolonizator odniósł się tak bardzo odmiennie do problemu tzw. miscegenacji.

Poza odrazą fizyczną inne czynniki, a przede wszystkim niski stan kulturalny czarnych tubylców wpłynęły na to, że już

od najwcześniejszych czasów wzajemny stosunek ras opierał się na niewolnictwie. System ten odpowiadał znakomicie tradycjom lokalnym, gdzie stosunki między zdobywcami a podbitymi polegały również na niewolnictwie. Wszerz i wzdłuż Afryki istnieją do dziś resztki tych arystokratycznych szczepów, zwykle znacznie lepiej fizycznie się prezentujących, które żyły z pracy niewolniczej podbitych ras.

Edykt z roku 1807 o zniesieniu niewolnictwa, wydany przez Anglików, którzy wzięli w posiadanie kolonię Przylądka Dobrej Nadziei po wojnach napoleońskich, uderzył Burów nie tyle po kieszeni ile po głowie. Był on sprzeczny z tradycją lokalną, zadziwił zapewne Burów na równi z Czarnymi. Liberalizm odpowiedzialny za tę potworność nabrał od tego czasu nieprzyjemnego wydźwięku wśród Burów. A zwłaszcza już liberalizm pochodzący z Londynu. To był pierwszy wystrzał w konflikcie bursko-angielskim.

Od tego dnia kalwiński Bur powziął w nienawiść Anglika, którego obwiniać począł o wszelkie trudności jakich doświadczał w eksploatacji Murzyna. Konflikt ten obrósł w tradycję, a dziewiętnasty wiek z jego burzliwą i romantyczną historią narodu burskiego dostarczył dzisiejszym nacjonalistom niezbędnego mitu.

Na wzgórzu dominującym stolicę można dziś oglądać mauzoleum wykute z granitu i kararyjskiego marmuru. Płaskorzeźby wieńczące mury opowiadają młodemu pokoleniu epos bohaterski vortrekkerów, tych zbuntowanych przeciw władzy angielskiej kolonistów, którzy wsiadłszy na wozy zaprzężone w woły ruszyli w głąb Czarnego Lądu. Wiedli oni za sobą cały dobytek i stada bydła zaganiane przez czarnych niewolników. Podobne treki odbywały się nieco później w Ameryce i podobne były ich motywy. Ale amerykańskie nie doczekały się apoteozy. Zaczytani w starym Testamencie Burowie dopatrywali się w tym ciągu na Północ jakiejś specjalnej od Boga zleconej Misji. Podobnie jak Żydzi uchodzący przed niewolą Faraona, tak i oni zawarli prywatny układ z Bogiem : Ja ci we władanie daję, ludu burski, tę ziemię afrykańską wraz z jej stepami i rozległym niebem. Zaludniłem ją czarnym ludkiem, młodszymi braćmi twymi, aby służyli ci wiernie wzamian za twoją nad nimi opiekę. Ochraniać cię będę ludu burski po wsze czasy od złej przygody i od nieprzyjaciela angielskiego bronić cię będę, a ty dochowasz mi wiary, jaką do wierzenia ci podałem w moim świętym zreformowanym kościele holenderskim. Taka jest mniej więcej treść nowego Zakonu, którego rocznicę obchodzimy państwowym świętem .Treść tej umowy nie została spisana na kamiennych tablicach, gdyż w przeciwieństwie do mojżeszowego zakonu nakładała znacznie więcej obowiązków na Boga, niż na drugiego kontrahenta — na lud burski.

Głęboka wiara Burów w treść tego Zakonu jest kamieniem węgielnym, na którym opiera się ich teza o organicznej wyższości rasy białej której oni, Burowie, stanowią mandatow

przez Boga wybrany szczep. Wbrew uniwersalnej doktrynie o jedności natury ludzkiej, utrzymują, że istnieje genetyczna i strukturalna różnica między rasą białą a czarną. Uniwersytety, przynajmniej te, które opanowane są przez Burów usłużnie dostarczają argumentów.

Istnieje więc całkowity pseudo-naukowy system, oparty na irracjonalnym czynniku religijnym, którego dogmatem wiary jest wyższość rasy białej. Do czego taka teoria prowadzi — łatwo jest zgadnąć. Mimo morza krwi wylanego w imię podobnych teorii, mimo niesławnej pamięci Uebermenscha hitlerowskiego, nacjonaliści burscy pracowicie budują swoją teorię wyciągając z niej ostateczne wnioski. Przede wszystkim więc kontakt z rasą czarną czy to fizyczny, czy duchowy kala Białego. Należy rozdzielić obie rasy, ba rozdzielić wszystkie inne rasy zamieszkujące południową Afrykę, jedne od drugich, bo przecież kolorowi z kroplą białek krwi w żyłach lepsi są od Czarnych, a Hindusi od obu.

Rząd Unii wydaje corocznie miliony funtów na budowę osobnych urządzeń dla Białych, Kolorowych, Czarnych i Hindusów. Zaczęło się od W.C. a kończy się obecnie na Uniwersytetach. *Rasse-schande* przyoblekła się w dostojność paragrafu prawnego i podniesiony do godności stróża prawa Peeping Tom w mundurze policjanta wysuwa się spod łóżka, podejrzanego o służenie zakochanym należącym do odrębnych ras (1). Specjalne komisje państwowe w wypadkach wątpliwych oglądają paznokcie i macają włosy podejrzanych o posiadanie krwi murzyńskiej. Zgodnie ze znanym prawem Mendla przedziały między Białym a Czarnym przebiegają nieraz w poprzek rodzeństwa. W budowanych obecnie osiedlach murzyńskich rozdziela się nawet szczepy jedne od drugich, przypuszczalnie jednak nie w imię wyższości jednych nad drugimi, tylko ,,w celu umożliwienia poszczególnym szczepom rozwoju kulturalnego w ramach ich odrębnych kultur''.

Co to określenie oznacza w dobie jednoczącego wpływu kultury technicznej naszego wieku, co oznaczać może dla prymitywnych szczepów zafascynowanych cywilizację Białego, tego zwolennicy *apartheidu* nie mówią.

Ostatecznym celem *apartheidu* jest jednak całkowite rozdzielenie terytorialne ras w ramach geograficznych Unii. Kiedy ono nastąpi — nie wiadomo. Millenium nacjonalistów podobnie jak millenium komunistów (zanik struktury władzy państwa) i katolików (jeden pasterz, jedna owczarnia) nie jest określone w czasie. Musi ono doprowadzić do zupełnej przebudowy ustroju ekonomicznego Afryki Południowej opartego, jak wiadomo, na taniej robociźnie Czarnego. Taka segregacja pociągnęłaby za sobą radykalne przekształcenie mentalności i obyczajowości Białego, który od generacji odzwyczajony od pracy fizycznej za-

(1) Jakaż była radość opozycji, gdy w takiej sytuacji policja schwyciła niedawno prywatnego sekretarza samego premiera.

tracił — jak niektóre mięsożerne mrówki — wszelką do niej zdolność.

Wprowadzenie w życie *apartheidu* nie może się obejść bez przymusu i okrucieństwa. W wielu wypadkach zarządzenia władz przenoszące całe szczepy z miejsca na miejsce, wysiedlające Czarnych, czy Hindusów z jednej dzielnicy miasta do drugiej, oznaczają po prostu dla nich ruinę. Ale siłą nacjonalistów jest to, że stworzywszy sobie bazę pseudonaukowo-religijną załatwili sprawę sumienia jednostki. Stąd ich brak wahania, stanowczość i nieugiętość. Stąd ich fanatyzm. W obliczu krytyki całego świata cywilizowanego podnoszą dumnie czoło, zbrojni w mandat otrzymany od Jehowy do załatwienia spraw podległych ras.

Nacjonaliści doszli do władzy w roku 1948 i od tej pory powiększają stopniowo reprezentację w Parlamencie. Opozycja liczbowo niemal równa, składa się z elementu angielskiego lub zanglicyzowanego. Opozycja ta odznacza się brakiem jakiegokolwiek programu w odniesieniu do spraw rasowych. Oficjalnie głosi ona zasadę integracji ekonomicznej elementu murzyńskiego. W dziedzinie postępu społecznego, paternalizm — „baaskap'" ma regulować wszelkie zagadnienia. W istocie rzeczy jednak opozycja jest zadowolona, że brudna robota trzymania Murzynów silną ręką nie jest robiona ich rękami, a cały ogień parlamentarnej dyskusji i swarów kierują na zagadnienia konfliktu angielsko-burskiego. Sprawy skasowania napisu O.H.M.S. na kopertach, lub flagi czy hymnu narodowego, czy też obecnie dyskutowany zamiar Burów przekształcenia ustroju Unii w Republikę, interesuje opinię publiczną angielską w znacznie większym stopniu niż jakieś tam nowe ustawy wywłaszczające Hindusów czy Murzynów z tej lub innej prowincji.

Oportunizm angielski w sprawach rasowych jest bardziej jeszcze odrażający niż fanatyzm nacjonalistów. Fanatyzm bowiem ma tę przewagę nad oportunizmem, że załatwia sprawę sumienia jednostki. Opozycja angielska sprawy sumienia jednostki nie załatwiła, dzięki czemu olbrzymia większość społeczeństwa angielskiego (do którego zaliczyć należy kosmopolityczne kolonie włoskie, niemieckie i *last but not least* polską), ucieka się do strusiej metody niepatrzenia na problem. Jedną z cech rzucających się w oczy w Unii jest totalna nieznajomość podstawowych faktów dotyczących podległych ras kolorowych. Mimo istnienia szeregu instytucji takich jak *Institute of Race Relations* publikujących ciekawe opracowania na ten temat, zasięg tej literatury jest minimalny.

Prawdziwa opozycja przeciwko polityce segregacji płynie z trzech źródeł ideowo od siebie tak odległych jak kościół katolicki i anglikański, partia komunistyczna i nacjonalizm murzyński i hinduski, reprezentowany przez *African Congress*.

Kościoły Katolicki, a zwłaszcza Anglikański są bardzo zaangażowane w walce. Wiele pięknych i podniosłych słów pad

z ambon, ale wpływ ich, nie sięgając poza nieliczne grono wyznawców, jest z natury rzeczy ograniczony.

Komunizm — nielegalny w Unii, ku zdziwieniu rzeczoznawców nie odgrywa większej roli z powodu braku środków finansowych. Natomiast czarny nacjonalizm jest potencjalną olbrzymią siłą przebudzającą się zwolna, organizującą się wytrwale wbrew wszelkim trudnościom jakie mu stawia białe ustawodawstwo. Nacjonalizm ten, siłą reakcji widzi w Białym swego arcy-wroga i na sztandarze swym ma wypisane hasło „Afryka dla Czarnych". Kto widział chmary proletariatu murzyńskiego opasujące zwartym pierścieniem białe miasta, kto zrozumiał wymowę cyfr i ich nieubłaganą tendencję grania na niekorzyść Białego, ten zrozumie rychło, że wbrew temu co Biali tu myślą, należałoby odwrócić zagadnienie i spytać: Co Czarni zrobią z problemem Białego?

Odpowiedź na to pytanie mają wszyscy Biali, z wyjątkiem otępiałych fanatyzmem Burów. Odpowiedź jest jedna, pesymistyczna, ta sama po stronie teoretyków segregacji, ta sama po stronie oportunistów angielskich. — Za pięć, za dziesięć lat — ocena terminu bywa różna — wyrżną nas.

U kresu wymienionego terminu jest Pożoga z apokaliptyczną postacią Czarnego z nożem w zębach.

Powodem tego powszechnego pesymizmu na temat przyszłego ułożenia się stosunków rasowych w Afryce jest brak precedensu pozytywnego rozwiązania tego zagadnienia. Precedensów negatywnych natomiast jest moc. I mimo, że są kolonie, które czynią uczciwy wysiłek znalezienia alternatywy, eksperymenty te są zbyt świeżej daty i zbyt odosobnione, by móc wnioski wyciągnąć o ich skuteczności.

Niemniej kolonie francuskie z niezmiernie interesującym eksperymentem de Gaulle'a stanowią na całym kontynencie afrykańskim jedyne światło nadziei.

Wydaje się jednak, że narody kolonizacyjne protestanckie, a zwłaszcza kalwińskie, mają drogę na zawsze odciętą od eksperymentów dostępnych narodom łacińskim. Przeszkodą są tu nagromadzone tradycją uprzedzenia rasowe, które — jak historia uczy — są bardziej trujące, niż ordynarna brutalność i okrucieństwo. Portugalczycy, którzy przejdą do historii jako ostatni z narodów cywilizowanych uprawiających otwarcie niewolnictwo, mają stokrotnie więcej szans do znalezienia rozwiązania niż Burowie i Anglicy. Napisy *Nur für Deutsche, for Europeans only, slegs vir Blankies* płacą większe dywidendy w nienawiści niż nahajka.

Należy się obawiać, że ta nienawiść, gromadzona cierpliwie dzień po dniu przez Burów i Anglików, zniweczy wszelkie próby liberalizmów angielskiego, francuskiego i belgijskiego dla znalezienia rozwiązania problemu rasowego. Bowiem nacjonalizm murzyński jest jeden i sięga już dziś w poprzek granic wytyczonych przez Białego. Za zniewagi wymierzone w imię wyższości rasy Murzynowi w Cape-Town odpowiadać będzie biały kolo-

nista w Brazzaville. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby w ostatecznym rozrachunku odpowiedzialności za utratę kontynentu afrykańskiego na rzecz czarnego nacjonalizmu i imperializmu sowieckiego nie miała historia złożyć na kamiennym nagrobku niejakiego Imć Pana Kalwina, spoczywającego na cmentarzu w Genewie.

Włodzimierz LEDÓCHOWSKI

Kronika angielska

POLSKA „MIDDLE CLASS"

Mniej więcej od półtora roku wszystkie artykuły i reportaże o życiu Polaków zagranicznych, jakie ukazują się w prasie krajowej, są pisane jadem i żółcią. Człowiek wtajemniczony wie, że w wszystkich tych sprawach chodzi o możliwość powtórnego wyjazdu. Ileż razy z ust literatów i dziennikarzy krajowych słyszałem zdanie: „tylko niech Pan nie oczekuje, że miło o was napiszę. Pan rozumie przecież, że chciałbym jeszcze kiedyś wyskoczyć za granicę".

Uśmiałem się dziś pod wąsem wyczytawszy w idiotycznym reportażu Bohdana Drozdowskiego,, że portier w barze Pigalle w Londynie — oczywiście Polak — przymiera głodem zarabiając 4 i pół funta tygodniowo („Życie Literackie" Nr 13/375). Gdyby p. Drozdowski otrzymywał wszystko to co zarabia ów portier ponad 4 i pół funta tygodniowo — mógłby dostatnio żyć w Krakowie bez potrzeby zarabiania na chleb wypisywaniem takich koszmarnych artykulasów.

No, a co robi reszta Polaków w Londynie? P. Drozdowski zapewnia, że czyszczą srebra po hotelach i myją garnki u Lyonsa. Zbiedzony, zahukany proletariat.

Jako „zawodowy" londyńczyk zapatruję się nieco odmiennie na życie moich kompatriotów na tych reumatycznych wyspach. Polacy brytyjscy na przestrzeni ubiegłych dziesięciu lat wybitnie zaawansowali. Przemianie uległa nie tylko ich stopa życiowa, lecz również status socjalny. Polacy londyńscy w szczególności, a brytyjscy w ogólności, powoli ale konsekwentnie przekształcają się w „lower middle class". Najpierw ciułali — później kupowali domy — znów coś odłożyli — kupili meble — no a dziś kupują samochody telewizje i jeżdżą na urlopy na kontynent.

Ponieważ Polakom brytyjskim życzę jak najlepiej — cieszą się z każdego nowego polskiego domu i z każdego nowego polskiego samochodu. Ale niemniej przecież stwierdzić wypada, że ów proces „uburżuazyjnienia" pociąga za sobą pewne konsekwencje socjologiczne. Polska „lower middle

class" nie różni się niczym istotnym od brytyjskiej „lower middle class". Znajduje się bowiem w tej samej orbicie praw społeczno-gospodarczych, podlega dyktaturze tych samych snobizmów i powoli przejmuje „ideał życia" wspólny wszystkim „middle classes" w świecie kapitalistycznym.

Wiadomo powszechnie, że „lower middle class" nic nie czyta poza prasą popularną o milionowych nakładach. Do wszelkiego intelektualizmu odnosi się nieufnie. Kontentuje się kulturą masową, która — warto podkreślić — w wydaniu angielskim jest najlepsza na świecie.

Ci, którzy nie śledzą tych przemian napotykają ustawicznie zagadkowe problemy. Siedziałem niedawno w moim „pub-ie" z kolegą dziennikarzem i nad szklanką piwa opłakiwaliśmy wspólnie niewątpliwy spadek czytelnictwa na emigracji. Wspomniany kolega, przepijając „Bass'em" w co żałośniejszych miejscach, westchnął w pewnej chwili: „niech Pan weźmie dla przykładu Stasiów K.: Dom z lokatorami, samochód, lodówka, telewizja, urlopy w Europie. Kto ma prenumerować „Kulturę" czy „Wiadomości", jak nie tacy? W budżecie takich państwa dwie gwineje rocznie nie mają przecież żadnego znaczenia".

W praktyce jednak nie Stasiowie K. czy Józiowie L. prenumerują emigracyjne periodyki. Naszymi czytelnikami i prenumeratorami są w 60 a może w 70 procentach ci inteligenci, którzy po proletariacku jeżdżą autobusami.

By wyjaśnić tę zagadkę trzeba zacząć od znanego i banalnego stwierdzenia, że członkowie „lower middle class" są niewolnikami swych budżetów. Są niewolnikami w znacznie dosłowniejszym znaczeniu tych słów niż proletariusze jeżdżący autobusami jak niżej podpisany. Stasiowie K. i im podobni płacą raty za dom, za meble, za wszystkie nowoczesne szykany w kuchni i w łazience, za lodówkę, za odkurzacz z przyległościami, za telewizję, za samochód, za garaż i za tysiące innych „gadgetów" codziennego i conocnego użytku. To jest zabawa dosłownie w permanencji. Bo nim spłacą samochód — jego model wyjdzie z mody i trzeba myśleć o nowym. To samo dotyczy telewizji i całej reszty. Znam Polaków, którzy w ślicznych nowoczesnych mieszkaniach jedzą (z wyjątkiem przyjęć) barszcz widelcem, by oszczędzić konieczną kwotę na wyjazd w lecie do Włoch czy choćby do Hiszpanii. Ale jak się chce być „up to the Jones'es" nie można urlopu spędzać na Chiswick'u.

W Kraju sytuacja układa się odmiennie. Uniwersytety i wyższe uczelnie produkują niemal trzy razy więcej inteligentów niż przed wojną. Ale dla tych historyków sztuki, polonistów, socjologów, ekonomistów nie ma odpowiednich stanowisk i warsztatów pracy. Młody historyk sztuki, który musi pracować jako urzędnik na poczcie, młody socjolog, który z rocznego pobytu stypendialnego w Ameryce wraca do jednego pokoiku w Warszawie — są dalecy od intelektualnego uwiądu demokracji konsumentów. Rząd PRL swoim programem zmuszony jest do paradoksalnej polityki. Ze względów zasadniczych nie może zamknąć jednej czy dwóch wyższych uczelni. Z drugiej zaś strony nie jest w stanie stworzyć dostatecznej ilości warsztatów pracy dla młodej inteligencji zwłaszcza humanistycznej. Ostatnio mówi się w Warszawie o redukcji *czterystu* dziennikarzy (prasa jest w przygniatającej większości upaństwowiona). Ten tłum źle płatnej, nieodpowiednio użytej, z zablokowaną przyszłością młodej inteligencji — to jest kadra permanentnej rewolucji.

Na emigracji dosyt konsumpcyjny zaczyna nas coraz wyraźniej rozbrajać tak ideologicznie jak intelektualnie. Ludzie syci, dobrze ubrani myślą niechętnie o kłopotliwych problemach. Nie bawią ich również periodyki tak śmiertelnie poważnie jak „Kultura". Po dniu pracy wolą po prostu... „to watch the television".

Młody socjolog, którego wspomniałem powyżej wyznał mi z goryczą: „Wywożę ze sobą mnóstwo ciekawych materiałów, notatek, książek. Ale w Warszawie mieszkam w jednym pokoju z żoną i dwojgiem dzieci. Nawet do kuchni nie mogę się schronić, bo dzielimy ją z dwiema innymi rodzinami".

Człowiek, który nie ma gdzie pisać, pracować, studiować czy spokojnie zagłębić się w lekturze — *nie zawsze* ląduje w barze, przed setką czystej, na wzór bohaterów Hłaski — natomiast *zawsze* stanowić będzie element fermentu i opozycji.

Większość polskich lekarzy, inżynierów, chemików, farmaceutów, architektów, adwokatów itp. w Wielkiej Brytanii — to są ludzie, którzy dobrze zarabiają, wygodnie mieszają i są zadowoleni. Nasi goście z Kraju dziwią się zawsze, że Polacy londyńscy nie wykazują żadnych zainteresowań politycznych czy ideologicznych. Istotnie przyznać trzeba, że ignorancja w tej dziedzinie wśród polskiej „professional class" w Wielkiej Brytanii bywa przerażająca. Ale z polityką i z ekonomią jest tak jak z medycyną. Jak długo jesteśmy zdrowi nikt z nas nie interesuje się lekarstwami, prześwietleniami, szpitalami itd. Dopóki pieniądz jest pełnowartościowy, dopóki można go zdobyć uczciwą pracą na jednej posadzie, dopóki towar szuka nabywców a nie nabywca towaru — kto by interesował się ekonomią? Wystarczy jeżeli kłopoczą się tym specjaliści. To samo dotyczy polityki. Dopóki istnieją wolności demokratyczne, dopóki „my house is my castle", dopóki istnieje bezpieczeństwo i wzorowy ład — kto by interesował się polityką? Niech to robią M.P., którzy biorą za to dobre pensje.

Dla inteligenta w Polsce problemy polityczne, ustrojowe i społeczne są praktycznie interesujące. To nie są spekulacje teoretyczne ale sprawy związane bezpośrednio z jego nieznośną sytuacją życiową. Natomiast dla inteligenta polskiego w Wielkiej Brytanii, zaadaptowanego i wrośniętego w miejscowy system socjalno-gospodarczy, krajowe dyskusje na temat modelu i subtelności ideologicznych to są wszystko sprawy egzotyczne, niepowiązane z życiem i w dziewięćdziesięciu procentach niezrozumiałe.

W sumie tracimy na emigracji inteligencję (w sensie polskim i kontynentalnym), a zyskujemy „middle class", której nigdy nie mieliśmy. Nie zdajemy sobie nawet sprawy ilu jest w Anglii młodych trzydziestokilkuletnich fachowców, którzy wylądowali tu bez matury i bez znajomości angielskiego. Kariery tych ludzi całkowicie odbiegają od szablonowego „curriculum" polskiego inteligenta. Większość zaczynała od pracy fizycznej i poprzez kursy wieczorowe na politechnikach i egzaminy fachowe pięła się w górę. W Stowarzyszeniu Techników Polskich jest wielu członków, którzy tą drogą doszli nie tylko do samochodu i telewizji ale i do inżynierskich kwalifikacji. Oczywiście ludzie ci stanowią nowy odrębny typ i nie można ich klasyfikować jako klasycznych polskich inteligentów.

Sztandar politycznej emigracji dzierżą przedwojenni inteligenci. W moim przekonaniu głównym ich błędem jest absolutna nieumiejętność wyjścia poza własne, z każdym dniem zwężające się, kredowe koło. Być może bliższa

porozumienie między polską „lower middle class", a „przedwojennymi" ludźmi w ogóle nie jest możliwe. Jeżeli jednak jest możliwe z całą pewnością wymagałoby to przebudowy od podstaw obecnych politycznych organizacji emigracyjnych.

JESZCZE O SKARBACH

Wydawałoby się, że w sprawie Skarbów Wawelskich osiągnięto wreszcie na emigracji jednolitą opinię wypisawszy na ten temat kilka galonów atramentu. Niemniej przecież kilku „nieprzejednanych" zgłosiło votum separatum. Warto poświęcić chwilę uwagi ich argumentacji, gdyż w tym szaleństwie jest metoda.

Wybieram głos autorki dla tej szkoły myślenia bardzo reprezentatywny. Stefania Zahorska na łamach londyńskich „Wiadomości" pisze między innymi:

„Jest zupełnie obojętne, że — jak pocieszali się niektórzy — osoby, które przybyły do Kanady dla zabrania tych zabytków, nie są komunistami. Decydujące jest, że w chwili, gdy Skarby znalazły się w Polsce, piecza nad nimi, a w wypadku ich zagrożenie, decyzja o ich losie, nie leży w ręku narodu polskiego lecz w ręku jego władców zależnych od Moskwy. Któż zaręczy, że w razie jakiejkolwiek zawieruchy nie będą wywiezione do Rosji, jak to się stało z tyloma klejnotami kultury polskiej, których pokaźna część przepadła w tych peregrynacjach. A jak wyglądają ostatnie doświadczenia z zabytkami z ziem wschodnich? Nie wiadomo skąd się wziął naraz ten optymizm w ściąganiu wszystkiego „do domu", w którym nie ma ani jednego zamku czy rygla. Skąd ten szaleńczy pośpiech „powrotu Skarbów" ratowanych ongi z wielkim nakładem pracy i poświęcenia, a dziś „radośnie" zwracanych jakby rzeczywiście praworządność zapanowała w tej części świata. Kto jest gwarantem tej praworządności?"

A kto był — chciałoby się zapytać szanowną autorkę — gwarantem praworządności w „tej części świata" do 1939 roku? Mieszkaliśmy w „pasie burzowym" choć nie wszyscy przed wrześniem 1939 zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Europa wschodnia może stanowić niespokojną część świata jeszcze przez najbliższe sto lat. Czy to oznacza, że ołtarz Wita Stwosza i Skarby Wawelskie należy wywieźć do Australii?

Ziemie polskie od upadku pierwszej Rzeczypospolitej stanowią bardzo niespokojny teren i niestety nic nie wskazuje na to, że nasza sytuacja geopolityczna w dającej się przewidzieć przyszłości ulegnie zdecydowanej poprawie. Naród polski musi żyć w ramach tej sytuacji i w jej cieniu budować przemysł, restaurować pomniki kultury, gromadzić i pielęgnować pamiątki przeszłości. To jest nasz los, z którego nie mogą być wyłączone ani Skarby wawelskie ani nic co polskie.

Istnieje jeszcze inne niebezpieczeństwo, które przemilcza się wstydliwie. Rewindykacja pozostałych zagranicą Skarbów Wawelskich z każdym rakiem będzie trudniejsza. Sprawy pełnomocnictw będą się komplikować a tytuły własności „przedawniać".

Jako emigranci polityczni mamy prawo i obowiązek nieuznawania komunistycznego rządu PRL. Lecz w moim przekonaniu mamy również obowiązek popierać solidarnie rząd PRL ilekroć występuje w bezspornym interesie

narodu polskiego. Mimo że rząd PRL jest komunistyczny — winniśmy w pełni popierać jego dążenia zmierzające do międzynarodowego uznania granicy na Odrze i Nysie. Identycznie winniśmy popierać jego starania rewindykacyjne w odniesieniu do Skarbów Wawelskich zdeponowanych w Kanadzie.

Formuła głosząca, że Skarby Wawelskie nie mogą być wydane polskiemu rządowi komunistycznemu i winny czekać w Kanadzie aż nadejdzie dzień „wyzwolenia" — jest wysoce niebezpieczna i w praktyce może przesądzić los Skarbów w oczywistej sprzeczności z interesami narodu polskiego.

JASIENICA — STROŃSKI

Paweł Jasienica swój bardzo interesujący i świetnie napisany artykuł w styczniowym numerze „Twórczości" zakończył uwagą, że Stanisław Stroński zmarł nie zostawiwszy po sobie pamiętnika. O ile mi wiadomo tak nie jest. Prof. Stroński pozostawił pamiętniki, które spoczywają w archiwach Instytutu im. Gen. Sikorskiego w Londynie. Decyzja publikacji spoczywa w rękach Gen. Dr Kukiela i spadkobierców.

KIEŁBIE

W „Polityce" Nr 12 z 21.3. br. czytam co następuje:

„Trzeba bowiem na przekór coraz oczywistszym faktom przekonać siebie, no i innych, że system ten jest wystarczająco zły, aby ekipa p. Mieroszewskiego nadal krwawiła boleśnie na zmurszałych i walących się szańcach".

Krwawiła boleśnie na zmurszałych... Hm, — a mnie się wydawało że „Polityka" to mimo wszystko poważny tygodnik.

LONDYŃCZYK

Kraj

Oblicze nowej Warszawy

Z początkiem br. rozstrzygnięty został w Warszawie konkurs architektoniczny Nr 239, który ze wszystkich przeprowadzonych po wojnie największe chyba, wzbudził zainteresowanie zarówno wśród kół zawodowych jak i wśród szerokich kół publiczności. Konkurs dotyczy rozwiązania sposobu zabudowania wschodniej ściany ulicy Marszałkowskiej na przestrzeni od skrzyżowania jej z Alejami Jerozolimskimi do Parku Saskiego oraz terenów przyległych. Jest to więc samo jądro śródmieścia. Jego ukształtowanie zadecyduje — można powiedzieć — o przyszłym charakterze Warszawy jako całości, podobnie jak to ma miejsce z City w Londynie, z Manhattanem w Nowym Yorku lub Haussmannowskimi założeniami Paryża. O ważności zagadnienia mówi istniejąca powszechnie opinia warszawiaków, wyrażająca się w zdaniu że ,,póki nie odbudujemy Marszałkowskiej nie odbudowaliśmy Warszawy''. Obecnie cała ta połać miasta trwa w stanie prawie niezmienionym od r. 1946, kiedy usunięto gruzy i pobudowano parterowe prowizoryczne sklepy wzdłuż chodników, pozostawiając w zapleczu fragmenty ruin zabudowy przedwojennej. Przedstawia to w tej chwili widok dość żałosny szczególnie w zestawieniu z bombastyką przeciwległego ,,Pałacu Kultury''. Prowizorium to trwa już dzisiaj z górą 13 lat i często było przedmiotem krytyki różnych zagranicznych turystów, którzy w tym fragmencie — niesłusznie zresztą — dopatrywali się symbolu stanu odbudowy stolicy, a nawet kraju jako całości. W rzeczywistości chodzi tu o rezerwat rozmyślnie pomijany programami odbudowy do czasu powzięcia ostatecznej decyzji co do urbanistycznego i architektonicznego rozwiązania tego problemu.

Pierwsze plany dotyczące tego terenu datują się z wczesnego okresu powojennego, czy też nawet prac urbanistycznych, prowadzonych w ukryciu w czasie okupacji. Wówczas powstała koncepcja śródmieścia wyznaczonego skrzyżowaniem dwóch wielkich arterii komunikacyjnych, tj. poszerzonych Alej Jero-

zolimskich i Marszałkowskiej. Ta ostatnia doprowadzona została do szerokości 120 m. na odcinku od tego skrzyżowania do ul. Królewskiej. Stało się to możliwe przez doszczętne niemal zniszczenie budynków, znajdujących się pomiędzy Marszałkowską a dawną ul. Zielną, która w ten sposób zakończyła swój żywot. Cały ten obszar miał być zamieniony na wielki plac śródmiejski, mieszczący w podziemiu (między jezdniami) garaże, kina, sklepy itd. Nad projektem tym pracował między innymi śp. Maciej Nowicki, który później zasłynąć miał w Stanach Zjednoczonych jako architekt i urbanista nim zginął w wypadku samolotowym.

Lata 1952-55 wnoszą nowy element w to zagadnienie. Buduje się na obszarze mniej więcej dawnego dworca głównego tzw. ,,Pałac Kultury'', neoklasyczny wieżowiec o wysokości 230 m., sterczący swoimi cukierniczymi attykami i żółtym szpikulcem wysoko ponad otaczającą zabudowę. Między nim a ul. Marszałkowską założono tzw. ,,Plac Defilad'' o charakterze paryskich ,,Beaux Arts fin de siecle'', z wszystkimi typowymi dla tego stylu motywami, jak partery trawników obramione nisko strzyżonymi krzewami, wzorzyste bruki i dwa obeliski. W tym okresie umówiono się nazywać to oficjalnie ,,socrealizmem''. Po tej też linii szły ówczesne propozycje rozwiązania przeciwległej strony placu. Konkursy lat 1953-54 przynoszą rozwiązania o charakterze palladiańsko pałacowym, przypominające tę architekturę jaką zastosowano na tzw. Placu Konstytucji i w jego otoczeniu.

Obecny konkurs odbył się już w zupełnie innej atmosferze. ,,Socrealizm'' należy do przeszłości. Architektura jaką dziś widzi się w krajowych publikacjach jest nowoczesna w sensie światowym, a nawet w niektórych działach awangardowa, jak np. w architekturze kościelnej. Po wtóre w obecnym konkursie nie chodzi już, jak się zdaje, o teoretyczne studia jak poprzednio, lecz o realną odpowiedź na postawione zagadnienie. Rozwiązania jakie konkurs ten przyniósł mają stać się podstawą do zabudowy tej części miasta w ciągu najbliższych kilku lat.

Warto tutaj po krótce zastanowić się nad trybem postępowania, jaki zastosowano dla znalezienia rozwiązania tego problemu, gdyż rzuca to światło na ustosunkowanie się do tej sprawy społeczeństwa.

Konkursy architektoniczne są w ogóle bardzo popularne w Polsce, jak o tym dobitnie świadczy kolejna liczba omawianego konkursu. W niewielu krajach, i to tylko kontynentu europejskiego, są one stosowane w tak szerokim zakresie, stanowiąc chyba najbardziej demokratyczną i sprawiedliwą formę podejścia do zagadnienia wyboru właściwego człowieka (względnie ludzi) dla rozwiązania trudniejszych zadań architektonicznych — oczywiście o ile przeprowadzane są bezstronnie. Jest to na pewno lepsze niż metoda przyjacielskich konszachtów po klubach, boiskach sportowych, i różnych organizacjach społecznych, stosowana w niektórych krajach. Wprowadzenie jej na szeroką skalę

w Polsce jest zdobyczą pokolenia architektów, działających w okresie międzywojennym. Rzeczą nową w obecnym wypadku było wciągnięcie do dyskusji nad przedstawionymi projektami szerokich kół, fachowców a nawet publiczności. Na temat proponowanych rozwiązań ukazały się dziesiątki artykułów, dyskutowano je na specjalnie organizowanych zebraniach architektów, inżynierów i ekonomistów oraz na publicznym zgromadzeniu w sali redutowej Teatru Narodowego, w obecności około tysiąca osób.

Nim przyjdę do oceny rezultatów, jakie konkurs ten przyniósł, parę słów jeszcze na temat celu tej procedury. Sprawa ta niezupełnie jest jasna i opinie pod tym względem są podzielone. Jedni uważają, że konkurs powinien dawać rozwiązanie zasadniczej koncepcji danego problemu, innymi słowy być tym, co Niemcy trafnie nazywają „Ideen Wettbewerb". W tak pojętych konkursach sądy mniej zwracają uwagę na stronę formalną i ścisłe dopełnienie wszystkich szczegółów programowych. Wygrywa śmiały pomysł — trafne i oryginalne ujęcie zagadnienia jako całości. Szczegółowe rozgryzanie różnych detali praktycznych i technicznych odbywa się później w drodze długich i często żmudnych dyskusji z klientem, lub jak to się dziś w Polsce nazywa inwestorem. Tego rodzaju bezpośrednich rozmów nie może zastąpić najbardziej szczegółowy program. Drugi pogląd jest, że konkurs powinien dać w rezultacie gotowy niemal projekt szkicowy danego budynku czy ich grupy, który, po bardzo niewielkich poprawkach powinien stać się podstawą do rysunków roboczych. W tych wypadkach oczywiście dokładne dopełnienie wszystkich punktów programu jest warunkiem do eliminacji prac do nagrody. W ten sposób odpadają niekiedy najciekawsze projekty. Może to być szczególnie szkodliwe tam, gdzie chodzi o rozwiązanie założeń urbanistycznych jak w danym wypadku lub obiektów, w których dominuje strona artystyczna jak kościoły, pomniki itp. Zdarza się oczywiście także, że sąd składa się z ludzi o bardzo rozbieżnych poglądach, co daje w wyniku decyzje nijakie kompromisowe — wyniki o jakich Frank Lloyd Wright powiedział, że są „najśredniejszymi ze średnich". Jednym słowem trzeba stwierdzić, że Jury ponosi w równym chyba stopniu odpowiedzialność za wyniki konkursu co projektanci. Jeśli chodzi o omawiany konkurs to wyniki jego nie wydają mi się w pełni przekonywujące. Na niezdecydowanie i chwiejność sądu wskazuje już choćby fakt, że nie umiał on nie tylko rozstrzygnąć, którą z prac uważa za najlepszą, ale nawet przeprowadzić stopniowania ich oceny. Przyznano więc dwie pierwsze nagrody, dwie drugie i trzy trzecie.

Jeśli chodzi o charakterystykę prac to ujawniły się dwie wyraźne koncepcje: Jedna ujmuje całą wschodnią stronę Marszałkowskiej jako ścianę, tj. jednolitą zabudowę o średniej wysokości z jednym lub dwoma wyższymi akcentami, przeważnie na narożnikach. Do tych należą między innymi prace Nr 29

(2 nagroda) i 19 (3 nagroda). Druga koncepcja proponuje na
całym tym odcinku szereg luźnie stojących wieżowców związa-
nych jakimś niższym wspólnym elementem. (Np. praca nr 5
(nagroda 2) i praca Nr 30 (nagroda 3). Obie prace odznaczone
pierwszą nagrodą dają rozwiązania pośrednie i pozbawione jedno-
nolitego wyrazu.

Praca Nr 31 (1 nagroda) proponuje wzdłuż Marszałkowskiej
szereg prostokątnych bloków o średniej wysokości przypuszczal-
nie pięciokondygnacjowych, zabudowanych obrzeżnie. — Ponie-
waż budowa mieszkań jest obecnie w Polsce i na pewno jeszcze
długo pozostanie potrzebą Nr 1, więc i w tym konkursie stanowi
ona jeden z ważniejszych postulatów, mimo że centralne położe-
nie terenu zupełnie temu nie sprzyja. Znalezienie jakiegoś wyj-
ścia z tego dylematu było, o ile wiem, jednym z tematów tego
konkursu. Otóż zabudowa jaką ta praca proponuje na pewno
tego nie rozwiązuje. Przyznam się, że nie chciałbym mieszkać
w tych blokach, o ile nie byłbym zmuszony do tego bezdomno-
ścią : Od frontu hałaśliwa i wydzielająca opary benzyny rzeka
ruchu śródmiejskiego — od podwórza ponuro i duszno. Tego
rodzaju zabudowa to system zapożyczony z poprzedniego stu-
lecia — linia najmniejszego oporu, którą prawdopodobnie zasto-
sowano by w normalnym „urzędowym trybie postępowania".
Do tego nie potrzeba konkursów. Wprawdzie poza tymi blo-
kami autorzy proponują kilka drapaczy ale tych z ulicy Mar-
szałkowskiej nie będzie prawie widać. Wadliwe wydaje mi się
również ustawienie drapacza po zachodniej stronie ul. Mar-
szałkowskiej w bliskim sąsiedztwie „Pałacu Kultury". Jest to
konkurencyjny akcent wysokościowy, zakłócający akademicką
poprawność założenia, którego ten gmach jest głównym ośrod-
kiem. Można mieć różne zastrzeżenia odnośnie tego haus-
manowskiego wzorku, faktem jednak jest, że on istnieje i
główną jego cechą jest ścisła symetria. Z tym układem trzeba
się liczyć.

Druga praca odznaczona pierwszą nagrodą (Nr 36) propo-
nuje również zabudowę mieszaną. Wzdłuż Marszałkowskiej cią-
nie się ściana o średniej wysokości (przypuszczalnie około sze-
ściu pięter), która w okolicy ul. Sienkiewicza i Świętokrzyskiej
urozmaicona jest grupą masywnych drapaczy posiadających
wewnątrz coś w rodzaju głębokich podwórzy czy świetlików.
Trotuary i przejścia piesze w poprzek Marszałkowskiej są na
wyższym poziomie. Rozwiązanie takie bywa koniecznością w
istniejących ciasno zabudowanych miastach, których wąskie
arterie komunikacyjne nie mogą sprostać nowoczesnemu ruchowi,
nie wydaje mi się natomiast uzasadnione w stosunku do impon-
jąco szerokiej nowej Marszałkowskiej. Szereg tych przejść prze-
rzuconych na niewielkiej wysokości zrujnuje jedną z najefektow-
niejszych perspektyw w mieście.

Wygląda to trochę jak projektowanie budynku z nadbudów-
ką, albo szycie nowego ubrania z łatą.

Najciekawsze chyba rozwiązanie proponuje praca Nr 5 (nagroda 2) zaznaczyć muszę, że znam ją tylko z perspektywy, reprodukowanej w ,,Stolicy'', ale to mam wrażenie wystarczy, by zorientować się w zasadniczej koncepcji autorów i ocenić jej zalety. Już ten fakt sam świadczy o jej prostocie i jasności : a więc szereg wieżowców ustawionych węższą stroną do Marszałkowskiej i połączonych podłużnie niskim jedno lub dwupiętrowym pasem o przeznaczeniu handlowym (jak przypuszczam). Jest to chyba najlepsze rozwiązanie bardzo trudnego problemu śródmiejskiej zabudowy, łączącej handel z mieszkalnictwem. Nie ma w tej zabudowie zamkniętych głębokich podwórzy. Mieszkania umieszczone na górnych piętrach będą stosunkowo daleko od źródła hałasu i wyziewów, jakim jest jezdnia, przy tym zwrócone przeważnie nie do ulicy, lecz do jej zaplecza mogłyby mieć całkiem znośne warunki do mieszkania i doskonałe dla pracy biurowej.

Jeśli chodzi o stronę plastyczną to zabudowa taka miałaby bardzo duże zalety. Rytmiczny szereg pionowych akcentów w formie wieżowców w zestawieniu z długą lśniącą linią poziomą przeszklonego pasa handlowego jest koncepcją śmiałą i efektowną.

Czy będą to drapacze o szklanych ścianach kurtynowych w rodzaju gmachu O.N.Z. w Nowym Jorku?

Czy drapacze te będą na skalę amerykańską, tj. o 30-40 kondygnacjach — sądzę że nie, z chwilą jednak gdy jest koncepcja, choćby nawet na razie wyglądająca nieco fantastycznie i zawieszona w obłokach — można ją ściągnąć na ziemię i przystosować do skali właściwej Warszawie. Nawet gdyby ,,drapacze'' zredukować do kilkunastu pięter, zasada pozostanie niezmieniona.

Wątpliwości natomiast budzą wieżowce proponowane od strony Pałacu Kultury. Jak już wyżej wspomniałem, uważam że od tej strony nie powinno się stawiać żadnych akcentów pionowych, konkurujących z tym pałacem.

Sądząc z głosów prasy krajowej zdaje się, że ten ostatni projekt zyskał sobie największe uznanie wśród publiczności warszawskiej. Nastroje te odzwierciadla jeden ze sprawozdawców prasowych w tych słowach : ,,Przez wszystkie niemal wypowiedzi czerwoną nicią przewija się jakaś (trudno zresztą się temu dziwić) tęsknota do wielkiej nowoczesnej architektury, architektury, w której przy takim lub innym ukształtowaniu plastycznym wiązać potęgę i możliwości współczesnej techniki, a którą możemy niestety oglądać tylko na zdjęciach lub w czasie zagranicznych podróży''.

Od siebie dodać muszę, że jest to ostatnia szansa stworzenia śródmieścia na miarę drugiej połowy 20-go wieku. Szereg okoliczności złożyło się na to, że Warszawa jest pod tym względem w położeniu wyjątkowo korzystnym. Istnienie w centrum miasta obszernych terenów wolnych pod zabudowę i zupełna swoboda

dysponowania nimi, nieskrępowana żadnymi interesami prywat-nymi daje urbanistom i architektom wolność działania mało gdzie spotykaną.Okazja ta okupiona wielkimi ofiarami społeczeń-stwa drugi raz w historii się nie powtórzy (miejmy nadzieję !) winna być więc w pełni i właściwie wykorzystana.

Stanisław PIOTROWSKI

Wspomnienia

Byli tacy, co wyjechali z Kraju dziećmi. Ci nic nie pami-tają, i dla nich ojczyzna dzieli się na dwie części. Jedna, to ,,patria chica'', jak tu mówią, dom, rodzice, polskie uroczystośc jakiś polski związek, jakaś manifestacja. Druga, to Polska ni znana, ta prawdziwa, problematyczna, właściwie bardziej obc niż kraj osiedlenia, prawie że groźna w swym cierpieniu i m jestacie. Inni znowuż zaznali pełną piersią wolności między wo nami, i dla nich Polska jasno stoi przed oczyma, i właściw dalej w niej żyją, w tej Polsce sprzed września z jej zaleta i wadami, z Dmowskim, Piłsudskim, sanacją i całym tym świ tem blasków i cieni, które tak dalekie są dla ,,powrześniowców Są wreszcie niektórzy, którym dane było zakosztować Pols niepodległej, ale na tyle tylko, by wspomnienia te, pierws wrażenia życia stały się z czasem czymś nierealnym, snem prawi z innego świata, który, nie wiadomo, czy właściwie istniał.

Ci ostatni stali do chwili katastrofy tylko w blasku słońc nie zaznali cieni, nie widzieli biedy, Brześcia i Berezy, nie roz mieli katastrofalnej polityki. Bo kto w latach szczenięcych za waża takie ,,drobnostki'' wobec zalewających świat fal rad ści życia, radości prawdziwej, tej, jak pisał bodajże B trand Russell, radości bez powodu, która, jak bańka n dlana, nagle wzlatuje, by zniknąć tak jak powstała, w nico W blaskach tej radości życia zobaczyliśmy Polskę w ostatn chwilach przed ciosem, zobaczyliśmy ją oczami dorastający dzieci, które świat widzą piękniejszym, czystszym, niż jest, n realnym, przeistoczonym w plastycznym jeszcze mózgu. I c ciaż obcymi i obojętnymi są nam przedwojenni dygnitarze, też stronnictwa, żyją dla nas zaułki ulic, drobne epizody i se obrazów, które utkwiły w tym tajemniczym archiwum móz

wym, które notuje kroplę deszczu, ściekającą po szybie, a wyrzuca w noc zapomnienia wielkie zdarzenia.

Mówił mi ktoś : ,,pan nie zna Polski ! jakżeż może pan znać Polskę, skoro był pan chłopcem, gdy z niej wyjechał''. Pisał Palacio Valdes, że w miarę, jak się starzał, coraz bardziej zacierała mu się w pamięci ,,poważna'' część jego życia, a uwypuklał się okres dzieciństwa ze swymi zdarzeniami bez znaczenia.

I tak w najbardziej nieoczekiwanych okolicznościach nagle staje mi przed oczami jakiś epizod z Polski, jakiś kąt, osoba, kamień, chmura, deszcz, strumień, czy słowo. I wszystko to zlepia się w jeden ogromny, wyolbrzymiony, zniekształcony obraz ojczyzny. Tak, jak dom mój w Zakopanem wydawał mi się olbrzymi, a gdy po latach zobaczyłem jego fotografię, zawołałem : ,,ależ, jaki on mały'', tak i Kraj cały z owych czasów wydaje mi się wielki i piękny.

Leżąc nad brzegiem fiordu Reloncavi, w srebrzystej łunie wodnej Pacyfiku, widzę, o dziwo, tramwaj jadący wzdłuż alei Focha w Poznaniu, koło krzyża przy drodze, a w nim uczniowie zdejmują czapki na znak czci. Niebieski mundur gimnazjalny, marzenie lat spełnione. Jadę z nimi, jestem, jednym z nich, gimnazjalistą. Lecz już zaginął tramwaj widmo, ten prawdziwy ,,tranvia llamado deseo''. Tym razem siedzę na koźle bryczki obok starego Jurka w drodze do majątku wuja na wakacje. W około lasy wileńskie, te parki przecudne, którym nie dorówna żaden las świata, nawet ta omszała puszcza chilijska, która murem otacza fiord. A w cichym szmerze strumyka, co z głębi Kordyliery osładza wody Pacyfiku, słyszę jakoby tamten inny, co lata całe kołysał mnie do snu w dalekich Tatrach, i tak, jak dawniej, i dziś na pewno szumi w ten sam sposób.

I gdy w zapchanym autobusie jadę po Alem w Buenos Aires, nagle wydaje mi się, że wśród wrzasku miasta słyszę ciszę zakopiańskiej zimy, wśród której świerki chylą się pod śniegiem, i którą mąci tylko srebrzysty dzwonek sań. Lub znowu defilada, chyba w Poznaniu. Szeregi uczniów. Idzie sztandar i czapki zrywamy, jak przed krzyżem. Lub : mały kulawy Jaś, syn stróża zwierza mi się między jednym a drugim palantem, że Niemców pobić łatwo, bo jest ich tylko, jak mówi ojciec jego, trzech na jednego z naszych. To znowu ryk syreny okrętowej w Darsena Norte naśladuje tę z Helu, gdy po raz pierwszy we mgle ujrzałem Bałtyk. Albo procesja Bożego Ciała, gdy z okna ustrojonego patrzę na morze głów, a wśród nich płynącą złotą monstrancję, i śpiew potężny łączy wszystkich. I innym razem...

Jedną wielką szachownicą uczuć, wspomnień, obrazów i świateł w bezładzie jest dla mnie Polska przedwojenna.

I która Polska z tamtych czasów jest prawdziwsza? Czy ta z plątaniny mych wspomnień, czy ta rzeczywista?

Jan SEYDA

Prawda o zbiorach dzikowskich

Niedawno otrzymałem przysłaną mi z Polski książkę pt. „Zbiory sztuki Jana Feliksa i Walerii Tarnowskich w Dzikowie''. Książka ta napisana została przez panią Kazimierę Grottową, a wydana była w 1957 r. przez Ossolineum we Wrocławiu.

Książka, o której piszę, dotyczy dzieł sztuki, zebranych przez moich pra-pradziadów, a które po śmierci śp. Ojca mojego Jana Zdzisława, odziedziczyłem wraz z Dzikowem. Zrozumiałe więc jest, że książka ta zainteresować mnie musiała bardzo, dotyczy bowiem przedmiotów, wśród których się wychowywałem i do wybuchu wojny żyłem i — jeżeli tego słowa użyć można w stosunku do przedmiotów — które gorąco ukochałem.

Zbiory dzikowskie przedstawiają wartość nie tylko dla rodziny, ale dla całej Polski, dlatego przeczytawszy tę nadzwyczaj ciekawą, ze znawstwem rzeczy napisaną książkę, uważam, że tak z polskich jak i rodzinnych względów, jest moim obowiązkiem wyjaśnić pewne sprawy poruszone przez autorkę.

To o czym piszę poniżej dotyczy w małym stopniu samego studium o zbiorach Jana Feliksa i Walerii Tarnowskich, głównie dotyczy okresu późniejszego.

Przede wszystkim pragnę odpowiedzieć pani Grottowej na pytanie przez nią postawione w ostatnim ustępie tej książki — gdzie są dwa, może najcenniejsze, obrazy ze zbiorów dzikowskich? — Przy sposobności wyjaśnić bym chciał także, gdzie są i inne nad wyraz cenne pamiątki, o ile mi wiadomo, nie znajdujące się obecnie w muzeach i bibliotekach polskich, a które były do r. 1939 ozdobą Dzikowa.

Następnie, ponieważ autorka stawia spadkobiercom założycieli różne zarzuty, wydaje mi się potrzebne wyjaśnić, w miarę możności, pewne sprawy dotyczące przeszłości, by przekonać autorkę i tych co jej książkę czytali, że zarzuty postawione im nie tylko są niesłuszne, ale ich krzywdzące.

Pragnę wreszcie poruszyć także sprawę przyszłości tych zbiorów, chociaż w obecnych warunkach nie mogę mieć na to żadnego wpływu. Poruszam jednak i ten problem, gdyż polska opinia publiczna wpływ wywrzeć może zawsze i pod jej rozwagę myśli moje pragnę oddać.

By te różne trzy problemy, dotyczące zbiorów dzikowskich i ich właścicieli wyjaśnić i odpowiednio naświetlić, zmuszony jestem, chociaż pobieżnie, opisać pewne momenty z bliższej i dalszej przeszłości.

I

Gdy wiosną 1939 r. sytuacja międzynarodowa stawała się coraz to bardziej naprężona, ustaliłem ze śp. dr. Michałem Marczakiem, ostatnim bibliotekarzem dzikowskim, co i jak należy przygotować na ewentualność wojny. W tym celu dr Marczak przegrupował archiwum i bibliotekę w taki sposób, by najcenniejsze akta i księgi mogły, stosunkowo łatwo, zostać usunięte z półek celem ich ewentualnego schowania czy też spakowania i wysłania. W tym samym okresie ustalone zostało, które obrazy powinny zniknąć ze ścian, gdy zajdzie taka potrzeba. Zamiarem moim było zbiory najcenniejsze, w razie niebezpieczeństwa, wywieźć do Krakowa i zamurować w piwnicach mojego domu w Krakowie. Takie były przygotowania i plany, ale nie wierzyłem do ostatka, by Hitler, wobec stanowiska zajętego przez Francję i Anglię, zdecydował się wojnę rozpocząć. Nie ja jeden mylnie sytuację oceniłem.

Po układzie Ribbentrop — Mołotow wypadki potoczyły się tak prędko, że planu wykonać już nie zdołałem.

Mobilizacja została ogłoszona. Włożyłem mundur i wyjechałem. Nowe obowiązki wojskowe nie pozwalały mi naturalnie działać w Dzikowie. Ósmego września wieczorem dostałem rozkazy do przekazania w Rzeszowie — Stalowej Woli i w Baranowie, co pozwoliło mi na wstąpienie do Dzikowa w ciągu dnia 9-go września. Byłem w domu zaledwie kilkanaście godzin, ale wystarczyło mi to, by spowodować załadowanie na furmanki folwarczne wybranych uprzednio z dr. Marczakiem najcenniejszych archiwariów, ksiąg i obrazów i wywiezienie ich na odległe od dróg komunikacyjnych leśnictwo. Rzeczy do lasów wywiezione, zostały tam złożone prowizorycznie. Chodziło mi o natychmiastowe usunięcie najcenniejszych przedmiotów sprzed oczu najeźdźcy, który wkroczyć mógł do Dzikowa już lada godzina. Pamiętam bowiem, że właśnie w czasie działań wojennych w czasie najazdu Szwedów, przepadły nasze rodzinne zbiory i archiwa, gdy splądrowano i spalono Wielowieś, dawne nasze gniazdo, oraz gdy Austriacy w r. 1809 zrabowali znaczną część pamiątek w Dzikowie. Wojna 1914 szkód w naszych zbiorach nie spowodowała, bo śp. rodzice moi, mimo że przez Dzików czterokrotnie

przechodziła linia bojowa, zamku nie opuścili i najcenniejsze rzeczy odpowiednio schowali.

Wracając do r. 1939, zaznaczyć muszę, że nie wszystkie wywiezione z Dzikowa rzeczy zostawiłem na leśnictwie. Wiedząc, że mam jechać przez Lwów, by zameldować się w moim dowództwie, zabrałem ze sobą do samochodu szereg najcenniejszych przedmiotów, a mianowicie : autoportret Rembrandta, portret Izabeli Austriackiej, żony Krystiana króla duńskiego, malowany przez Jana Gossart, zwanego Mabuse (na brak tych dwóch obrazów zwraca uwagę p. Grottowa), całą kolekcję miniatur dzikowskich. Poza tym do tej samej skrzyni zostały przeze mnie włożone : ,,Kronika Kadłubka'' (1) kopia z XV wieku Statutu Wiślickiego, znana pod nazwą ,,Kodeksu Dzikowskiego'', także rękopis ,,Pana Tadeusza'' oraz inne cenne przedmioty, jak : karabela i buława Hetmana Tarnowskiego, pergamin podpisany przez Karola V, przyznający Hetmanowi tytuł comesa, tabakierka marszałka S. Małachowskiego, ofiarowana mu przez Fryderyka Augusta z jego miniaturą oraz zegarek, który miał przy sobie ks. Józef, gdy utonął w Elsterze.

Wszystkie te wymienione przedmioty przewiozłem do Lwowa i w nocy z 10-go na 11-go września, nie mogąc samemu złożyć ich w Ossolineum, powierzyłem przyjacielowi rodziny od trzech pokoleń, śp. mecenasowi M. Bilikowi. Staruszek, w obecności swojej córki, obiecał powierzoną mu skrzynię przekazać, jak tylko to będzie możliwe, do Ossolineum, którego był radcą prawnym i od którego gmachów mieszkał opodal.

Sytuacja Polski była tragiczna, byliśmy pobici. Lwów w wielu miejscach po bombardowaniu płonął, miasto przygotowywało się do obrony, gdyż oddziały niemieckie pancerne zbliżały się szybko.

Zabezpieczywszy jak mogłem najlepiej w ówczesnych warunkach przywiezione do Lwowa rzeczy, pojechałem do Bóbrki, by zameldować się w moim dowództwie. Pomijam jakie były moje koleje w ciągu następnych tygodni, ponieważ nie łączy się to ze sprawą zbiorów. Wspomnę tylko krótko, że gdzie było mi dane, z wrogiem walczyłem. W ręce niemieckie dostałem się pod Zamościem 24-go września. Tego samego dnia umknąłem, a przedostawszy się lasami, już 27-go byłem znowu w Dzikowie. Dążyłem tam po spełnieniu obowiązku wojskowego, bo pragnąłem, tak jak to uczynili śp. rodzice moi w ciągu pierwszej wojny światowej, być tam wśród swoich i z nimi trwać w okresie trudnych dni okupacji .

Na zamku kwaterowali Niemcy, którzy wtedy ciężko chorej żonie i dzieciom zostawili kilka pokoi w skrzydle. Mnie po powrocie nie aresztowano, ale oświadczono, że gdybym zniknął, to natychmiast rozstrzelane zostaną moja żona i dzieci. Aresztowano mnie i wywieziono już 6-go października, po któ-

(1) ,,Kronika Kadłubka'' była oryginałem czy też współczesną kopią. Drugi egzemplarz Kroniki znajduje się obecnie w Kanadzie, przywieziony tu razem z tzw. ,,Skarbami Wawelskimi''.

ich spięciach, które między mną a Niemcami miały miejsce. Plany więc moje pozostania w czasie okupacji w kraju, a konkretnie w Dzikowie, Niemcy szybko przekreślili.

Przez ten krótki okres pobytu w domu niewiele mogłem działać, gdyż dom i okolica pełne były żołnierzy niemieckich, którzy bacznie obserwowali każdy mój krok tak, że do schowanych przedmiotów dotrzeć nie mogłem, stwierdziłem tylko, że pozostają w schowaniu nienaruszone.

Już wtedy byłem zapytywany przez władze niemieckie, gdzie są brakujące w ramach obrazy. Wyjaśniłem, że zostały wywiezione do Lwowa, by uchronić je od zniszczenia w czasie działań wojennych, które mogły mieć miejsce w okolicach Dzikowa. Podobnie odpowiadaliśmy i później, tak żona moja jak i ja w następnych latach, gdy osobno, ją w Dzikowie, a mnie w niewoli, indagowano.

Po moim wywiezieniu wszystko pozostało na barkach mojej żony, która gdy sztab opuścił zamek i mniej wojska było w okolicy, ściągnęła z leśnictwa złożone tam zabytki. Obrazy spakowano w skrzynie i przewieziono do Muzeum Narodowego w Krakowie. Na złożony tam depozyt żona moja otrzymała kwit od prof. dr. Feliksa Kopery dnia 18-go listopada 1939 r.

Jeszcze przed wysłaniem obrazów do Krakowa udało się zamurować w suchych piwnicach pod zamkiem i w grobowcach pod kościołem najcenniejsze części archiwum i biblioteki. W ten sposób żona moja zdołała zabezpieczyć te zabytki, które Niemcy ze względu na ich wartość mogli chcieć wywieźć do Niemiec.

Reszta nieschowanych rzeczy pozostała w Dzikowie. Tę część Niemcy bacznie obserwowali i kontrolowali przez cały okres okupacji.

W rezultacie tego co powyżej napisałem, z końcem listopada 1939 r. zbiory dzikowskie rozdzielone były w sposób następujący:

1) Skrzynia złożona przeze mnie u mecenasa Bilika we Lwowie, którą on następnie, zgodnie z obietnicą, złożył w Ossolineum. Zawartość tej skrzyni wymieniłem już poprzednio.

2) W Muzeum Narodowym w Krakowie — obrazy przewiezione tam przez moją żonę (spis szczegółowy posiadam — 12 obrazy).

3) Zamurowane w Dzikowie najcenniejsze książki i akta.

4) Na ścianach i w szafach zamku nieschowane obrazy, książki i archiwum.

Poza Dzikowem znajdowały się jeszcze, o czym dotychczas nie wspomniałem:

5) W Muzeum Narodowym w Warszawie siedem portretów rodzinnych, kilka z nich cennych, bo pochodzących z XVII w.

6) W Bibliotece Jagiellońskiej znajdował się oddany tam przed wojną, unikat śpiewnika litewskiego z XVII w., drukowany w Wilnie przez OO. Jezuitów. Posłałem go tam celem sfotografowania, gdyż zamiarem moim było ofiarowanie Litwie

faksymile tej książki. Litwini ogromnie się tą książką interesowali. Minister pełnomocny litewski, p. Szulis, przyjeżdżał do Dzikowa książkę tę oglądać, a przez kilka miesięcy studiowała ten śpiewnik w Dzikowie młoda lingwistka litewska, której nazwiska dziś już nie pamiętam. Książka ta jednak w ciągu lat późniejszych została do Dzikowa zwrócona i wraz z innymi zamurowana.

W kalendarzyku kieszonkowym, który miałem przy sobie gdy mnie z Dzikowa zabrano, a który mi służył następnie przez cały okres niewoli, zanotowałem 16-go stycznia 1940 r. : ,,we *Frankfurter Zeitung* Nr 19-20, z piątku 12.1.1940 na str. 2-ej wiadomość ,,Ein Rembrandt in Lemberg aufgefunden''.

Wiadomość ta mnie zlektryzowała, bo dowiadywałem się z niej, że skrzynia zostawiona przeze mnie u mec. Bilika została przez niego złożona w Ossolineum, gdyż tam znaleziona została przez bolszewików okupujących wtedy Lwów. Wymieniano, że w skrzyni poza innymi bardzo cennymi przedmiotami, znajdował się obraz Rembrandta i rękopis ,,Pana Tadeusza''. Pamiętam, że do żony zaraz napisałem kartkę jeniecką mniej więcej tej treści : Pan Tadeusz zdrowy, jest u Ossolińskich, zacny Mikołaj dobrze się nim opiekował, oby dalej Panu Tadeuszowi zdrowie dopisywało.

Od tej pory mało na ten temat z moją żoną korespondowałem. Dopiero po 22 czerwca 1941 r., gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska, zacząłem pisać listy, w których pełno było o Tadeuszu, Kadłubku, Wiślickim, Izabelli (nazwiska Rembrandta nie używałem, bojąc się, by cenzura nie rozszyfrowała), prosząc, by jechała do nich, czy też starała się o ich powrót. Rezultatem starań żony, po zajęciu Lwowa, był powrót miniatur do Dzikowa. Innych rzeczy nie udało się wydostać z Ossolineum, bo już wtedy w części przeniesione zostały do nowoutworzonego we Lwowie przez bolszewików Muzeum Ukraińskiego, a inne przedmioty które pozostawały jeszcze w Ossolineum, wydane być nie mogły, gdyż zniknięcie ich naraziłoby odpowiedzialne osoby na bardzo poważne niebezpieczeństwo ze strony władz niemieckich, nic więc zrobić nie było można.

Lata płynęły, obrazy złożone w Muzeum Narodowym w Krakowie były w dobrych warunkach. Od prof. Kopery słyszała żona, że Niemcy wpadli na złożone tam dzikowskie obrazy, zafrapował ich Van Dyck, ale szczęśliwie zdołano im wytłumaczyć, że to tylko kopia, nie połapali się i uspokoili.

Kłopot natomiast był wielki z rzeczami, które były zamurowane w Dzikowie. Musiało się je co jakiś czas odmurowywać i przewietrzać, by nie zniszczały. Każda taka operacja połączona była z wielkim niebezpieczeństwem, by Niemcy na tym nie przyłapali. Przewietrzanie odbywało się pod okiem mojej żony, a pieczołowicie się tym zajmował dr Marczak, który pod tym względem miał doświadczenie jeszcze z pierwszej wojny światowej.

Jak wspomniałem już poprzednio, zbiory dzikowskie w tym okresie były ściśle kontrolowane. Kilkakrotnie przyjeżdżały specjalne komisje wysyłane przez tzw. „General Gouvernement". Składały się one z Niemców, ale jako rzeczoznawca polski towarzyszył im prof. dr Semkowicz.

W czasie jednej z takich wizyt, żona moja poinformowała poufnie prof. Semkowicza o schowanych wartościach; służył on najchętniej radami jak postępować, by zamurowane przedmioty nie zniszczały. Wspominam tu o tym, gdyż, jak słyszałem, uczony ten posądzony był o współpracę z Niemcami, a fakt przeze mnie zacytowany dowodziłby czegoś odwrotnego. Prof. Semkowicz od szeregu lat już nie żyje, niemniej słuszne jest podkreślenie jego postępowania, by plama „kolaboracji", walająca jego dobre imię jako Polaka i polskiego naukowca, mogła być wymazana.

Tak wyglądały sprawy do 3-go sierpnia 1944 r., to jest do chwili wkroczenia do Dzikowa wojsk Związku Sowieckiego.

Żona moja z dziećmi zmuszona była opuścić Dzików. Zabrać z sobą nic nie mogła. W Dzikowie pozostał i opiekował się wiernie zbiorami dr M. Marczak.

Śp. dr Marczak, jako bibliotekarz, spędził w Dzikowie znaczną część swojego pracowitego żywota. W tym dwie wojny, w czasie których chował własnoręcznie wraz z właścicielami ukochane przez niego akta i książki. Między wojnami, do pożaru zamku w 1927 r., prawie ukończył fachowe katalogowanie biblioteki i archiwum dzikowskiego. W czasie pożaru zamku kierował osobiście i niestrudzenie ratowaniem zabytków, cudem tylko nie pochłonęły go płomienie. Po pożarze ponownie przystąpił do katalogowania, niestety, znacznie umniejszonej pożarem biblioteki, nie skończył jednak, bo zawierucha wojenna 1939 r. na to mu nie pozwoliła.

Gdy żona dom zmuszona była opuścić, dr Marczak wprowadził się do archiwum, bo z bliska chciał czuwać nad ukochanymi aktami i księgami, które tyle lat w swoich rękach pieścił. Niedługo jednak było mu dane wśród nich już pozostawać, gdyż Pan Bóg zabrał go do swojej chwały jesienią 1945 r.

Dla mnie śp. dr Marczak był drogim przyjacielem. Od młodości często z nim spędzałem chwile na rozmowach o książkach i archiwum dzikowskim, ale też i o wielu innych problemach. Był on z pochodzenia góralem, kochał bardzo swoje rodzinne strony, ale pokochał i nizinny Dzików, bo tu spędził lata swojej dojrzałości i wiele lat pracy wśród książek, które naprawdę ubóstwiał. Nie było mi dane żegnać go nad grobem i dlatego miło mi, że mogę serdeczne słowa o nim wpleść do tego co piszę o zbiorach dzikowskich, gdyż imię jego ze zbiorami tymi związało się na zawsze.

Ciężki musiał być bardzo ten ostatni okres w Dzikowie dla dr. Marczaka. Wchodzące wojska sowieckie w jego oczach porobiły zniszczenia. Np. siodło i rząd Hetmana Tarnowskiego zniszczone zostały zupełnie. Gdy pierwszy impet minął, zniszczeń więcej nie było, ale za to ustalające się po mału nowe

władze w mieście Tarnobrzegu brały co im było potrzebne z mebli dla urządzania biur i mieszkań. Kto zajmował się, względnie kto opiekował się pozostawionymi w Dzikowie zbiorami po śmierci dr. Marczaka — nie wiem.

Żona moja zgłaszała się parokrotnie w ciągu 1945 r. tak w Muzeum Narodowym w Krakowie u prof. Kopery, jak też w Bibliotece Jagiellońskiej u prof. Kunzego, prosząc o zaopiekowanie się zbiorami pozostawionymi w Dzikowie. Informowała wtedy także gdzie część zbiorów była jeszcze zamurowana. W konsekwencji opiekę powierzono kuratorium szkolnemu w Rzeszowie. Rzeszów miał polecić wywiezienie pewnych rzeczy do Muzeum Narodowego i Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, a innych do Łańcuta. Z książki pani Grottowej dowiaduję się, że jedna rzeźba została także złożona w Muzeum Narodowym w Warszawie, a w archiwum Województwa Krakowskiego na Wawelu i w Bibliotece Jagiellońskiej znajduje się archiwum i biblioteka dzikowskie.

O ile sądzić mogę z wiadomości docierających tu do mnie, w zamku, który jest obecnie szkołą rolniczą i w kościele dzikowskim znajdują się jeszcze pewne obiekty. Pani Grottowa musiała nie być o tym poinformowana, gdyż pisząc swoją książkę, o egzystencji jakichkolwiek pamiątek i dzieł sztuki w Dzikowie nie wspomina.

Słyszałem, że podobno ołtarz i obrazy, które były w kaplicy zamkowej, gdy kaplicę przemieniono na laboratorium chemiczne, przeniesione zostały do kościoła OO. Dominikanów. Także, że w zamku, w tzw. dawniej ,,białym pokoju'', są znowu szafy, których drzwi zdobią piękne kolorowe sztychy Loggi Rafaela, a wróciły tam z magistratu tarnobrzeskiego, gdzie służyły jako schron dla aktów miejskich. Także w odrzwiach mojego gabinetu pozostały dwa sztychy, które tam pamiętam od dzieciństwa: ks. Józef skaczący do Elstery oraz Samosierra. Pewnie też znajduje się tam wiele obrazów, gdyż w spisie muzeów egzystencja ich jest pominięta, np. portrety: Walerii Tarnowskiej, malowany przez del Frate, dziada mojego Jana Dzierżysława, pędzla Rodakowskiego (2); ojca mojego, malowany przez Pochwalskiego; no i cały szereg innych obrazów. Muszą też być w Dzikowie meble, o których w książce p. Grottowej cicho — wymienię tylko: dwie piękne szafy mahoniowe na książki z Łazienek oraz komplet mebli salonowych, których nie zniszczyli Austriacy w r. 1809, oryginalnych polskich, z drugiej połowy XVIII w., biuro mahoniowe, niegdyś należące do ks. Józefa i używane przez niego, gdy mieszkał w pałacu ,,Pod Blachą'', a też i cała reszta wypełniająca zamek, mniej lub bardziej cenna, a której wymienić nie sposób. — Meble te były jeszcze z końcem 1945 r., gdyż nieoficjalnie, narażając się na aresztowanie, żona moja widziała je w zamku dzikowskim. Nie uległy więc zniszczeniu

(2) W książce o Rodakowskim, wydanej w 1954 r. przez P.I.W., a napisanej przez p. A. Ryszkiewicza, zaznaczone jest: ,,Miejsce przechowania niewiadome''.

czy też ukradzeniu w okresie największego zamieszania, przy wkraczaniu wojsk sowieckich i zaraz po śmierci śp. dr. Marczaka, gdy opieki prawdziwej i odpowiedzialnej nie było.

Co się z tym wszystkim stało?

Po tej ostatniej bytności w Dzikowie, żona moja opuściła Polskę, by się ze mną połączyć w zachodniej Europie, tam bowiem byłem po wyjściu z niewoli niemieckiej.

Wielokrotnie potem pisałem do znajomych i krewnych w Polsce, prosząc o wiadomości. Nie otrzymywałem odpowiedzi, a jeżeli, to proszono aby nie pisywał, bo listy moje szkodzą. Tak przerwał się kontakt nasz i możliwości nawet pośredniego wpływania na to co się ze zbiorami dzikowskimi dzieje.

Władze Polski Ludowej ponoszą dziś całą odpowiedzialność za to, co się z dzikowskimi zbiorami działo i dzieje od chwili, gdy żona moja opuściła mury domu dzikowskiego. One też powinny się upominać o zwrot pozostawionych przeze mnie we Lwowie cennych obiektów. Moje zwracanie się do władz Republiki Ukraińskiej czy ZSSR nie mogłoby przynieść żadnego rezultatu.

Pragnę zaznaczyć, że gdy w 1946 r. podano w gazetach emigracyjnych wiadomość, że rękopis ,,Pana Tadeusza'' przewieziony został ze Lwowa do Ossolineum we Wrocławiu, w ,,Orle Białym'', o ile mnie pamięć nie myli, podałem krótką notatkę, wyrażającą radość z powodu znalezienia się ,,Pana Tadeusza''. Równocześnie zakomunikowałem, że poza tym cennym rękopisem Mickiewicza, pozostawiłem we Lwowie i inne przedmioty, wymieniając jakie. Czyniąc to miałem nadzieję, że Polacy w kraju notatkę przeze mnie podaną przeczytają i że im to da podstawy do upomnienia się i o resztę brakujących przedmiotów. Niestety, to nie nastąpiło, mimo że wiele lat upłynęło — ,,régime'' nie pozwalał widać na poruszenie problemów tego rodzaju. Mam nadzieję, że moje obecne przypomnienie tej sprawy będzie bodźcem do wszczęcia kroków o odesłanie do Polski dzikowskich dzieł sztuki i pamiątek, oraz innych, które przed 1939 r. do Polski i jej obywateli należały.

Jak wspomniałem poprzednio, ze złożonych we Lwowie rzeczy, po wkroczeniu tam Niemców w 1941 r., dzięki staraniom żony mojej, wróciła do Dzikowa piękna kolekcja miniatur. Z tej kolekcji do Muzeum Narodowego w Krakowie dostała się tylko część, pewnie złożona przez mojego stryjecznego brata śp. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa, względnie przez kogoś komu on je przed śmiercią powierzył. Większość jednak kolekcji, bo sto miniatur, przywieziona mi została jeszcze w r. 1946 do Niemiec przez moją siostrzenicę. Muszę przyznać, że posiadanie ich tam i w następnych latach, w niezwykłych warunkach emigracyjnych, stwarzało mi wiele trudności i pokus. Nie posłużyły one jednak do ratowania sytuacji finansowej ich właściciela. Dzisiaj złożone są w bezpiecznym miejscu i nie tracę nadziei, że wrócą one kiedyś do Polski.

To co do tej pory napisałem ujmuje pobieżnie to, co ze zbiorami dzikowskimi działo się od 1939 r. poprzez lata wojny. W początku tego smutnego okresu działałem osobiście, następnie działała moja żona. Mam wrażenie, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, by zbiory dzikowskie ratować od zagłady i wywiezienia.

Możliwe to było jedynie dzięki temu, że szereg ludzi współdziało z nią najżyczliwiej i tajemnicę zachować umiało tak, że Niemcy nigdy na ślad schowanych i wywiezionych do Krakowa rzeczy nie wpadli. Im też należy się wdzięczność i uznanie.

Wspomniałem poprzednio, że pewna część zbiorów pozostała nieschowana, tę część trzeba było doglądać i sprawdzać czy coś nie zginęło. Według informacji żony, w czasie okupacji niemieckiej zauważyła brak jednego tylko obrazu. Zniknęło małe płótno, malowane przez Brueghel'a, prawie miniaturowej roboty. Śliczny to był obrazek, trochę ciemny w tle, ale pełen ruchu i kolorytu w treści, przedstawiający drzewo, na którym roiły się najróżniejsze ,,rajskie'' ptaszki. Obrazek ten przepadł zaraz po moim wywiezieniu, zanim żona moja wstała po chorobie.

II

Wyjaśniwszy w części pierwszej co się działo ze zbiorami dzikowskimi od 1939 r., gdzie należy szukać brakującego Rembrandta i Mabusa oraz innych cennych pamiątek, niewymienionych przez p. Grottową, pragnę w części drugiej poruszyć inne zagadnienie. Pragnę omówić zarzuty postawione przodkom moim przez autorkę książki o zbiorach dzikowskich. Zarzuty stawiane przez nią są następujące : niedbałość o zbiory, używanie zbiorów do ratowania sytuacji finansowej właścicieli, wreszcie, że zbiory dzikowskie stały się zbiorami martwymi po zgonie założycieli.

Zacznę od zarzutu niedbałości, uzasadnionego spaleniem części zabytków w czasie pożaru zamku dzikowskiego, oraz nie restaurowaniem obrazów, o co upominał się prof. J. Mycielski, cioteczny brat mojego śp. ojca w listach, które znalazła p. Grottowa w zachowanej części archiwum dzikowskiego.

Zamek dzikowski nabyty od Ossolińskich w 1522 r. stał się gniazdem naszym w XVII wieku, po spaleniu przez Szwedów opodal leżącej Wielowsi. Zamek przebudowany został przez Jana Feliksa w pierwszej połowie XIX w. Z początkiem b. stulecia przebudował go ponownie mój ojciec. Celem tej przebudowy było : założenie wodociągów, ogrzewania centralnego i elektryczności, wreszcie ogniotrwałego sufitu w tzw. ,,Wielkiej Sali'' (rozmiary plus minus 10x12 m, na dwa piętra wysoka), w której pomieszczona została po przebudowie znaczna część biblioteki XVIII wieku, oraz sztychy i rysunki złożone w tekach.

Starsze książki i archiwum pozostały w sklepionej części zamku.

Jak z tego widać, celem przebudowy, którą ja pamiętam, przeprowadzonej przez znanego wtedy architekta Felnera Helmera, były udogodnienia dla mieszkańców, ale także możliwie najlepsze zabezpieczenie zbiorów przed pożarem.

Pozwolę sobie tu zauważyć, że wodociągi w większych miastach polskich były zakładane mniej więcej w tej samej epoce, ale w wielu miastach średnich i mniejszych wodociągi do dnia dzisiejszego, niestety, jeszcze nie egzystują. W Dzikowie zostało to więc zrobione stosunkowo wcześnie.

Gdy po ukończeniu uniwersytetu wróciłem do domu w lecie 1927 r., przy boku ojca zacząłem zapoznawać się z tokiem spraw administracji, zacząłem też wglądać w sprawy domowe. Zauważyłem wtedy, że zainstalowane podczas przebudowy węże przeciwpożarowe nie są dosyć silne i pewne. Zwróciłem na to uwagę ojca. Natychmiast zostały zamówione nowe, a zrobione to zostało właśnie na kilka miesięcy przed pożarem.

Po ludzku więc sądząc, wszystko było zrobione, by w razie pożaru zabytki były dobrze bronione, tym bardziej że służba zamkowa, stajenni i ogrodnicy szkoleni byli stale w zamkowej straży ogniowej, która istniała jeszcze znacznie wcześniej, zanim założone zostały nowoczesne krany przeciwpożarowe.

Pożar wybuchł 30 lat temu, nocą, w wilię Wilii. Płomienie zauważono, gdy znaczna część dachu już płonęła. Gdy zaczęto gasić, używając do tego nowonabytych wężów — działały znakomicie, ale z powodu nad wyraz silnego mrozu (około 30° C) stopniowo jeden za drugim pękały, tak że po kilkunastu godzinach nie było już żadnego nadającego się do użytku. Gaszenie wodą pożaru stało się niemożliwe, dlatego budynek spłonął prawie doszczętnie. W ciągu całego pożaru ludność miejscowa i okoliczna z nadzwyczajną, nie do opisania ofiarnością pomagała w wynoszeniu cennych przedmiotów. Akcją tą kierował śp. dr Michał Marczak, który znał dom i wiedział dokładnie gdzie co się znajduje. Zaznaczyć tu muszę, że nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nikogo z rodziny w domu nie było.

Pod kierownictwem więc śp. dr. Marczaka usunięto prawie wszystko ze skrzydła od strony kaplicy, gdzie były najcenniejsze przedmioty. Wielką salę, położoną w centrum domu, zaczęto, jako ogniotrwałą, opróżniać w fazie następnej. Śladów niebezpieczeństwa żadnego nie było — sufit „ogniotrwały" nie płonął, wynoszono więc spokojnie bibliotekę. Tymczasem nagle, gdy było tam wiele ludzi sufit cały runął, grzebiąc dziewięć osób, a raniąc wielu z ofiarnych ratowników.

Imiona i nazwiska tych co zginęli w pożarze zostały umieszczone na tablicy pamiątkowej w kaplicy zamkowej. Ranni i rodziny osierocone otrzymały renty ustanowione przez śp. ojca mojego, które wypłacane im były aż do wkroczenia wojsk ZSSR w r. 1944.

Katastrofa wynikła z powodu zawalenia się sufitu spowodowała to, że władze bezpieczeństwa w dalszej fazie pożaru nie dopuszczały ludzi, by wchodzili do zamku. Trudno się temu za-

rządzeniu było dziwić, ze względu na niebezpieczeństwo grożące ratującym, ale rozporządzenie to uniemożliwiło dalsze ratowanie.

Badania, po pożarze przeprowadzone przez rzeczoznawców wykazały, że sufit ogniotrwały nie spłonął, ale zawalił się z powodu wadliwego związania z belkami dachowymi. Gdy belki dachowe, które były drewniane, spłonęły, sufit runął. Błąd więc był w konstrukcji.

Wydaje mi się, że trudno za sam pożar i błąd architektoniczny w konstrukcji sufitu „Wielkiej Sali", a także za straszny mróz, który spowodował pękanie nowych wężów, winić mego ojca. W moim przekonaniu, śp. ojciec mój nie zaniedbał niczego, by dać bezpieczne i odpowiednie schronienie zabytkom znajdującym się w Dzikowie.

Pożar zamku dzikowskiego, który spowodował tak straszne ofiary w ludziach i pochłonął część zabytków dzikowskich, był katastrofą, które zdarzają się mimo, wydawałoby się, przedsięwzięcia wszelkich możliwych środków ostrożności, które umysł ludzki przewidzieć jest w stanie. Przykładem takim jest pożar Muzeum Historii Naturalnej w Warszawie w parę lat po pożarze zamku dzikowskiego, gdzie spłonęło bardzo wiele cennych eksponatów.

Autorka zarzuca Tarnowskim z Dzikowa także i inny rodzaj niedbałości, a mianowicie nie restaurowanie i nieodpowiednie utrzymywanie obrazów dzikowskich. Tu na początku stwierdzić wypada, że w Polsce nie restaurowano nic w drugiej połowie XIX wieku. Nie myśleli więc o tym ani mój dziad ani pradziad. Ojciec mój, jak słusznie zwraca uwagę p. Grottowa, był w stałym kontakcie z prof. J. Mycielskim, którego prosił, sam nie będąc specjalistą, o rady jak i co należy robić, by obrazy w dobrym stanie utrzymać. Trudność główna polegała na tym, że w Polsce przed 1914 r. i jeszcze długo potem, nie było specjalistów, którym można było z pełnym zaufaniem oddać cenny obraz do odrestaurowania. Trzeba więc było obrazy wysyłać zagranicę, a to było już problemem skomplikowanym, szczególnie w czasie pierwszej wojny światowej i zaraz po niej, a to są lata, w których prof. Mycielski wspomina o konieczności odrestaurowania obrazów. Myślę, że to chyba dostatecznie wyjaśnia te domniemane zaniedbania. Mogę zapewnić autorkę, że ani jeden obraz w kolekcji dzikowskiej nie zniszczał. Wszystkie cenniejsze poddawane były renowacji i dlatego czasem przez dłuższy okres czasu bywały poza granicami kraju.

Przechodząc teraz do następnego zarzutu stawianego spadkobiercom założycieli zbiorów dzikowskich, tj. używania zbiorów odziedziczonych do ratowania sytuacji finansowej, na początku zaznaczyć muszę, że Horochów, wiano Walerii na Wołyniu odziedziczył najmłodszy z synów Tadeusz. Po nim jego dzieci, najpierw Jan Jacek, a po jego zgonie, Horochów ze zbiorami przeszedł nad Jadwigę, która poślubiła Adolfa Milewskiego — wyszła więc z rodziny.

Syn średni Feliksa i Walerii, Walerian, ożeniony z Ernestyną Tarnowską, osiadł w majątku żony, we Wróblewicach. Tam też, poza innymi, znajdowały się obrazy malowane dla Dzikowa przez Dominica del Frate, przedstawiające czyny hetmana Tarnowskiego, o czym słusznie wspomina Chwalenik, cytowany przez p. Grottową. Zbiory te, pomnożone, pozostawały w rękach spadkobierców do wojny.

Jeżeli chodzi o kolekcję dzikowską, odziedziczoną przez najstarszego Jana Bogdana, mego pradziada, to sprzedane zostały zagranicą dwa bardzo cenne obiekty. Dlaczego to się stało wyjaśnię na podstawie tego, co słyszałem od starszego pokolenia.

Przodek mój Rafał z Tarnowa, już w XIV w. przez małżeństwo z panną Dzierżką z Wielowsi wszedł w posiadanie wsi Wielowieś pod Sandomierzem. Niedługo potem nabyty został Trześń od Pełki z Galowa, naturalnego syna Kazimierza Wielkiego, Dzików od Ossolińskich itd., aż stopniowo z latami i wiekami wsi tych przybywało w tej okolicy. Powstał w ten sposób poważny klucz, położony wzdłuż brzegów Wisły i Sanu. Klucz ten w kształcie podkowy wypełniała puszcza sandomierska, która z czasem w 1/3 stała się także własnością Tarnowskich. Nadane im bowiem zostało w puszczy prawo trzecizny, które ustalało, że co trzecie drzewo, co trzecia kopka siana, co trzecia barć, należały tam do Tarnowskich.

Gdy przyszły rozbiory, władze austriackie przestały to nasze prawo uznawać. Dawne królewszczyzny i inne majątki państwa polskiego rozsprzedano. Sprzedana też została puszcza sandomierska, granicząca z dobrami Tarnowskich. Mój pradziad starał się część jej nabyć, nie miał jednak dostatecznych zasobów — nabyli ją więc inni. Z początkiem XX w. część puszczy, graniczącą z Dzikowem, posiadał Dawid Franke, Żyd, obywatel niemiecki. Gdy Franke zaczął szukać kupca, po poważnym wyeksploatowaniu lasów, zwanych wtedy dobrami Mokrzyszowskimi, ojciec mój, po naradzie z braćmi, Juliuszem z Końskich i Adamem oraz stryjem prof. Stanisławem, postanowił zmobilizować potrzebną gotówkę, by dobra te nabyć. Sprzedany został klucz posażny mojej matki — Mędrzechów i obraz Rembrandta — Lisowczyk.

Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego powzięta została przez rodzinę taka decyzja, trzeba pamiętać, że żyli oni wtedy w innej epoce. Żyli pod zaborami. Tendencją narodową było wtedy nie sprzedanie ani piędzi ziemi obcemu, a jeżeli możliwe, wykupywanie jej, by w ręce polskie znowu wróciła. Wtedy ziemia w rękach polskich była problemem znacznie ważniejszym, niż posiadanie nawet najcenniejszego płótna Rembrandta. To był punkt widzenia narodowy, nie wszystkich może, ale bardzo wielu Polaków.

Grał tu także rolę sentyment rodzinny do „puszczy", która przez długie wieki, w części co prawda, do rodziny należała, a utracona została w konsekwencji przejęcia jej po rozbiorach przez zaborcze władze austriackie.

Dziś, po pięćdziesięciu przeszło latach, może inaczej sprawa wygląda. Ziemia nadal jest w Polsce i polska. Nie ma żadnych właścicieli, ani Tarnowskich od 18 pokoleń osiadłych w Wielowsi, a od 13 w Dzikowie, ani Frankemu podobnych kuców leśnych. Natomiast niekompletne zbiory dzikowskie, znajdują się głównie w Muzeum Narodowym w Krakowie i są jedynie w części udostępnione dla zwiedzających — nawet takich, jak p. Grottowa, gdyż szereg ich leży bezużytecznie na składzie w tymże Muzeum, a inne znów są rozsiane po różnych miejscach w Kraju.

Lisowczyka oglądać można u Frick'a w New Yorku, a autoportret Rembrandta, drugi obraz tego malarza ze zbiorów dzikowskich, i inne cenne pamiątki zostawione przeze mnie w polskim Lwowie, — gdzie są? Czy do Polski wrócą? — przyszłość pokaże.

W Ameryce, poza Rembrandtem, znajduje się także inne dzieło sztuki nabyte przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich, o którym pani Grottowa nie wspomina w swojej książce. Chodzi tu o wielkich rozmiarów rzeźbę dłuta Canovy, przedstawiającą Perseusza. Rzeźba ta kupiona od Canovy, przewieziona została morzem do Odessy, skąd wołami dociągnięta do Horochowa. Tam ustawiona, po kilku latach swoim ciężarem spowodowała pękanie murów pałacu, wobec tego zdecydowano ją sprzedać i do Dzikowa, dla którego była przeznaczona, nie przewozić. „Perseusz" stał następnie przez szereg lat u Potockich w Wilanowie, w nadziei, że się znajdzie nań kupiec w Polsce. Dziedzicem jej był Juliusz Tarnowski, najmłodszy brat mego dziada i prof. Stanisława. Gdy Juliusz zginął w powstaniu w 1863 r. rzeźba przeszła na braci. Oni, po wyjściu Stanisława z kilkoletniego więzienia w Ołomuńcu za współudział w powstaniu, sprzedali ją w Wiedniu. Profesor Tarnowski za pieniądze uzyskane z tej sprzedaży nabył coś, co dla każdego Polaka jest stokroć cenniejsze niż rzeźba słynnego Canovy. Nabył od syna Mickiewicza, który był w Paryżu w poważnych trudnościach finansowych, rękopis „Pana Tadeusza". W kilkadziesiąt lat później gdy z kolei Hieronim, syn prof. Stanisława, potrzebował gotówki ojciec mój odkupił „Pana Tadeusza" do zbiorów dzikowskich gdzie był aż do wybuchu wojny, troskliwą opieką otaczany.

Opisałem, jak dostał się do Dzikowa „Pan Tadeusz", nadmienię teraz, że do zbiorów dzikowskich przybyły za życia mojego ojca i inne cenne przedmioty. Został nabyty w Wiedniu piękny portret młodzieńca, malowany przez Joast Sustermans'a, którego reprodukcja, figurująca na str. 81 książki pióra pani Grottowej każe przypuszczać, że został nabyty przez Jana Feliksa i Walerii Tarnowskich. Od J. Borkowskiego nabył mój ojciec także „Stado Hetmańskie", chyba najpiękniejszy obraz pędzla Juliusza Kossaka. Nie wiem skąd, ale przybyły też dwa olejne szkice Matejki. Zawisło też na ścianach wiele portretów i obrazów malowanych przez J. Malczewskiego, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Pochwalskiego, (miniatury) Dąbrowskiej i innych polskich malarzy.

Nie na tym koniec. Śp. matka moja bardzo interesowała się biblioteką dzikowską. Całe swoje życie nabywała stare, ale i współczesne książki, by uzupełnić bibliotekę dzikowską. Czy są na to dowody w aktach dzikowskich, które znajdują się obecnie na Wawelu, nie wiem. Pewnie ich nie ma, bo matka moja książki nabywała głównie przez księgarnie Krzyżanowskiego, oraz Gebethnera i Wolffa w Krakowie, a kupując, płaciła zaraz gotówką.

Sumiennie więc mogę powiedzieć, że zbiory dzikowskie za życia moich rodziców stopniowo rosły aż do katastrofy pożaru.

Pożar bardzo wiele zniszczył, ale to co zostało, pieczołowicie znowu skatalogowano. Książki i archiwum opracowywał dr Marczak. Obrazy wszystkie były spisane, a spis uzupełniony fotografiami, które wykonał fotograf z Krakowa, o ile mnie pamięć nie myli, specjalista z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Może więc tam uchowały się fotografie obrazów dzikowskich, jeżeli katalog dzikowski nie istnieje.

Pani Grottowa w książce swojej wspomina o korespondencji ojca mego z Van Diemen Galleries w Nowym Jorku w sprawie sprzedaży obrazów. Działo się to właśnie po skończeniu moich studiów, gdy wróciłem do domu. Był to okres ciężkiego kryzysu jaki gospodarstwo polskie przeżywało, a nie był wyłączony od tego majątek dzikowski. Zniszczenia spowodowane pierwszą wojną światową były w Dzikowie bardzo znaczne — zostały spalone i spustoszone folwarki, a przemysły zniszczone. Papiery wartościowe, po dewaluacjach, wyrzucano, gdyż nic nie były warte. Podatki majątkowe i leśne były bardzo poważne. Poza tym ojciec mój uważał, że jest jego obowiązkiem wpłacenie poważnego udziału w Banku Polskim. Wszystko to razem spowodowało konieczność zaciągnięcia w okresie powojennym pożyczek. Pożyczki te były krótkoterminowe i wysokoprocentowe, bo innych dostać nie było można. W konsekwencji sytuacja Dzikowa w latach 27-ch stała się bardzo trudna. Długi były poważne, a dochody spadły z powodu spadku cen produktów rolnych i leśnych. Sprzedaż ziemi w parcelacji szła trudno, właśnie wobec kryzysu w rolnictwie. Zbycie większego kawałka ziemi czy lasu nie było możliwe z tego samego powodu. Wtedy ojciec mój, nie mogąc w Polsce znaleźć amatora na któryś z cennych obrazów, a proponował w pierwszym rzędzie nabycie Państwu Polskiemu, zdecydował się szukać możliwości zbycia za granicą. Szczęśliwie obeszło się bez sprzedaży obrazów. Udało się natomiast zbyć kawał lasu, który umożliwił spokojną sanację majątku, która ukończona została na kilka lat przed 1939 r.

Proszę czytelników, by zastanowiwszy się, odpowiedzieli sami sobie na pytanie, co ma robić ktoś, mający zobowiązania, a nie mogąc nic zbyć ze swoich włości, czy nie będzie próbował ratować się zbyciem cennych, a nawet ukochanych obiektów zdobiących jego dom, by wywiązać się ze swoich zobowiązań. Nie mam żadnej wątpliwości, jaka będzie odpowiedź każdego uczciwego i normalnie myślącego człowieka. Ponieważ ojciec

mój był takim właśnie człowiekiem, dlatego, mimo przykrości jaką mu to sprawiało, napisał do Van Diemen Galleries.

W poprzednich ustępach już poinformowałem, jak mogłem najlepiej, o działalności moich rodziców. By dać jednak pełny obraz tego, co w Dzikowie się działo do wojny, muszę jeszcze uzupełnić moimi zakupami po śmierci ojca mojego, tj. po 1937 r.

Jak już wspomniałem poprzednio, matka moja otrzymała w posagu majątek Mędrzechów, który został sprzedany na kupno Mokrzyszowa. Posiadała ona także Górę Rapczycką. Tam we dworze, między innymi obrazami, znajdował się mały obrazek nieznanego malarza, który uznany został za autoportret Rembrandta. Płótno to odziedziczył wraz z ,,Górą'' mój brat Andrzej. Od niego też dla Dzikowa obraz ten nabyłem, ale wobec katastrofy w 1939 r. należności wyrównać już nie zdołałem.

Poza wymienionym Rembrandtem nabyłem jeszcze osiem obrazów. Siedem rodzinnych z XVII w. co w Polsce było wielką rzadkością. Te portrety oddałem przed samą wojną do Muzeum Narodowego w Warszawie p. Marconiemu do odrestaurowania. Nie wiem, czy obrazy te spłonęły w okresie powstania warszawskiego, czy też się uratowały i czy je tam obecnie można oglądać.

Ostatni wreszcie mój nabytek, który złożony jest wraz z innymi obrazami w Muzeum Narodowym w Krakowie, to kupiony, z pomocą p. Studzińskiego w Warszawie Vernet, przedstawiający ks. Józefa skaczącego do Elstery. Pięknie zdobił mój gabinet, w którym stało biuro ks. Józefa.

Przejdę teraz do ostatniego zarzutu, czynionego moim przodkom, a mianowicie, że zbiory dzikowskie, po śmierci założycieli stały się zbiorami martwymi.

Założyciele zbiorów dzikowskich umierają: Jan Feliks w 1842 r., a żona jego Waleria w siedem lat po nim. Niespełna rok po niej, w 1850 r. umiera ich syn Jan Bogdan, pierwszy dziedzic zbiorów. W Dzikowie zostają wdowa Gabryela z Małachowskich, z niedorosłymi jeszcze dziećmi. Najstarszy syn Jan Dzierżysław ma wtedy zaledwie lat piętnaście. Młody Jan zaledwie kilka lat gospodarował w Dzikowie, gdy wybucha powstanie 1863 r. Ginie jego brat najmłodszy, Juliusz, a Stanisław odsiaduje kilka lat w więzieniu austriackim. On w Dzikowie boryka się z trudnościami. Po latach dopiero następuje pewne odprężenie, ale wtedy cały wysiłek dziadka mojego wkładany jest w gospodarstwo dzikowskie, a gdy to zaczyna być możliwe, staje na czele Towarzystwa Rolniczego w Krakowie, posłuje na Sejm galicyjski we Lwowie, którego zostaje marszałkiem, także został członkiem Izby Panów w Wiedniu, co pochłania do reszty jego wolne chwile. Przy tych wielu zajęciach zdrowie mu nie dopisuje, tak że rzeczywiście zbiorów dzikowskich nie pomnaża i mało się nimi zajmuje, ale dba o nie gorąco. Używa natomiast na bibliotece i archiwum jego brat Stanisław, który od dzieciństwa w książkach i aktach dzikowskich gustuje. Znaczny wpływ musiała wywrzeć na Stanisławie biblioteka dzikowska, gdyż zrobił wspaniałą karierę naukową.

ostał z latami profesorem literatury polskiej, napisał wiele zieł, był mówcą jak mówiono ,,złotoustym''. Był przez wiele t rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, wreszcie prezesem olskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Cóż można osiągąć więcej, oddając się i poświęcając nauce języka ojczystego. Vtedy, przy braku innej komunikacji, jeździło się końmi, trudno ięc było marzyć o tym, by korzystać mogło wielu ze zbiorów zikowskich — dojeżdżały jednostki. Obrazy dzikowskie wtedy nało komu były znane, ale przed samą śmiercią w r. 1894, ziadek mój decyduje wysłanie całego szeregu rysunków i miiatur na przygotowującą się wystawę we Lwowie.

Od tej pory, już za czasów mego ojca, obrazy dzikowskie azywane były często na wystawach tak w kraju, jak i za ranicą. Poza tym nabyty został dom w Krakowie przy ul. ławkowskiej, gdzie zostały umieszczone najcenniejsze obrazy galerii dzikowskiej. Tam zapoznał się z nimi cały kulturalny raków i nie było wypadku, by komuś kto chciał obrazy zobazyć, odmówiono wstępu. Prof. Jerzy Mycielski nie raz przyproadzał studentów, którym wykładał historię sztuki.

Druki i manuskrypty z archiwum, jak też stare księgi nie az były przesyłane do Akademii Umiejętności, czy też do Biioteki Jagiellońskiej, by umożliwić korzystanie z nich polskim czonym, którzy pracować chcieli nad nimi.

Pamiętam np., że prof. Pigoń, który pracował wiele lat nad ękopisem ,,Pana Tadeusza'' otrzymał go tą drogą i dysponował im tak długo, jak tego potrzebował. Ułatwiano też studiującym etknięcie się z biblioteką i archiwum dzikowskim i w inny spoób. Wspomniałem już poprzednio, że przed samą wojną spęziła kilka miesięcy w Dzikowie lingwistka litewska, pracując ad śpiewnikiem litewskim. Takich wypadków było więcej — le naturalnie trudno cytować przykłady na pamięć, żyjąc już rawie dwadzieścia lat poza krajem i nie mając do dyspozycji rchiwum i registratury dzikowskiej.

Myślę, że to co napisałem wyjaśnia dostatecznie, że zbiory zikowskie nie były zbiorami martwymi. Mimo, że Dzików nie ył muzeum ani biblioteką publiczną, był zawsze do dyspozycji ych, którzy z dzikowskich zbiorów korzystać pragnęli.

Zgadzam się z p. Grottową, że zbiory dzikowskie, po śmierci ana Feliksa i Walerii Tarnowskich, nie należały do znawców ztuki, ale właściciele tych zbiorów na pewno dobrze rozumieli, e zbiory ich powinny służyć krajowi — nie ukrywali ich aspoecznie i egoistycznie — przeciwnie ułatwiali ich widzenie i ciezyli się, że ludzie zainteresowani chcieli ze zbiorów korzystać.)bali o te zbiory bardzo i pomnażali je, gdy mogli. Prawda, Lisowczyk'' sprzedany został przez mojego śp. ojca, a ,,Pereusz'' przez dziadka mojego i prof. Stanisława, ale powodem yły szlachetne pobudki, które dzisiaj, po dziesiątkach lat, może ie są łatwe do zrozumienia, wobec bardzo zmienionych warunów w dzisiejszej Polsce, a także w świecie.

III

Pragnę skończyć te moje uwagi, dotyczące przeszłości zbiorów dzikowskich, poinformowaniem o projekcie rodziny naszej, który, niestety, zrealizowany nie został, a który mógłby chociaż w części być zrealizowany mimo zmian, jakie zaszły. Sprawa ta dotyczyłaby przyszłości tych zbiorów.

Starałem się poprzednio udowodnić, że kolekcja dzikowska nie była martwa jednak niektórzy członkowie rodziny: śp. Hieronim z Rudnika, Juliusz z Suchej i piszący te słowa, byli zdania, że zbiory, należące do rodziny Tarnowskich, mogłyby służyć lepiej, gdyby były połączone w jedną całość i umieszczone w jednym z miast polskich, przez co łatwiejsze byłyby do osiągnięcia dla zainteresowanych i szerszego społeczeństwa, niż gdy były daleko od centrów kulturalnych, rozlokowane w naszych domach rodzinnych. Niedługo przed wojną, wyżej wymienieni projektowali stworzenie Muzeum i Biblioteki Tarnowskich, instytucji podobnej do Muzeum Czartoryskich w Krakowie, czy raczej Ossolineum we Lwowie. Złożone byłyby tam zbiory dzikowskie, suskie i rudnickie, a może wróblewickie, chorzelowskie i dukielskie, gdyby ich właściciele wyrazili na to zgodę.

Dzików i Sucha posiadały bardzo cenne kolekcje obrazów, cenne bardzo biblioteki i archiwa. Dzików posiadał także niemały i cenny zbiór miniatur, a Sucha wspaniałą kolekcję sztychów. Rudnik, poza kilkoma cennymi obrazami, komplet manuskryptów, zachowanych po prof. Stanisławie Tarnowskim. Rudnik posiadał także szereg pamiątek, jak np. zdobyty pod Rudnikiem na Gustawie Adolfie proporzec, który został ofiarowany Polsce w r. 1957 przez Stanisława, wnuka profesora, przebywającego obecnie na emigracji. We Wróblewicach była spora kolekcja obrazów, część pochodząca z Dzikowa, a Chorzelów miał piękne pamiątki i niewielkie archiwum. Wszystko to razem złączone stworzyłoby jedno z najpiękniejszych muzeów polskich.

Rodzina nasza zawsze związana była silniej z Małopolską niż z innymi dzielnicami Polski. Po Tarnowie, który po śmierci syna Hetmana, przeszedł na córkę jego Ostrogską, szczególnie mocno związani byli Tarnowscy z Krakowem, gdzie mieli swoją piękną rezydencję „na Gródku", który otrzymał od króla Łokietka protoplasta nasz Spytek.

Od drugiej połowy XIX w. mieszkali znowu w Krakowie prof. Stanisław „na Szlaku", a ojciec mój przy ul. Sławkowskiej w domu „pod łańcuchami", przez co więzy nasze z tym kochanym miastem po długiej przerwie znowu się zacieśniły.

Nie posiadając już Gródka, który Gabryel ofiarował z początkiem XVII w. OO. Dominikanom, myśleliśmy o przeznaczeniu na Muzeum „Szlaku", albo raczej domu przy ul. Sławkowskiej, który wydawał się ze wszech miar na ten cel dogodniejszy i lepiej położony.

Wszystkie projekty przerwał wybuch wojny w 1939 r. Dziś iękne zbiory Juliusza z Suchej, mimo, że ich właściciel usunął e z zamku, chowając je najprzód na Lubelszczyźnie, a następnie Warszawie, w znacznej części zniszczały. Obecnie z ocalałej uskiej kolekcji kilka obrazów jest na Wawelu, kilka w Muzeum Narodowym w Warszawie, część czternastotysięcznego bioru sztychów była w 1947 r. w ,,Pałacu pod Blachą'', wreszcie część biblioteki i archiwów złożono w Bibliotece Jagiellońkiej, reszta z tej pięknej całości poszła w rozsypkę. Końskie, osiadłość jego brata Władysława, gdzie chociaż nie było zbyt iele cennych pamiątek, Niemcy ogołocili, gdyż nie stało właściciela, który przepadł bez wieści na Wschodzie.

Co śp. Hieronim potrafił uratować ze zbiorów rudnickich ,,Szlaku'', jak też z zamku dukielskiego należącego do jego yna Stanisława, w czasie tej strasznej zawieruchy, nie wiem — pewnie niewiele.

Chorzelów w tym czasie spłonął, tak że i tam pewnie iewiele zdołano uratować z ruchomości tego pięknego staroolskiego dworu.

Podobnie, jak Władysław z Końskich, w r. 1939 przepadli ez śladu właściciel Wróblewic Jan i syn jego Stanisław. Przeadły też zbiory wróblewickie.

Wymienione powyżej gniazda rodzinne Tarnowskich, z Dziowa się wywodzących, zostały opróżnione z ich zbiorów i paniątek. Los był łaskawszy dla zbiorów dzikowskich, gdyż, jak pisałem już poprzednio, zostały zdekompletowane i rozbite, ale ros się uchowało i znajduje się obecnie w bibliotekach, archiwach i muzeach w Polsce. Poza krajem są miniatury w moim osiadaniu i pozostawione przeze mnie wartości we Lwowie v dyspozycji wschodniego sąsiada.

Dziedzicząc Wielowieś i Dzików, drogie nasze od pokoleń niazda rodzinne, przejąłem też obowiązek czuwania na odziedziczonymi wartościami kulturalnymi. Z tego obowiązku staraem się wywiązać możliwie najlepiej. Wspólnie z żoną moją chroniliśmy co się dało od zagłady przez lata wojny i okupacji iemieckiej, aż do r. 1944. Po tej dacie odpowiedzialności, ze rozumiałych względów, ponosić już nie możemy. To co zostało v moim ręku, tj. zaledwie miniatury, z radością ofiarowałbym olsce, gdyby połączone zostały razem z resztą zbiorów dzikowkich i suskich rozproszonych po muzeach, bibliotekach i archiwach polskich i gdyby utworzona z nich została jedna całość p. w Krakowie w Muzeum Narodowym i nazwana po wieczne zasy zbiorami Tarnowskich z Dzikowa i Suchej.

Myśl tę moją oddaję pod rozwagę i osąd polskiej opinii ublicznej, od niej bowiem zależy w znacznej mierze, czy uratowana część zbiorów Tarnowskich będzie w jedną całość złączona udostępniona zainteresowanym pod nazwą powyżej przeze mnie aproponowaną.

Niektórym wydawać się może niełądne żądanie moje, bym wzamian za miniatury, którymi dysponuję, proponował speł-

nienie pewnego warunku. Przyznaję, że i ja wolałbym, by wa- runku żadnego nie było. Niemniej, ponieważ Juliusz i ja zbiorów naszych nie możemy sami w jedną całość połączyć i umieścić w pięknym, specjalnie na to urządzonym budynku, tak jak to pro- jektowaliśmy przed wojną, proponujemy (3) zrealizowanie w czę- ści tego planu Polsce, wzamian ofiarowując to ze zbiorów, co do tej pory we władaniu moim pozostaje.

Pragnąłbym, by myśl moja została zrealizowana, by ocalałe z zawieruchy zbiory Tarnowskich, rozsiane obecnie po muzeach i bibliotekach polskich spotkały się znowu z tą ich częścią, którą pozostawiłem w r. 1939 we Lwowie, a która do tej pory Polsce nie została zwrócona, oraz z miniaturami, które od 194 r. towarzyszą mi w tułaczce po świecie, by razem zebrane świad- czyły w przyszłości, o naszej przeszłości i o gorącej miłości i przywiązaniu do Kraju, obecnie żyjących Tarnowskich.

Montreal, w grudniu 1958 r.

Artur TARNOWSKI
z Dzikowa

---

(3) Użyłem słowa „proponujemy" gdyż odnośnie 3-ej części artyku porozumiałem się z Juliuszem z Suchej który zgodę na użycie tego słow wyraził.

Wojenne kontakty z Krajem

Moje wojenne kontakty z krajem zaczęły się w sposób dość dziwny. W upalne palestyńskie popołudnie w czerwcu 1942 zwołano na zbiórkę resztki 28 pułku piechoty uformowanego w Ługowoj. Przed frontem zjawił się jakiś kapitan i krótko stwierdził, iż potrzebni są ochotnicy, którzy już z miejsca chcieliby się znaleźć w oddziałach liniowych. ,,Ochotnicy wystąp''. Wszystkie trzy kompanie na zbiórce posunęły się o trzy kroki naprzód. Bojowy był wówczas duch wśród tych młodych chłopaków. Kapitan zamachał rękoma. ,,Nie, tylu to nam nie potrzeba''. I zaczął wybierać tych, którzy byli w P.W., w Strzelcach, lub w Krakusach. Wybrańców zaprowadzono przed drewniany barak komendy obozu. Tam zjawił się jakiś korpulentny major, którego widywałem później w Orle Białym z sutym pierścieniem na palcu. ,,O, tylu to nam za dużo. Kto nie umie pisać odmaszerować''. Paru odeszło. ,,Widzicie, trzeba mi takich chłopaków co umieją konie kraść. Kto konie kradł ręka do góry''. Cóż za dureń, pomyślałem sobie. Ani jedna ręka nie podniosła się. ,,Kto nie potrafi koni kraść niech odmaszeruje''. Większa grupa odeszła, reszta dołączyła do prawego. ,,Teraz powiem wam tak, musicie się nauczyć Morse'a i umieć skakać na spadochronie. Kto nie chce uczyć się Morse'a, albo skakać odmaszerować''. Znowu sporo odeszło. Tych, którzy zostali policzono i zapisano. Za parę dni zostaliśmy przeniesieni do innego rejonu obozu El Khassa i połączeni z jakąś inną grupą, razem było nas 120. Nikt nie wiedział co to za oddział, jak się nazywa i jakie są jego cele.

Dopiero 11 lipca wcielono nas do Batalionu Łączności 2 Korpusu w El Mughar, jako drugą kompanię szkolną. Przydzielono do nas czterech oficerów, szefa i trzech instruktorów.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Zaczęło się intensywne szkolenie. Morse, kod Q, elementarna radiotechnika, wyszkolenie piechoty. Egzaminy urządzano często i od czasu do czasu usuwano z kompanii tych, którzy nie mogli nadążyć. Stale mówiło się o tym, iż mamy jechać do Anglii i myśmy się strasznie do tego palili. Ale ku naszemu rozgoryczeniu, w początkach września zostaliśmy przeniesieni do Iraku. Jakież tu były kontrasty, wypasione, elegancko ubrane wojsko z Palestyny i wygłodniałe, nędzne, zaganiane, zawsze na piechotę wojsko z Rosji. Stacjonowaliśmy na pustyni blisko Quizil Ribat. Wreszcie ku naszej radości, rozeszła się wieść, że jedziemy do Anglii. Wybrano z kompanii 60 najlepszych i z jednym oficerem ruszyliśmy przez pustynię do Palestyny. Potem Suez, czteromiesięczny postój w Południowej Afryce, aż wreszcie w *coctail room'ie* na Queen Mary przybyliśmy do Szkocji akurat w Wielką Sobotę 1943. Cóż za rozczarowanie, szaro, brudno, zimno, racjonowany chleb i margaryna.

Przydzielono nas do Ośrodka Wyszkolenia Sekcji Dyspozycyjnej Sztabu Naczelnego Wodza. Dopiero teraz sprawa ostatecznie się wyjaśniła. Ośrodek ten kierowany przez płk. Bernackiego przygotowywał łącznościowców dla A.K. Zaczęło się szkolenie. Morse, radiotechnika, minerka, gimnastyka, marszobiegi, instynktowne strzelanie, organizacja wywiadu i specjalne wykłady dla cenzusowców. W lipcu grupa nasza przeszła przeszkolenie spadochronowe najpierw w Largo House, a później w Ringway pod Manchester. Jeden z naszych kolegów, Piotr Romanowski, utonął w zabagnionym stawie.

Ze starszych plutonów, jak również z kadry, coraz to ktoś znikał. Wreszcie i nam powiedziano, że chętni mają się zgłaszać. Doszedłem do wniosku, że nie nadaję się do pracy konspiracyjnej, więc siedziałem cicho. Z naszej 60 zgłosiło się kilku, z czego trzech zostało zrzuconych do kraju. W styczniu cenzusowcy zostali mianowani podchorążymi. Do Ośrodka zaczęła się zakradać nuda i bezcelowość, właściwie nic się nie działo. Miałem parę zatargów z przełożonymi i to chyba zdecydowało, że w lipcu 1944 zostałem przeniesiony do Batalionu Łączności Sztabu Naczelnego Wodza. Był to nerw łączący A.K. z Rubensem.

W tym czasie istniały dwa ośrodki wojskowej łączności z krajem, we Włoszech koło Brindisi i pod Londynem w Barnes Lodge. Początkowo przysłuchiwałem się na drugich słuchawkach jak korespondencja z krajem wygląda. Wszystkie stacje w kraju nazywały się Wandy i miały swoje numery. Numery te sięgały setki, ale niektóre z nich były już dawno nieczynne. Posługiwały się one przeważnie aparatami wykonanymi przez Polskie Wojskowe Warsztaty Radiowe w Stanmore tzw. pipsztoki, które dawały moc do 15 watów i miały zakres częstotliwości od 2 do 8 Mc/sek. Myśmy pracowali na kilowatowych nadajnikach. Pipsztoki miały specyficzny dźwięk i wprawne ucho telegrafisty umiało odróżnić Wandę od każdej innej stacji. Była jeszcze jedna wspólna cecha dla całej tej sieci, zamiast nadawać na początku wołania vvv nadawano ti ti ti ta, ti ti ti ta, ti ti ti ta ti.

Niestety obie te cechy dopomagały w identyfikacji całej sieci. Słyszalność była przeważnie słaba. Gdzieś pod szumem, gwizdem i jazgotem silnych stacji piszczał cichutko pipsztok. Czasem słyszało się zupełnie wyraźnie, zależało to w dużej mierze od doboru częstotliwości. Praca była żmudna i wyczerpująca nerwowo, ale odpowiedzialna i dająca zadowolenie, co w wojsku rzadko się zdarzało.

Ci, którzy tu już sporo czasu siedzieli, twierdzili, że coś się święci, bo ruch telegramów zwiększył się znacznie. I rzeczywiście, wybuchło powstanie. Nas, nowicjuszów, posadzono w wozie przy dwóch odbiornikach, gdzie dzień i noc nasłuchiwaliśmy „Burzy". Na częstotliwości tej wściekle wyła maszyna niemiecka naśladująca rechot żaby. Nic i nic, „Burzy" nie słychać, a krajowi tak bardzo zależało na tym, żeby ich głos rozległ się na Zachodzie. Aż wreszcie usłyszeliśmy. Pomimo niesamowitych przeszkód wsłuchiwaliśmy się i notowaliśmy co się dało. „Burza" wyrażała się jasno i dobitnie nie bawiąc się w niedomówienia i nie szczędząc nikogo. Wskazywała ona na zdradzieckie ustosunkowanie się Rosji. Wypominała Anglii, że nie dotrzymuje swych zobowiązań i tak jak w 1939 pozostawiła Polskę na pastwę losu. Przypominała władzom polskim w Londynie, że ich obowiązkiem jest, nie licząc się z żadnymi względami, nie prosić, a żądać pomocy dla Warszawy. Najboleśniejszy chyba był apel do Brygady Spadochronowej. „Nie po to posłaliśmy wam sztandar, abyście teraz, gdy my tu giniemy, siedzieli tam bezczynnie". Słuchając „Burzy" odczuwało się bezdenną tragedię powstania. Osobiście odczuwałem to tym silniej, iż zdawałem sobie sprawę, że jest w tym pewien logiczny sens. Wszystkie siły zła i niemożliwości sprzysięgły się przeciwko powstaniu. Rosja postępowała zgodnie ze swą racją stanu. Alianci nie chcieli narażać się Rosji. Mikołajczyk teraz umył ręce, bo to przecież operacja wojskowa. Cóż mógł zrobić Sosnkowski, którego własny rząd bojkotował od dłuższego czasu. Brygada Spadochronowa, sądziłem, nie powinna lądować w Warszawie, bo to przecież samobójstwo, które nikomu nic nie da. Smutno było rozmyślać nad tym spacerując po parku Barnes Lodge.

Po kilku dniach zostałem przeniesiony na radiostację. Nazywała się Mewa. Korespondowało się tu jedynie z centralą pod Brindisi. Służba 24 godziny, w tym 15-20 godzin korespondencji, potem dwa dni wolne. Słyszalność była całkiem dobra, więc pracowało się wysokim tempem używając wyłącznie półautomatycznego klucza tzw. bug. Nie mogłem zrozumieć dlaczego nie zorganizowano wewnętrznej sieci łączności obejmującej wszystkie Wandy, dlaczego telegramy muszą wędrować od jednej Wandy przez Brindisi, Londyn do drugiej Wandy. Problem ten stał się wybitnie jaskrawy pod koniec powstania. Jedna dzielnica z drugą musiała się porozumiewać przez Londyn lub Brindisi! Kiedyś przez moje ręce przeszedł taki telegram w rekordowym tempie. Przez 20 minut licząc od czasu zakodowania przeszedł przez Brindisi, Londyn i dotarł z powrotem do kraju. Ale to

był krótki telegram największej pilności oznaczony OP. Tele-gramy drugiej pilności były oznaczone trzema iksami (1).

Chociaż to nie był jeszcze szczyt marzeń, nie korespon-dencja z krajem, to jednak praca ta dawała mi dużą satysfakcję. Nareszcie to paroletnie wystukiwanie na kluczu, to odbieranie prasy nadawanej przez Reutera, czy TASS nabrało sensu. QRK czy QTC z scuhej formułki stało się językiem, za pomocą którego można było się porozumieć, towarzysz z przeciwka mówił VE, tzn. zrozumiał. Trzeba było przyzwyczaić się nada-wać i odbierać z pamięci. Tu po prostu rozmawiało się, jedynie telegramy wpisywało się na blankiet. Nr., data, godz., iloś grup, a potem kolumny pięciocyfrowych liczb. Często mówion mi później, że przecież to musiało być nudne, bo nie wiadom było jaka jest treść telegramu. Wcale tak nie jest, telegrafist interesuje się głównie tym, żeby telegram jak najprędzej przeszed i żeby każda cyferka była prawdziwa, a co ona kryje to ni ważne.

Próbowano też szyfrów literowych, ale okazało się to nie praktyczne ze względu na słabą słyszalność.

Na całej tej sieci panowały wersalskie obyczaje. Tytułowan się OB co znaczy old boy, dziękowano TKS, przepraszano SR przesyłano uściśnienia i całusy 73/88. Na wykrzykniki i znak zapytania, które są najgorszą połajanką, można było sobie po zwolić jedynie na Mewie. Wobec kraju trzeba było być zaws grzecznym, za nietakty usuwano. Zasadniczo posługiwano si na tej sieci międzynarodowym kodem Q, co było rozsądne gdy utrudniało identyfikację, ponieważ większość korespondency nych stacji świata, między innymi angielskie, niemieckie i ro syjskie stacje, posługiwały się tymże samym kodem. W raz niemożności dogadania się polecano próbować polski regulami wojskowy, którego myśmy młodzi nie znali, w skrajnym wypa ku należało używać angielskiego. Polski był surowo zakazan ale z konieczności czasami się go użyło. Do sieci tej należa również wojskowe stacje tajne lub jawne w różnych krajach Ida w Bagdadzie, Tamara w Jerozolimie, Sara w Kairze, Tea w Ankarze, Stanisława w Szwecji, Aza w Paryżu, Flora i He culano gdzieś na półwyspie Iberyjskim, Barbara na Węgrzec jak również stacje przy dowództwach wielkich jednostek wo skowych, Szkot — 1 Korpus, Władek — 2 Korpus, Wojtek — 3 Korpus, Feliks — Brygada Spadochronowa. Istniała też fi cyjna stacja, Wanda 29, z którą pozorowano korespondencj Telegramy o treści jaką chciano by otrzymać z kraju, rzekon odbierano od tej Wandy. De facto były one komponowane Rubensie, a do Barnes Lodge docierały motocyklistą.

---

(1) „W owym czasie nie całkiem zdawałem sobie sprawę z trudno technicznych w zorganizowaniu wewnętrznej sieci krajowej używając samej aparatury — tzn. zakresu częstotliwości 2-8Mc/sek — co w koresp dencji z ośrodkami na Zachodzie".

W Barnes Lodge stacjonowała kompania radiotelegraficzna. Było tam 8 radiostacji, każda radiostacja miała 2 do 3 stanowiska, a na każdym stanowisku było po trzech telegrafistów. Zainstalowane tam były jedynie odbiorniki, kierunkowe anteny odbiorcze i dalekopis łączący nas z Rubensem. Nadajniki i anteny nadawcze, też kierunkowe, zainstalowane były w odległości kilku mil w Chipperfield. Tam specjalna ekipa stroiła nadajniki na telefoniczne żądanie telegrafistów. Nawiasem mówiąc na drugim końcu dalekopisu urzędował angielski anioł stróż i miał wgląd do wszystkich telegramów. Wobec tego telegramy, których treść chciano ukryć wysyłano gońcem na motocyklu. W Barnes Lodge było ciasno. Mewa, dajmy na to, znajdowała się w łazience. W pokoju obok jedno ze stanowisk utrzymywało łączność z Wandą 54, która znajdowała się w okolicy Łodzi i wykazywała wybitną ruchliwość. Po paru tygodniach powstania widać było, że Barnes Lodge długo w tym tempie nie wytrzyma. Telegrafiści mieli czerwone oczy i stali się wybitnie nerwowi. Jedną dobę pracowało się, drugą dobę trzeba było być w pogotowiu i często wzywano do pomocy, a dopiero trzecią dobę miało się wolną. I tak w kółko. W barakach nadawczych było jak w łaźni, stroiciele chodzili w kąpielówkach, bo lato było upalne, a nadajniki też grzały. Co gorsze sprzęt zaczął się wyczerpywać, nie można było nadążyć z naprawami. Coraz częściej zaczęło się zdarzać, że wszystkie nadajniki były w użyciu. Gdyby któryś z nich ,,nawalił'' należałoby przerwać korespondencję ze stacją w kraju. A to było niedopuszczalne. Na szczęście jeszcze w sierpniu ukończono nową centralę w Connigton pod Cambridge, która z miejsca przejęła część korespondencji wraz z telegrafistami.

Chociaż kompanią dowodził kapitan służby stałej, popularnie znany jako Sabin, nie było tam pobudek, capstrzyków, zbiórek i apeli. Jeść dawano bardzo dobrze. W ogóle warunki materialne w porównaniu ze Szkocją były wspaniałe. Również nie było zbytniego kontrolowania w godzinach służby. Opierano się tutaj w dużej mierze na zaufaniu i na wierze w dobrą wolę podwładnego. Telegrafista na służbie był panem sytuacji. Nawet szef oddziału szóstego płk. Utnik wchodził na radiostację na paluszkach i mówił szeptem. Jednej rzeczy należało unikać, a mianowicie spóźniania się na służbę. Za to karano surowo. W Barnes Lodge dominowała grupa przedwojennych zawodowych telegrafistów w stopniach sierżantów i plutonowych. Niestety, nie byli to ludzie zbyt sympatyczni, więc my, młodzi, trzymaliśmy się od nich z daleka. Dzięki polskiemu systemowi awansów zdarzało się, że szeregowiec spełniał tę samą funkcję co sierżant. Wśród oficerów, oprócz Sabina, zasługują na wzmiankę porucznik czasu wojny Antoni B. dowódca plutonu korespondencyjnego, a przed wojną znany telegrafista, oraz dowódca plutonu technicznego, późniejszy lektor Polish University College w Londynie, już nieżyjący, inżynier porucznik Feliks Doborzyński.

W początku 1945 zacząłem pracować z Wandami. Poziom telegrafistów w kraju był bardzo rozmaity od nowicjuszów, których tempo nie przekraczało 30 znaków na minutę, do telegrafistów wysokiej klasy. Za najlepszego uchodził Peter, jedyny posiadacz bugu w Polsce. Po Barnes Lodge krążyły opowieści o nieprzeciętnych telegrafistach, nie jestem jednak pewien ich dokładności. Gdzieś w nowogródzkim był punktualny i dobry operator, który raptem znikł i przez kilka miesięcy nie odzywał się. Wreszcie odpowiedział, ale nadawał okropnie. Pospieszył jednak z wyjaśnieniem, *SRI no hands legs only*. Pewno zrzutek, bo znał angielski. Potem znacznie się poprawił. Ciekaw jestem jak odbierał, chyba komuś dyktował. Krążyły pogłoski, że Polak, telegrafista w armii niemieckiej, pracował z nami na niemieckiej stacji przez kilka miesięcy. Ryzyko niesamowite, nic dziwnego, że go ,,nakryli''. Był też taki zrzutek, który po prostu zjawił się w domu w zachodniej Polsce, pozorując powrót z Rosji. Ożenił się, nauczył żonę telegrafii i pracowali na zmianę. Opowiadano o wypadku, kiedy telegrafista ze Wschodnich Kresów cofał się razem z Niemcami i co noc otwartym tekstem nadawał swe wrażenia. Gdzieś w centralnej Polsce znowu nawiązał kontakt z A.K. Znany jest wypadek oficera jugosłowiańskiego, który obsługiwał jedną z Wand i otwartym tekstem, łamaną polszczyzną opisywał wkraczanie bolszewików do Lwowa. Był też taki, który czasami kazał pozdrowić swego ojca generała w Londynie. Uważano to za szczyt głupoty.

Po dłuższym okresie czasu wspólnej pracy wywiązują się znajomości, spod suchych kropek wyziera indywidualność telegrafisty, jego wytrzymałość nerwowa, inteligencja, upór, lub łagodność charakteru. Ludzie zaczynają się odróżniać, przedstawiać się używając krótkich pseudonimów (ja nazywałem się ti ti ti, ti ti, ti), na odległość wytwarzają się przyjaźnie i animozje. Ale ta odległość jest pozorna, w czasie korespondencji wydaje się, że ten z przeciwka jest tuż, odczuwa się jego nastrój i temperament. Jakież to było bolesne kiedy ten w Polsce nie mógł mnie usłyszeć, a ja go słyszałem. Prosił, błagał i tak jakoś smutno nadawał. Ja tu odpowiadałem z zapałem i nadzieją, że a nuż on teraz usłyszy. Zdawałoby się, że wlałbym siebie w nadajnik, ale nic i nic. Aż wreszcie usłyszał, co za radość, kropki i kreski tańczą i te całkiem niezasłużone podziękowania, TKS, TKS. Kiedy indziej ten z Polski powiada, że zimno i musi się rozgrzać. I przeze mnie przeleciał mróz, a przecie siedzę w koszuli pali się piecyk elektryczny, stos kanapek i gorąca kawa. Kiedyś zdarzyła mi się chyba najgorsza rzecz. Odbierałem telegram, krótka przerwa, potem parokrotne ,,jestem zagrożony'' i koniec, cisza. Nasłuchiwałem długo, ale nie odezwał się ani wówczas, ani nigdy potem. Czułem się okropnie. Wydawało mi się, że współdziałałem w złapaniu biedaka. Właściwie to jak się siedziało ze słuchawkami na uszach to jedną nogą było się w Polsce.

Telegrafiści w Barnes Lodge byli tą wyjątkową grupą, która miała codzienny, osobisty kontakt z krajem. Toteż nic dziwnego, że wyczucie tragedii powstania było o wiele większe niż wśród większości Polaków w Anglii. Oburzenie z powodu braku pomocy wzrastało. W celu uspokojenia nastrojów Sabin wygaszał sprawozdania z zabiegów o pomoc dla Warszawy. Odbywało się to w sposób całkiem niewojskowy. Siedzieliśmy w świetlicy w wygodnych fotelach, a Sabin przemawiał. Powstanie powoli zamierało. Żeby o tym wiedzieć nie musieliśmy czytać komunikatów. Warszawskie Wandy znikały jedna po drugiej, a te, które zostały coraz mniej miały do powiedzenia. Po upadku powstania ilość korespondencji zaczęła maleć w szybkim tempie. Zapał gasł. Sprężystość organizacji rozluźniała się. Zdarzały się wypadki, że stacje ujawniały się przed władzami lubelskimi. Władze angielskie coraz niechętniej odnosiły się do korespondencji z krajem. Szczególnie wrogo byli nastawieni do kontaktów ze stacjami na terytorium zajętym przez Rosjan. Ale jakże można było nie odpowiadać stąd na wołania nieszczęśników, którym obowiązek, przyzwyczajenie, lub iskierka nadziei kazała zwracać się do Londynu. Mam nadzieję, że pomimo angielskiego zakazu, ostatnie wołanie ostatniej Wandy nie pozostało bez odpowiedzi. Ale to była już jesień 1945.

Zbigniew SIEMASZKO

Książka o Sokratesie

Adam Krokiewicz, profesor filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim, jest obecnie najlepszym w Polsce znawcą filozofii greckiej. Zanotujmy najpierw jego osiągnięcia w zakresie tłumaczeń pism starożytnych filozofów. Przełożył Lukrecjusza „De rerum natura" (1923), którego nie zastąpi przekład Edwarda Szymańskiego wydany w 1957 roku w ramach „Biblioteki Klasyków Filozofii". Krokiewicz dał przekład „Zarysów Pirrońskich" Sekstusa Empiricusa (1931), a w czasie okupacji dokonał przekładu „Ennead" Plotyna. Wiemy o tym tylko ze Sprawozdań Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, gdyż przekład nie doczekał się dotąd druku.

W okresie między dwoma wojnami Krokiewicz stał się znany nade wszystko jako badacz nauki Epikura, Stoików i Sceptyków. Jego rozprawy poświęcone różnym zagadnieniom filozofii epikurejskiej, drukowane w „Przeglądzie Filozoficznym" i „Kwartalniku Filozoficznym", uwieńczyła obszarna monografia „Nauka Epikura" (1930). Pisał jednocześnie o Sceptykach — Pirronie z Elidy, Tymonie z Fiuntu, Arkezylaosie i Karneadesie, o tzw. eklektykach w Akademii Platońskiej — Filonie z Laryssy i Antiochosie z Askalonu, wreszcie o tzw. indukcji stoickiej. Z filologicznej pomocy Krokiewicza korzystał Jan Łukasiewicz, gdy rewidował poglądy o logice Stoików.

Po wojnie Krokiewicz zajmował się Talesem, Heraklitem, Demokrytem. Ogłosił rozprawę „Studia orfickie", był współautorem książki „Epoka Peryklesa", w której zamieścił rozdział poświęcony Protagorasowi i Gorgiaszowi, pisał o mojrze Homera i „mniejszych sokratykach". W ten sposób stał się badaczem niezwykle wielostronnym, ogarniającym w ramach własnych prac źrodłowych niemal całokształt rozwoju greckiej myśli filozoficznej.

Obecnie Krokiewicz dał nam książkę o Sokratesie (1). yła ona gotowa w 1950 roku i wówczas wydawca podjął sta- nia o uzyskanie pozwolenia na druk, które otrzymał w 1957 ku.

Trudno zgadnąć, czym kierował się cenzor odmawiając lub hylając się od udzielenia pozwolenia. Czy uląkł się cienia czło- ieka, który nie uznawał bogów, uznawanych przez państwo? zy oparł się na opinii T. Krońskiego oskarżającego Sokratesa apologię ustroju kastowego, o irracjonalny i mistyczny agnos- cyzm oraz o przynależność do obozu arystokratycznego wal- ącego z postępem? (2). Jeżeli zawierzymy ,,Krótkiemu słowni- wi filozoficznemu'' wydanemu w Moskwie, Sokrates w pełni służył na wypicie cykuty. Nie tylko bowiem występował przeciwko materializmowi, wiedzy przyrodniczej i bezbożni- wu'', lecz wraz z gronem swych zwolenników, do których na- żał Platon, Krytiasz oraz ,,zdrajcy ojczyzny'' Alcybiades i Kse- font, prowadził walkę ,,polityczną i ideologiczną przeciw de- okracji ateńskiej'' (3). Krokiewicz wykazuje, że chociaż te rzuty nie były wymienione w skardze Anytosa, Lykona i Me- osa, sędziowie tak mogli rozumieć słowa oskarżenia o psu- u młodzieży przez Sokratesa. ,,Jego proces'', pisze Krokie- cz'' ,,miał mimo przeciwnych pozorów charakter wybitnie lityczny''. Lecz Krokiewicz nie pisał tych słów po to, by się Anytosem, Lykonem i Meletosem solidaryzować, jak czynią autorzy ,,Krótkiego słownika filozoficznego''. Jego zamie- eniem było dostarczenie wyjaśnienia, jak się to stać mogło, jeden z ,,niewątpliwie najniezwyklejszych ludzi, którzy kiedy- lwiek żyli na ziemi'' poniósł śmierć na skutek sądowego mor- rstwa.

Jak wiadomo, Sokrates niczego nie napisał, natomiast lite- tura o nim jest olbrzymia i wypełnia wiele półek w bibliote- ch. Pierwsza rzecz, jaka się rzuca w oczy przy czytaniu książki okiewicza, to brak całego aparatu erudycyjnego, prócz cytat tekstów klasycznych. Z wielu filologicznych i historycznych akomitości, które się Sokratesem zajmowały, wymieniony jest tekście bodaj tylko J. Burnet i A.E. Taylor. ,,Sokrates'' Kro- wicza jest całkowicie samodzielną próbą nakreślenia obrazu arożytnego mędrca, jaki wyłonił się w świadomości autora przestudiowaniu starożytnych źródeł.

Trudności, które Sokrates sprawia historykom, są znane. arożytność przekazała nam co najmniej trzy portrety Sokratesa między sobą różniące się, iż nie mogą być one jednocześnie awdziwe. Jeśli pominiemy portret z ,,Chmur'' Arystofanesa — niektórzy sądzą, w ,,Chmurach'' Sokrates spełnia podobną lę, jak Monsieur Jourdain lub Tartuffe w komediach Mo-

(1) *Sokrates.* Warszawa, Instytut Wydawniczy ,,Pax''. 1958. 187 stron.
(2) T. Kroński *Wykłady z historii filozofii starożytnej.* Warszawa, PWN. 55, str. 41-42.
(3) Str. 632 polskiego tłumaczenia.

lière'a — pozostają jeszcze Sokrates Ksenofonta i Sokrates Platona. Wybór między nimi jest trudny. Jeśli zawierzymy Ksenofontowi, stajemy przed zagadką: w jaki sposób Sokrates odegrać mógł tak doniosłą rolę w rozwoju myśli ludzkiej. Jeśli natomiast zaufamy Platonowi, zagadka przybiera postać pytania: czy człowiek podobny do platońskiego Sokratesa mógł kiedykolwiek kroczyć ulicami Aten. W ten sposób, mówiąc w wielkim skrócie, rozpoczęły się poszukiwania za historycznym Sokratesem. Kierowało nimi przekonanie, iż Sokrates historyczny musiał różnić się pod doniosłymi względami od portretu platońskiego i ksenofontowego.

„Sokrates" Krokiewicza jest jedną z takich prób, oparta na intuicyjnym wyczuciu wewnętrznej zgodności cech charakteru i umysłu przypisanych historycznemu Sokratesowi (podobną metodą posługiwał się Wilamowitz Moellendorf w swym wielkim dziele „Platon", lecz jego zadanie było bez porównania łatwiejsze). Siła przekonywująca takiej próby jest jednak zależna od tego, w jakiej mierze psychologiczny portret posiada oparcie w faktach, w tym co wiemy o życiu i poglądach Sokratesa. Pytanie, które z tych faktów są historycznie prawdziwe, pojawia się powtórnie i nie jest się go w stanie uniknąć. Nie uniknął go także Krokiewicz, chociaż nie informuje nas o tym, w jaki sposób się z nim uporał. Jest to poważny mankament książki. Czytając ją odczuwamy dotkliwie brak ustosunkowania się do źródeł, jasnego sformułowania zasady kierującej wyborem faktów, przyjęciem jednych a odrzuceniem drugich.

Notując ten mankament trzeba jednocześnie stwierdzić, że obraz Sokratesa naszkicowany jest w mistrzowski sposób. Sokrates jest mocno osadzony w czasach, w których żył i działał, jest współuczestnikiem wydarzeń historycznych i politycznych, nade wszystko zaś umysłowych i filozoficznych, jakie za jego sprawą osiągnęły punkt zwrotny. Sokrates oglądany na co dzień w świetle świadectw Arystofanesa i Ksenofonta na naszych oczach wszczyna kontrowersje i staje się ich przedmiotem. Rozumiemy świetnie, dlaczego tak różne krążyły o nim opinie i tak biegunowo różne wydawano o nim oceny, za życia i po śmierci. Jasną staje się rzeczą, jak do tego doszło, iż chociaż „Chmury" nie zdobyły pierwszej nagrody w 423 roku, jednak w dwadzieścia cztery lata później Anytos przekonał większość sędziów, iż Arystofanes trafnie osądził Sokratesa, a jego oskarżenie w „Chmurach" nie było czczym wymysłem. Sokrates staje się żywy, gdyż oglądamy go oczyma wielu świadków, życzliwych i nieżyczliwych, zaciętych wrogów i wiernych przyjaciół. Obraz Sokratesa jest wielowymiarowy, widzimy go na scenie życia „stereoskopowo".

Przykład życia i śmierci Sokratesa był jego największym dziełem. Lecz życie i śmierć Sokratesa były z kolei w dużej mierze dziełem jego umysłu. Pod tym względem w portrecie Sokratesa odnajdujemy rysy, które budzą sprzeciw. Podnie

le ten nade wszystko, kto jeśli chodzi o poglądy Sokratesa ufa bardziej Platonowi aniżeli Ksenofontowi. Krokiewicz zgadza się wprawdzie, że w dialogiach Platona jest ,,żeby tak powiedzieć, więcej samego mistrza''. Obraz Sokratesa dialektyka (rozdział (V) odbiega jednak znacznie od pierwowzoru, jakiego dostarczają sokratyczne dialogi platońskie. Nie ma w nim Sokratesa mistrza metody maieutycznej, nie ma w nim Sokratesa odkrywcy pojęć i formalnych relacji między nimi, nie ma w nim Sokratesa obrońcy podstaw moralności przeciw atakom Kalliklesa. ,,Kallikles'' spełnia tutaj jedynie funkcję symboliczną.

Sokrates dialektyk jest w książce Krokiewicza Sokratesem w znacznej mierze odintelektualizowanym. Wprawdzie Krokiewicz mówi o tym, iż dla Sokratesa ,,tylko pojęciowa wiedza może dać dostateczną gwarancję zgodnych z nią czynów'', lecz z tego stwierdzenia czyni on niewiele użytku. Jego uwaga jest skierowana na inne wątki, które mają uwolnić Sokratesa od ,,racjonalistycznego przesądu'', iż wystarczy posiadać wiedzę i myśleć sprawnie, by także żyć dobrze i szczęśliwie. Sokrates Krokiewicza nie popełnia błędów, z jakich przed dwustu laty słynął Abbé de Saint-Pierre i cała plejada pisarzy wczesnego francuskiego Oświecenia.

Jedną z najpewniejszych wiadomości o tym, czego nauczał Sokrates, jest jego paradoksalna dla nas definicja, iż cnota jest wiedzą. Sokrates sądził, pisał Arystoteles w swym niezrównanie zwięzłym języku, że każda cnota jest wiedzą. ,,To że ktoś posiada wiedzę sprawiedliwości i to że jest sprawiedliwy, zachodzi jednocześnie''. Krokiewicz wywodzi, iż wiedza którą miał na myśli Sokrates, nie jest wiedzą czysto pojęciową, lecz wiedzą etyczną stopioną w jedno z uczuciowością i wolą żywiołowo spragnioną ,,piękna i dobra''. Krokiewicz wyposaża nadto Sokratesa w przekonanie, iż nikt nie jest dobrowolnie zły i nieszczęśliwy, a ten zwrot wieloznaczny interpretuje w duchu bliskim intencji Jana Jakuba. Sokrates nie tyle uprawiał pojęciowe rozróżnienia i podejmował próby definiowania pojęć, co pobudzał innych do ,,uświadomionego myślenia'', które wieść miało do ,,dbałości o duszę''. Nauczyciel moralności brał w nim górę nad teoretykiem. Jego nauka wyrasta ze wspomnianego wyżej poglądu na człowieka, poglądu w gruncie rzeczy indeterministycznego, z szczególnej koncepcji wiedzy etycznej, z wiary w teleologiczny porządek świata, którego Sokrates był pierwszym przedstawicielem, oraz w opatrzność bogów.

Ten intelektualny portret Sokratesa popada w konflikt z tym co o Sokratesie wiemy na podstawie wiarygodnych źródeł. Nie ma dla niego uzasadnienia ani w pismach Platona i Ksenofonta, ani Arystotelesa. Jak można przypuścić, portret ten inspirowała myśl zespolenia w jedno sokratycznej definicji cnoty z platońską ideą filozoficznego Erosa z ,,Biesiady'' i ,,Faidrosa''. Lecz platoński Eros jest poetycką wizją pobudzoną i kierowaną teorią idei, tej ostatniej zaś Krokiewicz słusznie nie chce łączyć z osobą Sokratesa. Trudno jest także wówczas czynić z Sokratesa

pierwszego przedstawiciela teleologicznego poglądu na świat, gdyż uzasadnia to jedynie ,,Fedon''. Bardziej zgodne z naszą wiedzą o Sokratesie byłoby przypisanie mu przekonania, iż o strukturze świata nic pewnego nie wiemy. Sokrates uczynił człowieka przedmiotem swych badawczych poszukiwań z tej właśnie przyczyny, iż możemy zdobyć jakąś wiedzę o człowieku, podczas gdy świat pozostaje dla nas tajemnicą. Nie było bodaj w greckiej starożytności myśliciela, który był indeterministą. Wszyscy byli deterministami, a tylko różnili się w poglądach, co wyznacza ludzkie postępowanie. Sokrates był tym, który pierwszy i konsekwentnie głosił, iż prawdziwa wiedza o tym co dobre i złe może kierować życiem ludzkim. Głosił to w przeciwieństwie do ,,szerokich kół'', jak pisze Platon w ,,Protagorasie'', ,,które mają taki mniej więcej pogląd na wiedzę, że to nie jest w nas pierwiastek siły, to nie jest to, co nas prowadzi i co panuje i rządzi'' (tłumaczenie Witwickiego). Nieokiełzana moc czynów, o której pisze Krokiewicz, to pogląd pewnej grupy sofistów, którym przeciwstawiał się Sokrates ściągając na swą głowę gniew Nietzschego.

Trudno jest przeto uznać, by wyprawa Krokiewicza w poszukiwaniu historycznego Sokratesa była uwieńczona pełnym powodzeniem. Lecz jest to próba pod wieloma względami znakomita, bodaj pierwsza podjęta w tej skali w Polsce. Polemiczne komentarze nie mają na celu jej pomniejszenia (4).

,,Jak niezrozumiałe, jak chwiejne i mgliste są istoty, które dzielą z nami widok gwiazd i ciepło słońca'', pisał Conrad w ,,Lordzie Jimie''. A jednocześnie: jaką realność są w stanie osiągnąć, jeśli Sokrates nadal żyje wśród nas i sprawia, iż jego słowa obudzają emocje podobne do uczuć jego uczniów, o których pisze Platon w ,,Biesiadzie'', iż pod działaniem słów Sokratesa ,,dusza szarpała się i rwała jak niewolnik z kajdan się rwie''. Spór o historycznego Sokratesa trwać będzie nadal, książka Krokiewicza zajmie w nim trwałe miejsce. Albowiem na jej kartach Sokrates, ów mąż dzielny i sprawiedliwy, wyłania się z odległej krainy cieni, by zbierać wśród żyjących nowych uczniów.

Zbigniew JORDAN

---

(4) Korzystam z okazji, by sprostować drobne usterki. Teza rachunku zdań podana na str. 58 to prawo transpozycji, a nie *modus tollendo tollens*. Na str. 76 rozbicie symbolicznego wyrażenia na dwa wiersze druku utrudnia jego właściwe odczytanie (co zdarzyło się piszącemu te słowa). Jak się zdaje, rozumowanie fr. 3 Zenona przebiega według prawa dylematu destrukcyjnego w postaci CKCpqCpNqNp, a nie CCpqCCpNqNp.

„Encyklopedia" krajowa[(1)]

Od czasu wydania w Polsce ostatnich dzieł encyklopedycznych (Arcta, ,Książnicy-Atlas", Przeworskiego, Trzaski, Everta i Michalskiego) minęło lt dwadzieścia pięć. Jeśli doda się, że emigracyjna ,,Encyklopedia Podczna" (1955) dotarła do Kraju zaledwie w nielicznych egzemplarzach, ożna śmiało twierdzić, iż czytelnicy polscy od ćwierć wieku pozbawieni yli możliwości informowania się w czasach tak bogatych w zmiany wszelego rodzaju, przy pomocy polskiego leksykonu, opracowanego z myślą nich. Toteż świeżo wydana ,,Mała Encyklopedia Powszechna", o której dakcja sugeruje w przedmowie, że jest to dzieło ,,polskiego października" race zaczęte w 1956 — ukończone w 1957) została przyjęta entuzjastycznie, wyraziło się zgłoszeniem 180.000 abonentów, do czego wydawnictwo dożyło jeszcze 50.000 egzemplarzy poza subskrypcyjnych. Tak więc nakład a zasięg olbrzymi, a tym samym wpływ tego wydawnictwa na formowanie jęć i opinii czytelników przekroczy wszystkie dotychczasowe usiłowania tym kierunku.

Wstęp ,,od wydawnictwa" zaczyna się od słów: ,,Mała Encyklopedia WN jest pierwszą uniwersalną Encyklopedią, która się ukazuje w *Polsce udowej.* Wyznacza to *jej zadania i charakter*"... i dalej: ,,pragnęlibyśmy, y stała się ona *dobrym* źródłem informacji, jak również *dobrym* podręczm narzędziem umysłowej kultury szerokich rzesz" (podkreślenia nasze). tym szczerym i otwartym zapewnieniu, wiemy już jakie wydawnictwo nosi charakter i w jakim kierunku zmierza. Chodzi jedynie o metody jakość informacji.

Zgodnie z obowiązującymi w Polsce Ludowej zasadami, na czoło ysuwają się objętością artykuły o Marksie (str. 541), marksizmie (str. 542), olskiej Partii Robotniczej (str. 746), Polskiej Zjednoczonej Partii Robotczej (str. 746 do 747), materializmie (str. 545) itd. itd. Przyznać trzeba, prócz swej drobiazgowości, mają charakter mniej agitacyjny niż propagandowe hasła w ,,Słowniku Wyrazów Obcych", który pod redakcją Z. Ryewicza, wydano w Warszawie przed kilku laty.

Jeśli chodzi o uchwały XX-go Zjazdu Partii w Moskwie, to wytyczne go odbiły się na łamach Encyklopedii stwierdzeniem, że w ZSSR ,,zdemaowana została przez KCKPZR zbrodnicza działalność ministra spraw ewn. Berii i jego wspólników, dzięki czemu Partia mogła przystąpić do prawy szkód wyrządzonych przez działalność wymienionej grupy" r. 1112). A ,,polski październik" zaznaczył się stwierdzeniem, że ,,linia lityczna Partii, zwłaszcza 1949 do 1954 budziła rosnącą krytykę, która szczególnie ostrej formie, ujawniła się w r. 1956... PZPR, analizując pełnione błędy dokonała na VIII-ym plenum KC w październiku 1956 vrotu w polityce Partii" (str. 742). W konsekwencji jednego i drugiego lkrycia błędów, przy Stalinie mogła już Encyklopedia napisać, że: ,,auto-

(1) ,,Mała Encyklopedia Powszechna Państwowego Wydawnictwa aukowego". Warszawa 1959. Komitet redakcyjny: Bohdan Suchodolski, ed. nacz.), Adam Bromberg, Leon Marszałek, Bolesław Stachoń, Alfred Vindholz, Jan Wolański, Tadeusz Zabłudowski. Str. XV+1124+4 nlb+ blice ilustracyjne i mapy.

rytet S. w partii i narodzie przerodził się w specyficznych warunkach, w jakich znajdował się ZSRR w kult jego osoby... co doprowadziło do naruszeni leninowskich norm życia partyjnego i praworządności socjalistycznej". W biografii Mołotowa podkreślono, że „w r. 1957 został usunięty z wład Partii i rządu za działalność frakcyjną" (str. 580), a w Polsce Jakub Berma „uchwałą IX-go plenum KCPZPR usunięty z partii, jako ponoszący współ odpowiedzialność polityczną za wypaczenia w organach bezpieczeństw publicznego" (str. 83).

Krytyczne to nastawienie, zgodne z linią, przyjętą przez Chruszczow i stosowaną w rosyjskich wydawnictwach, nie wszędzie doprowadziło w Encyklopedii do samokrytyki i przyznania się do błędów. Oto co czytam na str. 407 pod hasłem *Katyń* : „miejscowość w okręgu smoleńskim RFSRR miejsce masowych grobów kilku tysięcy oficerów polskich, internowanyc od 1939 w ZSRR, *a wymordowanych przez hitlerowców po zajęciu tyc terenów*" !

Polityka Rosji Sowieckiej w świetle Encyklopedii przedstawia si następująco : „ZSRR dążył do ugruntowania pokoju i do powszechnego roz brojenia, przeciwstawiając się polityce zimnej wojny, prowadzonej prze Stany Zjednoczone Am. Płn., Anglię i Francję. Wyrazem konsekwentni prowadzonej pokojowej polityki zagranicznej ZSRR, *czołowego państw obozu socjalistycznego*, są inicjatywy ZSRR, dotyczące m.in. międzynarodo wych porozumień w sprawie zaprzestania doświadczeń z bronią jądrową ustanowienia skutecznego systemu kontroli zbrojeń oraz w sprawie zapobie żenia nagłej napaści" (str. 1112).

Natomiast na str. 909 czytamy, że „Stany Zjednoczone zmierza do narzucenia światu swej dominacji; ekspansjonistyczna polityka ich zna duje wyraz w tzw. doktrynie Trumana i planie Marshalla; prowadząc po litykę, skierowaną przeciw ZSRR, Chińskiej Republice Ludowej i całem obozowi socjalistycznemu; polityka prowadzona jest w dalszym ciągu z pozyc siły. St. Zjedn. konsekwentnie odrzucają propozycje rozbrojeniowe ZSRF popierają remilitaryzację NRF, usiłują rozszerzyć swe wpływy na Bliski i Środkowym Wschodzie, dążąc do stłumienia ruchów narodowo-wyzwole czych w krajach arabskich".

Historia Polski, zwłaszcza rozbiory, przedstawione są idyllicznie : „P klęsce konfederacji barskiej nastąpił pierwszy rozbiór Polski w 1772 międz Rosję, Prusy i Austrię" (str. 738); nastąpiły reformy, które „obali interwencja rosyjska, konfederacja targowicka i wojna 1792, doprowadzaj do drugiego rozbioru 1793 ; insurekcja kościuszkowska i próba opar walki z zaborcami o szerszą podstawę społeczną mieszczan i chłopów z kończyła się klęską i trzecim rozbiorem w 1795" (str. 738). Odrodzen Polski w r. 1918 odbyło się przedziwnie : „dławiąc ruch rewolucyjny rzą burżuazyjne utrzymały i skonsolidowały swą władzę" (str. 740). „Powsta państwo jako burżuazyjna Rzplta parlamentarno-demokratyczna... terror p lityczny wywoływał raz po raz ciężkie kryzysy". — W r. 1939 „rz polski odrzucił propozycje ZSRR wspólnej gwarancji ZSRR, Anglii i Fran dla wszystkich krajów bałtyckich, zagrożonych agresją hitlerowską... 1-l września 1939 wojska hitlerowskie wkroczyły do Polski". O pakcie R bentrop — Mołotow nie ma tu ani słowa. Również przy hasłach, dotyczący Ribbentropa „jednego z głównych zbrodniarzy wojennych" i Mołotow (podobnego tytułu przez delikatność mu nie dodano) nie ma o tym fak żadnej wzmianki. Dalsze losy wojny przedstawiają się tak : „17-go wrześ wojska radzieckie przekroczyły granicę i zajęły obszary Ukrainy i Białor zachodniej" (nie Polski !)... „1-go sierpnia 1944 wybuchło w Warszaw powstanie przeciw Niemcom, politycznie skierowane przeciw PKW i ZSRR"... „w styczniu 1945 Warszawa została *wyzwolona*"... konferencja w Poczdamie uchwaliła że Ziemie na wschód od Odry i N

chodzą w skład Polski... do ZSRR weszły dawne ziemie zachodnie Jkrainy i Białorusi (!); powstało odrodzone Państwo Polskie, zmienione swoim charakterze społecznym, jako państwo ludowe, zmierzające do sojalizmu" (str. 741). Że państwo to wyszło z II-ej wojny światowej pomniejzone terytorialnie, tego cyfry statystyczne, dotyczące rozmiarów Polski nie odają. Pod hasłem „Ziemie Odzyskane", które „przy poparciu ZSRR owróciły w 1945 do Polski" (str. 1102) zaznaczono wprawdzie, że w ten posób przyłączono 102.630 klm. kw., ale wobec braku hasła „Ziemie Vschodnie" (oderwane) znikąd dowiedzieć się nie można, że Polska racila tam 179.900 klm. kw., a w ogólnym wyniku zajmuje terytorium 76.690 klm. kw. mniejsze niż przed r. 1939. Hasło „Jałta", gdzie o tych ranicach mówiono, nic bliżej nie podaje o tym nowym podziale Polski.

„Władzę w Polsce Ludowej sprawuje lud przez swych przedstawicieli, ybieranych do Sejmu i Rad Narodowych" (str. 736). O roli nadrzędnej artii komunistycznej i jej rządach faktycznych, nigdzie nic jasno w Encylopedii wyczytać nie można, a schemat „systemu organów państwowych RL", podany na str. 737 nie wskazuje na żadną ich zależność od partii.)dgrywa ona jednak, jak wiadomo, główną rolę w państwie, co zresztą yraża się też kultem specjalnym dla jej członków w Encyklopedii. Są więc niej zamieszczeni nie tylko czołowi przedstawiciele jak Bierut i Gomułka, cz i wszyscy inni, jak Kliszko, Ochab, Borejsza, Zawadzki, Loga-Soiński, „Polak" Rokossowski i in., wszyscy oni rozmiarami notatek i dokładością wyszczególnienia zasług i stanowisk zrównani są z innymi postaiami historycznymi. Byłoby jednak niesprawiedliwością, gdyby się powieziało, że Encyklopedia pomija przedwojennych polityków polskich, jakolwiek dodaje do nich „charakterystyki". I tak J. Piłsudski „prowadził ządy faszyzującej dyktatury wojskowej... poparty przez Lewiatana i obszarików ; prześladował bezwzględnie ruch rewolucyjny, polityce zagranicznej adał kierunek wyraźnie antyradziecki, szukając od r. 1934 zbliżenia z hitrowskimi Niemcami". Józef Beck „realizował politykę współpracy z Niemcami hitlerowskimi" a polityka jego „doprowadziła do katastrofy wrześniowej". Sławoj Składkowski „bezwzględny i bezkrytyczny wykoawca rozkazów Piłsudskiego". Bez dodatków specjalnych są : Ign. Mośicki, St. Wojciechowski, Prystor, Sławek i inni. Ponad swoje zasługi dotał się między nich Kostek Biernacki, o którym dowiadujemy się, że „po nternowaniu w 1939 do 1949 w Rumunii, przekazany władzom polskim, kazany i więziony zmarł w 1957 r.".

Literatura polska na ogół przedstawiona jest z względną obiektywnocią. Zarówno jej zarys ogólny (str. 742 do 743) jak i poszczególne biograiczne notatki nie nasuwają większych zastrzeżeń, chociaż nie wiadomo czy rzeoczeniu tylko, czy innym względom należy przypisać pewne opuszczenia utorów, głównie kresowych jak np. Fr. Rawita Gawroński, Ed. Paszkowki, Antoni i Michał Rolle, Kaz. Zdziechowski i inni. W ogóle kwestia vyboru tych, czy innych nazwisk jest zawsze rzeczą sporną i dlatego bez pecjalnych zarzutów i wypomnień notujemy tu kilka pominięć : Stefan Godlewski, M. Smolarski, J.E. Płomieński, St. Helsztyński, F. Przysiecki, W. Noskowski, R. Starzewski, St. Pieńkowski, W. Bunikiewicz, E. Czealski, J. German i in. Dla ścisłości : Adolf Nowaczyński to prawdziwe azwisko, a nie pseudonim Neuwerta, jak podano na str. 632.

Stosunek Encyklopedii do emigracji powojennej określony jest krótko od hasłem „Polonia Zagraniczna" (str. 729) : „składa się ona z obywateli tarej emigracji zarobkowej i nowej emigracji powojennej, która z biegiem zasu przekształca się w emigrację zarobkową". Polityczna rola emigracji, ej charakterystyka, działalność i wysiłki nie znalazły ani odrobiny miejsca. Trzeba dopiero mozolnie wyszukiwać wśród nazwisk ślady jej istnienia.

A więc gen. Anders, który „armię polską organizowaną w ZSRR wbrew paktowi z r. 1942 wyprowadził z ZSRR na Bliski Wschód; jeden z przywódców najbardziej reakcyjnych kół emigracyjnych". Ks. Arcyb. J. Gawlina „jeden z przywódców reakcyjnego odłamu emigracji". Tadeusz Bielecki „od r. 1939 na emigracji, gdzie reprezentuje koła skrajnie reakcyjne". Bór Komorowski „bez uzgodnienia z dowództwem radzieckim (!) i aliantami zachodnimi wydał rozkaz powstania w Warszawie". Arciszewski Tomasz „premier emigracyjnego „rządu" polskiego". (Nic o proteście tego rządu z powodu Jałty !). Ciołkosz „rzecznik wrogiej polityki wobec Polski Ludowej". Mikołajczyk Stanisław „zbiegł zagranicę, gdzie prowadzi oszczerczą kampanię przeciw Polsce Ludowej". Zaleski August, „wybrany (!) przez niektóre emigracyjne ugrupowania polityczne, prezydentem"". Wł. Raczkiewicz, J. Kwapiński, A. Pragier, Edward Raczyński wyszli obronną ręką bez komentarzy. Rogera Raczyńskiego, ambasadora w Rumunii i Grecji w czasie wojny, Kajetana Morawskiego oraz J. Łukasiewicza, ambasadorów w Paryżu szukamy nadaremnie.

Nauka, literatura i publicystyka emigracyjna są właściwie poza nawiasem zainteresowań Encyklopedii. „Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu", założonego w r. 1832 przez J.U. Niemcewicza, L. Platera i Ks. Adama Czartoryskiego, a także „Tow. Naukowego na Obczyźnie", założonego w r. 1946 w Londynie, nikt tu nie odszuka. O nestorze historyków prof. St. Kościałkowskim głucho. Nie ma świetnego znawcy Rosji prof. H. Paszkiewicza, prof. W. Wielhorskiego, historyka L. Koczego, językoznawcy St. Westfala, romanisty W. Folkierskiego, prawnika i ekonomisty prof. T. Brzeskiego, historyka i dyr. Biblioteki Polskiej w Paryżu Franciszka Pułaskiego, historyka Cz. Chowańca jak również W. Wasiutyńskiego, obu Bronarskich, obu Zbyszewskich, J. Mieroszewskiego, J. Giertycha i innych ; nazwiska takich uczonych jak filozof, na miarę europejską, Ojciec I. Bocheński, filozof Paweł Kucharski, ekonomista H. Wroński, ekonomista prof. J. Marczewski i inni — nie znane są redaktorom Encyklopedii. Z literaturą współczesną nie lepiej : J. Łobodowski, Ant. Bogusławski, M. Hemar, Tadeusz Nowakowski, Maria Czapska, Czesław Straszewicz, Józef Mackiewicz, Jerzy Stempowski, Tymon Terlecki, Tadeusz Sułkowski, Gustaw Herling-Grudziński, Jan Bielatowicz, Maria Danilewiczowa nie zasłużyli wg. Encyklopedii na bliższą uwagę. Czesław Miłosz i Z. Nowakowski napiętnowani jako „przeciwnicy Polski Ludowej". Przy Miłoszu opuszczono także tytuł jego zasadniczej książki „Zniewolony umysł". Tak samo Czapskiemu odjęto autorstwo „Na nieludzkiej ziemi".

Z czasopism emigracyjnych tylko „Wiadomości" i ich redaktor M. Grydzewski mają osobne notatki, natomiast „Kultura" została ukryta w biografiach J. Czapskiego i W. Gombrowicza, którzy w niej współpracują.

Streszczając nasze uwagi z pobieżnego przejrzenia Małej Encyklopedii stwierdzić musimy, że pod względem zabarwienia ideologicznego jest to wydawnictwo opracowane według wzorów marksistowskich, które jednak chce nadać sobie pozory pewnej bezstronności. Metodą jego jest przemilczanie rzeczy i spraw drażliwych dla cenzury urzędowej, względnie opinii publicznej w Polsce. Prowadzi ono politykę dyskryminacji osób szkodliwych zdaniem redakcji dla reżymu, a więc pośrednio jest wykonawcą jego zleceń. Duża ilość haseł z zakresu techniki, medycyny, fizyki, matematyki etc., nie zawsze zresztą trafnie i jasno objaśnionych, jest dymną zasłoną dla celów politycznych wydawnictwa, które zresztą określone zostały w własnych słowach redakcji, cytowanych na wstępie niniejszej notatki.

Nabywcę ma znęcić bogata szata graficzna, wzorowana na „Dictionnaire usuel Quillet-Flammarion".

Z.M.W.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Ukazała się nakładem „Kultury" książka Tadeusza Katelbacha pt. „Rok złych wróżb", w której — że to miło wspomnieć grzechy młodości — nie bez westchnienia przeczytałem i o sobie. Bowiem są w niej wzmianki o konspiracyjnej działalności polskich lotników w owym nieszczęsnym r. 1943.

Nie zamierzam wojować z legendami, które krążą na ten temat, bo próżno by np. przekonać p. Strumph-Wojtkiewicza, że polscy lotnicy nie dybali na życie gen. Sikorskiego, ale zważywszy kto jest Autorem i kto Wydawcą „Roku złych wróżb", a zwłaszcza, że książka jest poświęcona śp. Felkowi Lechnickiemu, który był moim przyjacielem, chciałbym poczynić pewne uwagi na jej marginesie.

Zacznę od tej, która wydaje mi się bardzo ważna, bo dotyczy charakterystyki moralnej „lotniczego podziemia". Mianowicie czytając, że w lotnictwie działała „junta" i że do niej należeli oficerowie od porucznika do majora, trudno nie pomyśleć, że było to dość typowe sprzysiężenie młodych i ambitnych oficerów, którzy służąc takim czy innym górnym celom, nie zasypiają gruszek w popiele, gdy wreszcie nadejdzie sposobność zagarnięcia władzy.

Było inaczej. Nie wińmy jednak Autora, że nie wie jak naprawdę było, skoro i gen. Sosnkowski też nie wiedział, o czym choćby świadczy fragment jego przemówienia do lotników w dn. 23 sierpnia 43 r., który tu zacytuję: ...Uprzedzam ponadto, że będąc wierny hasłu odmłodzenia Sił Zbrojnych, nigdy nie wydam ani Wojska, ani Lotnictwa, na niebezpieczeństwo rządów jakiejś grupy czy junty, dążącej do zaspokojenia swoich własnych, najszlachetniejszych choćby ambicji". (SKRZYDŁA, r. IV, nr. 19/470).

Czy rzeczywiście te obawy przed rządami „junty" były uzasadnione?

Myślę, że nie, a to z uwagi tak na terenowe podstawy konspiracji lotników, jak i postawę tych, którzy by mogli w danym wypadku po władzę sięgać, to jest oficerów zawodowych formalnie, lub faktem współdziałania, związanych z konspiracją. Było ich zresztą niewielu. Podstawę konspiracji stanowiły kółka młodzieży, którą wojna ubrała w mundury lotnicze a przeważnie i odznaki personelu latającego. Wprawdzie były niezależnie od tego ogniska konspiracyjne oficerów zawodowych, ale gdy z początkiem r. 43 zarysowała się pewna jednolitość lotniczego „podziemia", postawa całości przypominała raczej niepodległościowe związki młodzieży, niż juntę oficerską.

Mianowany podporucznikiem dopiero 1 stycznia r. 43, nie mogłem mieć wiele do czynienia z „zawodowo-oficerską" częścią konspiracji, ale przecież nie obca była mi jej postawa. Tyle powiem, że nigdy w życiu nie spotkałem środowiska tak dalekiego wyrachowaniu a zarazem o tak wielkim poczuciu odpowiedzialności moralnej. Każdy z nich przeżywał dramatyczny konflikt między powinnością żołnierską a patriotyczną. Rozumiejąc, że stoją wobec nakazu historii, nie łatwo jej przyznawali władzę dyspensowania. Nie mogąc

wobec siebie samych ocalić ideału żołnierskości, widzieli ocalenie swoich „białych pióropuszy" w poczuciu, że dają wszystko, nic wzamian nie oczekując.

Wprawdzie tempora mutantur, ale w chwili gdy stanowisko naczelnego wodza objął gen. Sosnkowski taka właśnie postawa przesądziła o stosunku konspiratorów do stanowisk, które mogliby objąć. Białopióropuszowe względy sprawiły, że nawet te stanowiska, o których wspomina Autor, a które po prostu pchały się im do rąk, nie zostały „zagarnięte" przez „juntę", ale na niektóre z nich zostali wysunięci ludzie, którzy z konspiracją nic, albo prawie nic, nie mieli do czynienia.

Nie chodziło więc wcale o rządy „junty", ale chodziło, bo musiało chodzić, żeby w lotnictwie znaleźli się właściwi ludzie na właściwych stanowiskach. Przede wszystkim dotyczyło to osoby dowódcy lotnictwa.

Naczelny Wódz powziął myśl ustanowienia d-cy lotnictwa drogą wyborów. Nie chcę tej myśli krytykować, ale to pewne, że wychowanie naszych oficerów zawodowych nie pasowało do wybieralności dowódców. Jako kandydat zjawił się p. płk M. Iżycki. Co tu gadać — kompan jak złoto, przyjaciel wszystkich no i... p. radcy Rettingera. Zwano go popularnie „Maciusiem", a „Maciusia" wszyscy przecie lubili, jak było takiemu coś odmówić. Został wybrany i mianowany generałem. Ale lotnicy, jak to lotnicy — wnet zaczęły się utyskiwania, że to niby dawniej dowodzenie choć było na deszczu, ale przecie nie pod rynną. No i zrodziły się żale do gen. Sosnkowskiego, że to on tak nas „Maciusiem" uweselił.

Tak ja widzę sprawę tych żalów, ale inaczej widział ją Autor. To jak było u nas, po prostu uchodziło uwagi wobec boju toczonego przez śp. Doboszyńskiego i Łukasiewicza o ich Utnika, że już przemilczę dzielność legionowych wiarusów. Tymczasem konspiracja lotników zachowywała się akurat tak jak ongi listopadowi belwederczycy. I nie dziwota, bo była to przede wszystkim konspiracja młodzieżowa, nie zaś „oficerska junta".

Gdy się mówi o sprawach tak zakulisowych, trudno nie zgorszyć tych, którzy za kulisy nigdy nie zaglądali. Tu więc wtrącę, że w danym wypadku gen. Sosnkowski, nolens volens, musiał się liczyć z tym co zastał i ani on, ani nikt na jego miejscu nie mógłby sobie pozwolić na rozwiązania uproszczone.

Teraz o sprawach bardziej mnie dotyczących.

Myli się Autor, że gen. Modelski częstował mnie krzesłem w Radzie Narodowej. Owszem, spotykałem się z takimi propozycjami ze strony innych osób, ale nikt nie chciał mnie w ten sposób do czegoś pozyskać. Bo nim się połapał co w trawie piszczy, gen. Sikorski był dla mnie czymś w rodzaju Bolesława Chrobrego z czytanki dla przedszkola. Zresztą i później nigdy nie odsądzałem go od czci i wiary, choć trzeba było mówić o nim gorzkie prawdy i zwalczać jego dyktaturę. A dziś, choć nadal widzę jego wady i błędy, jest w moich oczach postacią bynajmniej nie tuzinkową i... bardzo tragiczną.

Czy „Łańcuszek dobrych przyjaciół" miał koneksje z masonerią ? Licho to wie, tedy nie będę przeczył autorowi. Tylko o czym to w tamtych czasach nie można było tego samego powiedzieć ? W rządzie, w Radzie Narodowej, w sztabach, masony katolikowały i vice versa, ani kto wiedział gdzie koniec prałata a początek brata, może i w „łańcuszku" byli jacy masoni, mnie się nikt kielnią nie chwalił.

„Łańcuszek" był rzeczywiście pro-rządowy i bliski gen. Modelskiemu, ale cóż stąd ? Że to niby konspirowanie „sikorszczyków" usprawiedliwia rozrabianie w wojsku „na odwyrtkę ?" Ja się konspirowaniem w wojsku „sikorszczyków" nie myślę usprawiedliwiać. Pisząc anno Domini 1959, ten list z Anglii do „Kultury" wydawanej w Paryżu, mogę spokojnie uzasadnienie swego postępowania pozostawić geografii i historii.

Muszę tu podkreślić, że „łańcuszek" niemało się zasłużył przy ewakuacji lotników z Rumunii, a jego założycielem był oficer bardzo ideowy. Choć nasze drogi się rozeszły, przecież nie bez wyrzutów sumienia w stosunku do niego osobiście, myślę o tym, jak to dziwnym zrządzeniem losów „łańcuszek" niemało dopomógł do powstawania zawiązków, że tak powiem — innej parafiii. To samo zresztą dotyczy śp. prof. Strońskiego, choć to on się pewnie w niebie cieszy, że jego resort, dzięki chwilowym rozdwojeniom jaźni, w maleńkiej mierze spełniał swoje zadania. Chyba niesłusznie Autor przypuszcza, że dymisja Profesora ze stanowisko ministra miała jakikolwiek związek z wydawaniem na jego łonie tajnych publikacji. Gdy na krótko przed tragicznym wypadkiem gen. Sikorskiego zostałem podejrzany o udział w ich redagowaniu, prowadzący dochodzenia nie mieli najmniejszego pojęcia, że po części były to publikacje tak poważnej firmy wydawniczej jak Ministerstwo Informacji i Dokumentacji. Nie mam powodu przypuszczać, że ta nieświadomość była aktem kurtuazji, bo w tym właśnie czasie agenci kontrwywiadu lotnictwa, a ten, mówiąc nawiasem, miał już nowego szefa, otrzymali polecenia puszczania w obieg szeptanych wieści, że jesteśmy po prostu dywersantami niemieckimi... Wprawdzie tego rodzaju szpigle nie były już nowością, ale przecież nie robiło się ich komuś kogo chciano przyhołubić. I choć rzeczywiście rozmawiał p. Romer z jednym z nas, postawię znak zapytania zarówno nad sformułowaniem notatki Autora, która podobno dotyczy tej to rozmowy, jak i nad praktycznym jej znaczeniem. Niemniej gdyby śp. Generał podjął zdecydowaną obronę praw Polski, to choć do zagrożenia ich sam się przyczynił, skończyłoby się z „podziemiem" w wojsku, bo jego siłą był patriotyzm młodego pokolenia.

Książka o charakterze „notatnika na gorąco" nie może być protokólarnie ścisła a tym bardziej od jej Autora nie można wymagać wszechwiedzy i to w sprawach, o których mało kto coś wie. Dlatego mimo pewnych nieścisłości można szczerze „Kulturze" pogratulować „Roku złych wróżb". Tadeusz Katelbach rezerwuje sobie w tym niewesołym czasie rolę jagniątka, ale trzeba przyznać, że jagniątka, które ma uszy do słuchania, a oczy do widzenia. Chociaż z oczami bywa gorzej, bo wspominając „ambitną" koleżankę, która miała rączki przyłożyć do nadprogramowej działalności resortu prof. Strońskiego, ani wspomniał jak wielką ona była ozdobą tego — żal się Boże — Stratonu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Stanisław SĘP-SZARZYŃSKI

◆

Paryż, kwiecień 1959.

Drogi Jerzy !

Żałuję, że nie ma u nas dotąd nagrody dla „liberalnego redaktora". Oddałbym kreskę na Ciebie. Dochodzę do wniosku, że choć jest wielu kandydatów, Ty odznaczasz się największym szacunkiem dla cudzej myśli, cudzych poglądów, cudzego stylu. Ty też jedyny starasz się do Twych współpracowników podchodzić z zachętą, z pochwałą, a nie tylko z „wygoworem", z pretensjami, z ołówkiem cenzora, z czepianiem się purysty, z impertynencjami pracodawcy (nie chlebodawcy, bo na ten chleb nie staje). Gdy Korfanty kupił „Rzeczpospolitą" Strońskiego w 1925 r. i zaczął się z tytułu właściciela, czy wydawcy, czy administratora szarogęsić w redakcji, Stroński i wszyscy jego współpracownicy „Rzeczpospolitą" opuścili, założyli „War-

szawiankę". Nowa redakcja, wyznaczona przez Korfantego, była bojkoto-wana, a kierownik jej nigdy już później — w swej zmiennej i zygzatowatej karierze — nie cieszył się ani mirem, ani uznaniem świata dziennikarskiego. Polska dowiodła wówczas, że na metody rekinów prasowych, Hearstów i Beaverbrooków, nie było w niej miejsca. Dzisiaj to się gruntownie zmieniło. Pisarz, dziennikarz, publicysta jest niczym, a nie tylko redaktorzy, ale nawet administratorzy wydawnictw roją sobie, że tylko oni mają uprawnienia, że tworzą rodzaj Olimpu, z którego wyżyn wolno im ciskać nie tylko ekskluzywy, ale i bezkarne obelgi pod adresem plebsu ludzi pióra.

W moim przekonaniu, masz do spełnienia drugie ważkie zadanie. Nasze dzienniki i wydawnictwa nie miały i nie mają ani w Polsce ani na emigracji działu „Listów do Redakcji" na poziomie. Innymi słowy działu polemicznego. Bez niego prasa, piśmiennictwo istnieć nie mogą, są mańkutem.

Polemiki muszą być ostre. Ale kurtuazyjne. Można zwalczać poglądy. Można zwalczać osoby. Ale trzeba zachowywać dobre maniery. Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli moi przeciwnicy wołają: „Zb. trzeba skazać na karę śmierci". *C'est une opinion*. Natomiast powiedzenie, że „Zb. bredzi" nie jest opinią, nie jest argumentem, jest tylko przejawem złego wychowania. Nie chodzi o mnie. Chodzi o nasz fach. Każda korporacja może się utrzymać, może zachować pewien *standing* tylko o ile w stosunkach między sobą zachowuje pewne poprawne formy. Ta właśnie myśl jest u podstawy śmiesznej, głupiej, dziecinnej, ale potrzebnej instytucji: protokółu dyplomatycznego. Ta konieczność zachowania pewnych zewnętrznych form współżycia jest jedynym uzasadnieniem skądinąd tak szkodliwego i wyjawiającego snobizmu. Gdyby dyplomaci zaczęli ogłaszać w pismach, co myślą o swych kolegach, to by wszystkie stosunki dyplomatyczne były zerwane: właśnie te śliczne „niepodległe" państwa arabskie dają nam przykład tych barbarzyńskich zwyczajów: już wszyscy się tam pożarli, Nasser z Burguibą, Nasser z Kassemem etc. etc.

Oczywiście można pójść dalej na drodze do liberalizmu: Czapski mi właśnie przypomina, że Boy kiedyś pisał: za mojej młodości za wzmiankę „X. mija się z prawdą" pojedynek był murowany, dzisiaj, gdy w rannej gazecie nie czytam „Boy jest pornografem", nie smakuje mi ranna kawa" — Boy — to wielki autorytet. Mimo wszystko wolę trochę faryzeuszowskie uprzejmości. Bo zastąpienie polemik wymyślaniem degraduje cały klas dziennikarski w oczach trzecich: publicysta ranżuje dzisiaj dużo niżej, niż za czasów Estreichera, Rosnera, Koskowskiego, Srokowskiego, Strońskiego, Erenberga, Mackiewicza, Matuszewskiego. Czas najwyższy prawdziwą hierarchię przywrócić, grafomanów porozstawiać po kątach, a wydawcom przypomnieć, że jeżeli bez nich pisarze nie mają gdzie pisać, to bez piszących wydawcy nie mają co drukować. Jedni i drudzy są na siebie skazani, ale pozycja wydawców jest na dłuższą metę słabsza od pozycji piszących.

Dłoń ściskam.

W. A. ZBYSZEWSKI

◆

Londyn, w marcu 1959

Szanowny Panie Redaktorze,

Jeden z publicystów emigracyjnych, którego artykuły drukuje „Kultura" i którego nazwisko jest na pewno lepiej znane panu Gombrowiczowi aniżeli moje, powiedział mi po pojawieniu się moich uwag na temat Gombrowicza w „Kulturze", że nie należy kierować pod jego adresem słów najlżej-

krytyki, albowiem nie rozumie on sztuki polemicznej. Inny publicysta emigracyjny, którego książki pojawiają się w Bibliotece „Kultury", napisał do mnie list, w którym wyraził szczere zadowolenie, że nareszcie ktoś miał odwagę powiedzieć kilka śmielszych słów o samochwalstwie Gombrowicza. Chociaż Gombrowicz nie zna sztuki polemiki, co udowodnił, jak sądzę, swoją repliką na moje uwagi, to jednak nie żałuję, że zabrałem głos w tej drażniącej wiele osób materii.

List Gombrowicza, pełen niewybrednych chwytów, insynuacyj, mizdrzenia się i samochwalstwa graniczącego z patologią, pachnie najgłębszym Radomiem albo Sosnowcem. Gombrowicz stara się wytłumaczyć, że jego rzeczy nie podobają się mnie, ale podobają się Miłoszowi. Miłosz jest zbyt wytrawnym krytykiem i zbyt dobrze zna literaturę europejską, ażeby opierał swoje sądy na swoich *likes and dislikes*. Miał on na pewno ważniejsze powody dla wysokiej oceny twórczości Gombrowicza, aniżeli tylko własne upodobania: podobnie i ja — chociaż o tyle skromniejszy w randze pisarskiej od Miłosza — starałem się przedstawić swój pogląd nie w oparciu o moje widzi mi się czy „podoba się" ale o dwa czynniki, którymi stale kierowałem się w moich ocenach literackich: walorami artystycznymi, uczuciowymi i myślowymi danego utworu oraz uwzględniając tło zarówno literatury polskiej jak i obcej. Te zasady wyniosłem ze szkoły takich badaczy literatury angielskiej i francuskiej jak Roman Dyboski i Stanisław Wędkiewicz, którzy rozporządzali świetną znajomością literatur europejskich. Uczyłem się ich nieco również od wczesnych lat u własnego ojca, Tadeusza Grabowskiego, profesora literatury francuskiej a potem polskiej na uniwersytecie Jagiellońskim a następnie na uniwersytecie poznańskim. Od chwili kiedy w r. 1924 zamieściłem pierwszy szkic krytyczny o R.L. Stevensonie na łamach „Przeglądu Warszawskiego", redagowanego przez Tretera, poprzez pracę o Conradzie, która stanowiła pierwsze studium polskie o tym autorze, dalej przez książkę o Walterze Paterze, moją pracę doktorską z anglistyki, ogłoszaną w Pozn. Tow. Przyj. Nauk, aż po essaye o literaturze angielskiej i amerykańskiej na łamach licznych czasopism polskich przed wojną i w czasie wojny, starałem się przestrzegać tych zasad. Przestrzegałem ich dalej w szkicach ogłaszanych wcale często w czasopismach angielskich takich jak *Time & Tide*, *Contemporary Review*, *Quarterly Review*, *Times Literary Supplement* i in.: wszystkie te pisma dbają na ogół o dobry poziom i nie przyjmują prac przypadkowych, bazowanych jak imputuje mojemu skromnemu pisarstwu pan Gombrowicz, na „plotkach".

„Plotki" były mi obce w mojej robocie publicystycznej ,czego złożyłem dowody w rzeczach pisanych z Berlina w latach 1934-37, potem z Londynu od r. 1937. Pan Gombrowicz ma prawo nie znać mojego dorobku ; chociaż zajrzenie do encyklopedii Lama pozwoliłoby mu dowiedzieć się szczegółów mojej pisarskiej kariery. Wspominają o niej inne wydawnictwa jak np. *World Biography* (New York, 1948).

Gdyby Gombrowicz znał takie opracowania literatury Polski niepodległej jak Czachowskiego, Piwińskiego, Płomieńskiego i wielu innych, to znalazłby moje nazwisko — o zgrozo ! — w książkach tego typu, z okazji mojej powieści „Ciszy Lasu", uważanej przez licznych krytyków przedwojennych od Lorentowicza do Adamczewskiego za zjawisko nieprzeciętne, wnoszące nowe elementy do naszej powieści. Nazwisko moje wymienione jest tam w zespole nazwisk młodych wówczas autorów jak Uniłowski, Choromański, Kurek i chyba sam Gombrowicz.

Pan Gombrowicz cytuje głosy krytyków krajowych o sobie i upiera się przy tezie, że jest geniuszem. Znam te głosy, rozmawiałem w Polsce z ludźmi, którzy orientowali się w sprawach literatury; skłonny jestem uważać passę Gombrowicza za pewnego rodzaju *freak* w stylu, w jakim w Anglii niebywały rozgłos zyskała sobie książka Colina Wilsona *The Outsider*.

Ponieważ będę niebawem omawiał rozmaite pozycje literatury polskiej na łamach jednego z czasopism angielskich, postaram się to moje stanowisko wobec książek Gombrowicza uzasadnić. Mogę na razie pana Gombrowicza zapewnić, że kiedy swojego czasu zwracano się do mnie z jednego z wydawnictw angielskich o rzeczy polskie godne polecenia, wysunąłem jego rzeczy. Nie wiem, jak przejdą one test angielski — książki Miłosza test ten przeszły doskonale — a przytoczenie przez Gombrowicza oceny krytyka szwajcarskiego o tyle mnie bawi, że krytykę tę pisał człowiek z pogardzanej przez niego rasy „żurnalista", F. Bondy, bystry dziennikarz, pisujący do prasy szwajcarskiej i od lat prowadzący doskonały miesięcznik paryski „Preuves".

Pan Gombrowicz radzi mi, ażeby nie szczypać pomnika, tj. jego. Nic nie wiem o istnieniu takiego pomnika ; a nawet w odniesieniu do Horacego, który dumnie zapowiadał, że własny pomnik buduje, poważna krytyka może mieć swoje zastrzeżenia. Sądzę, że to raczej sam pan Gombrowicz powinien się uszczypnąć i otrzeźwieć z samo-upojenia, w które wtrąciły go lata przebywania na głuchej prowincji. Odbija się to fatalnie na jego pisaniu, które — niestety — nie odzwierciadla wielkich konfliktów naszej epoki, nie przynosi żadnych rewelacyj myślowych, żadnych zaskakujących ocen jeżeli chodzi o literatury obce ; stanowi raczej przygnębiający, moim zdaniem, zespół „plotek" o sobie oraz nadsłuchiwania „plotek" z Polski. I niech w wolnych chwilach nauczy się sztuki polemiki, która jest rzeczą cenną ; inaczej jego listy i polemiki będą go tylko ośmieszały i potwierdzały podejrzenia, które włożył w moje usta, jakkolwiek ich, jako żywo, nie wypowiedziałem.

Racz Pan przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku,

Zbigniew GRABOWSKI

◆

Helmar Green, Anglia

Szanowny Panie Redaktorze !

Chciałbym dorzucić kilka uwag do dyskusji nad artykułem Wacława Zbyszewskiego „Eksplozja Demograficzna". Odważny i potrzebny artykuł. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w obecnym stanie rzeczy, pogłębiająca się automatyzacja przemysłu, walka konkurencyjna o rynki zbytu powodują, że zaczyna być ciasno na świecie.

Wiadomości naukowe z USA przynoszą promień nadziei, że za jakieś może 10 lat będzie znaleziona formuła chemiczna tabletki-preparatu, po której zażyciu kobieta stanie się bezpłodna na okres jednego cyklu. Będzie to preparat idealny: jedna tabletka na miesiąc. Gdy do tego dojdzie, będzie to wielki dzień dla całej ludzkości i zwycięstwo nad nieobliczalnymi siłami przyrody. Jest nadzieja, że przy takim rozwiązaniu odpadną zastrzeżenia natury tradycyjno-religijnej. Zagadnienie wygłodzenia ludzkości stawia w ostatniej swej książce znany pisarz angielski Aldous Huxley: „Brave New World Revisited". Demografowie nie zgadzają się jednak z takim stawianiem sprawy. Przynajmniej nie wszyscy.

Wydaje się, że kraje biedne, zacofane gospodarczo, bezwzględnie powinny propagować częściowe, racjonalne ograniczanie potomstwa. W kra-

rach zasobnych jak np. W. Brytania powojenna ekspansja gospodarcza i poprawa ogólnych warunków bytu sprawia, że młodzi ludzie wcześnie wchodzą w związki małżeńskie i oczywiście... mają dzieci.

Z wyjątkiem chyba wojny, krzywa ludnościowa nie spadnie raptownie i można śmiało ryzykować twierdzenie, że z końcem stulecia ludność przekroczy cyfrę 5 miliardów.

Nadzieją więc dla ludzkości będzie nie tylko ograniczanie potomstwa środkami obecnie znanymi, ale przede wszystkim zwrócenie się do nauki o pełne i lepsze wykorzystanie istniejących zasobów. Co bowiem naprawdę powoduje głód w wielu częściach świata i nędzę? Nie tylko ilość ludzi na danym terytorium, ale faktyczne hamowanie produkcji rolnej i przemysłowej. Ziemia uprawna nie zawsze jest dobrze uprawiana. Trzeba przejść na całej kuli ziemskiej do nowoczesnej, naukowej uprawy. Okres przejścia z prymitywnych form do nowoczesnych na pewien czas wchłonie olbrzymie ilości rąk ludzkich, co widać wyraźnie na przykładzie Chin. Gdyby część olbrzymich sum (ok. 70 miliardów dolarów rocznie) wydawanych na samym Zachodzie, nie licząc ZSSR i Chin, na dozbrojenie, były inwestowane w kraje biedne, za kilka lat produkowalibyśmy dostateczną ilość żywności. Energia atomowa może służyć wojnie, ale może być też źródłem energii na obszarach pustynnych i bezludnych. Jest kwestią czasu i wiary w geniusz i rozum człowieka. Ograniczanie racjonalne przyrostu ludności i planowy wysiłek nauki nowoczesnej i najnowszych zdobyczy do zwiększenia wielokrotnego wszelkiej produkcji. Prorocy rozpaczy snują przed nami widmo wyniszczenia wodorowego lub Malthusowego wygłodzenia. Nauka może nam sprawić niespodziankę i przynieść dostatek, dobrobyt i swobodę określania przyrostu. Kobiety i mężczyźni będą decydowali o ilości potomstwa: swobodnie, bez strachu i lęku o jutro. Chodzi o to, by świat, w którym żyjemy był coraz lepszy.

Bogdan ZNOWSKI



Kurytyba, 3.4.1959.

Szanowny Panie Redaktorze!

W moim liście dotyczącym artykułu P. Jana Wójcika o Polonii Brazylijskiej popełniłem — niechcący — gruby błąd. Najlepiej będzie, gdy go sam sprostuję. Otóż Polacy z Kurytyby postawili Saporskiemu rodzaj pomnika — czworoboczny obelisk. Wznieśli go na placu przed kościołem w Abranches, na przedmieściu Kurytyby. Było to w roku 1953. W tym samym roku obchodzili katolicy Rok Maryjny. I stała się rzecz dość przykra: miejscowy proboszcz wykorzystał ten obelisk jako cokół dla figury Matki Boskiej! Rzecz jasna, że ludzie protestowali, nawet w prasie. Ale już tak zostało. Saporski zamiast pomnika ma więc — praktycznie mówiąc — tylko tablicę wmurowaną w postument figury M. Boskiej na placu przed kościołem. O tej sprawie poinformowano mnie dopiero po wysłaniu listu do „Kultury". Pan Wójcik miał rację, mówiąc że pomnik jest. Miałem i ja, pisząc, że go nie ma. Ale dopiero z niniejszego listu można się dowiedzieć, jak tę sprzeczność wyjaśnić...

Łączę wyrazy szczerego szacunku.

Ks. W. SOJKA

Kraków, dnia 21 marca 1959 r.

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego postanowił uczcić pamięć wszystkich osób należących w r. akad. 1938-9 oraz w okresie tajnego nauczania do U.J., które padły ofiarą wojny. W związku z tym Komisja senacka dla uczczenia ofiar II-ej wojny światowej zwraca się z gorącym apelem do wszystkich rodaków przebywających obecnie stale zagranicą o podanie nazwisk profesorów, docentów, pomocniczych sił naukowych, pracowników administracyjnych *a przede wszystkim studentów U.J.*, którzy w czasie II-ej wojny światowej padli w walce o wolność ojczyzny lub w inny sposób stali się ofiarami wojennej zawieruchy. Komisja prosi rodziny, przyjaciół i znajomych o podawanie nazwisk oraz w miarę możliwości udokumentowanych okoliczności wśród jakich nastąpiła śmierć pracowników naszej uczelni. Nazwiska i dane dotyczące tych osób prosi się nadsyłać do końca roku 1959 na adres: Uniwersytet Jagielloński, Komisja dla uczczenia ofiar II-ej wojny światowej, Kraków, Gołębia 24.

◆

Londyn, 2 kwietnia 1959.

Wielce Szanowny Panie Dedaktorze!

W numerze 3-cim „Kultury" z marca 1959 roku ukazał się artykuł sprawozdawczy, o wydanych w Stanach Zjednoczonych pamiętnikach byłego litewskiego naczelnego wodza gen. Rasztikisa, pióra p E. Żagiell.

Omawiając dział pamiętników, dotyczący okresu internowania na Litwie 13500 oficerów i żołnierzy polskich po kampanii 1939 roku, pan Żagiell podaje, że autor tychże wspomina, iż na Litwie znajdował się do roku 1944 a może i nadal jest przechowywany jakoby w ukryciu sztandar 2-go pułku ułanów!

Jako dowódca tego pułku podczas wspomnianej kampanii a obecnie prezes koła pułkowego, istniejącego na obczyźnie, pozwalam sobie stwierdzić, iż sztandar 2 pułku ułanów Grochowskich już w roku 1940 znalazł się na terenie Wielkiej Brytanii, wówczas naszego sojusznika, a obecnie jest na przechowaniu w muzeum Instytutu im. gen. Sikorskiego.

W końcu września 1939 roku został on rzeczywiście przewieziony potajemnie bez drzewca na Litwę i tam doręczony ówczesnemu naszemu attaché wojskowemu w Kownie by następnie poprzez Szwecję i Francję znaleźć schronienie początkowo w kwaterze naczelnego wodza w Gask, a następnie w polskim muzeum w Londynie.

Wiem też, że tą drogą przybyły do Wielkiej Brytanii jeszcze sztandary 3, pułku szwoleżerów, 10. pułku ułanów oraz 9. pułku strzelców konnych i nie sądzę aby jakikolwiek ze sztandarów pułkowych których, jak z powyższego wynika, kilka przejściowo w tajemnicy przed władzami litewskimi było tam przechowywanych — został na Litwie pozostawiony.

Niemniej muszę podkreślić iż gen. Rasztikis swoją wzmiankę w tej sprawie, zakończoną pięknym zwrotem: „armia litewska byłaby szczęśliwa, gdyby mogła ten sztandar zwrócić prawemu właścicielowi..." podał w dobrej wierze, gdyż z ośrodkiem zapasowym brygady kawalerii, do której należał 2. pułk ułanów, a który po wkroczeniu na teren Polski wojsk sowieckich, przeszedł granicę litewską, znalazła się na Litwie część muzeum pułkowego. Skrzynię z eksponatami przejął, według posiadanych przeze

nie informacji, 2-gi pułk kawalerii litewskiej, który przed wojną stacjawał w Kalwarii (nawiasem mówiąc, mieście, położonym nie opodal Suwałk przedwojennego garnizonu polskiego 2. pułku ułanów).

Wśród eksponatów muzeum znajdowała się między innymi kopia sztanru pułku 2-go ułanów armii Królestwa Kongresowego z lat 1815-1831 prawdopodobnie w swoim czasie generałowi Rasztikisowi meldowano tym zabytku muzealnym jako o sztandarze czynnego Pułku.

Byłbym wdzięczny gdyby Pan Redaktor zechciał powyższe moje wyjaśnienie zamieścić w „Kulturze", albowiem rzeczywisty sztandar oddziału wojskowego stanowi, według wciąż jeszcze przyjętych pojęć, symbol szczególnej wartości. W danym wypadku zwłaszcza dla byłych żołnierzy pułku fakt uchowania się tego symbolu i zabezpieczenia go na przyszłość w polskich rękach jest może specjalnie cenny gdyż sztandar 2. pułku ułanów kampanii 1939 roku był przez właściwego wyższego dowódcę przedstawiony do odznaczenia orderem wojennym virtuti militari.

Proszę przyjąć wyrazy wysokiego szacunku i poważenia.

Kazimierz PLISOWSKI płk
b. d-ca 2-go pułku ułanów Grochowskich
i prezes koła ułanów Grochowskich na obczyźnie

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2e trimestre 1959

ULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
RYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », no 2076, Buenos Aires	39 pesos	234 pesos	468 pesos
ISTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking e, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
LGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska- y, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr a pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
AZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** aipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia inska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga irska,** rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
YT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Ugan- Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	250 fr.	1.300 fr.	2.600 fr.
OLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, terdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
RAEL : Diffusion du Livre Français, Ltd, 35, rue i, B.P. 3172, Tel Aviv	285 fr.	1.500 fr.	3.000 fr.
ANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., nto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Raski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **iazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
EKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, 1, Guadalajara, Jal. Tél. : 49855	75 cent.	4 dol.	6 dol.
IEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon- tr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
ORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, ève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
ZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV kholm		18 kor.	33 kor.
.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew etynski,** 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; **S. arczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, s.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, o. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin- d Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford race, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** 6 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book orting Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 9 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 32 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T W 2.0890.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, ttersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedyńczego numeru : 35 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 250 frs.